



SIOSTRY X RAJ

KRYMINALNY DUET, JAKIEGO JESZCZE NIE BYŁO

Joanna

Jodełka



Joanna Jodelka

PAMIĘTNIK KARŁA



Dom Wydawniczy REBIS

Text copyright © by Joanna Jodełka 2021
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2021

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwaleniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Małgorzata Chwałek

Projekt i opracowanie graficzne okładki, ilustracja na okładce oraz logo serii: Zuzanna Miśko

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Pamiętnik Karła*, wyd. I, Poznań 2021)

ISBN 978-83-8188-853-0

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61 867 81 40, 61 867 47 08
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**

MĘCZYŻNA ODGARNĄŁ SIWIEJĄCE WŁOSY Z CZOLA., zrobił kilka kroków w tę i we w tę, po czym zatrzymał się i zapatrzył na bruk ulicy Ślusarskiej. Po dłuższej chwili podniósł głowę, zerknął na szyld introligatorni, kilka razy głęboko odetchnął i wrócił do pracowni. Przekręcił klucz w drzwiach. Jeszcze dla pewności szarpnął za klamkę. Zamknięte, tak jak powinno być. Został sam. Wybrał dzień i porę, tak by w zakładzie nie było żadnych pracowników, klientów czy gości. Żadnych pilnych spraw, żadnego pośpiechu, żadnego rozpraszenia. Wyciszył telefon i wyłączył lampę w oknie. Oświetlona witryna mogła przyciągnąć kogoś ze znajomych włóczących się wokół Starego Rynku. Nie chciał, by ktokolwiek dzwonił albo pukał w okno.

Udał się w głąb pracowni. Uprzątnął potrzebny mu stół. Przetarł go wilgotną, a potem suchą ściereczką. Na koniec wygładził drewniany blat grzbietem dłoni. Oczyszczył jeszcze – wcale niezakurzoną – stuletnią gilotynę, nie mniej wiekowe ręczne prasy śrubowe i starą złociarkę. Miała dziewięćdziesiąt lat, czyli dokładnie tyle, ile pracownia. Poglaskał ją z ufnością, po czym zlustrował pozostałą przestrzeń. Wszystko już było gotowe, ale przesunął jeszcze kilka rulonów. Taśmy, grzbietówki, sznurki, nici pochował na swoje miejsce, choć nie zawadzały, tak samo jak bibułki japońskie i klajster. Panował ład i porządek. Mimowolnie po raz kolejny rozejrzał się wokół. Jakby szukał kogoś, kogo tu nie było.

– Tak. Patrzą mi teraz na ręce – odgadł w końcu, zerkając na zdjęcia ojca i dziadka zrobione lata temu, na tle tych samych maszyn. Wisały na ścianie pracowni zawsze, ale nie pamiętał, kiedy ostatnio odczuł ich obecność. Może wtedy, gdy do oprawy trafiła książka, którą naprawiał już i jeden, i drugi. Rozpoznał wklejone przez nich znaczki.

Uśmiechnął się do portretów i poszedł do swojego gabinetu. Wysunął ostatnią szufladę w biurku i ostrożnie wyjął starodruk. Zaniósł na stół.

Książka, która przed nim leżała, nie była najstarsza, z jaką miał do czynienia.

– Lekko ponad dwieście – mruknął pod nosem, gładząc przyjemne w dotyku kartki. – Ale udało się jej – powiedział już głośno.

Papier był ręcznie robiony. Pochodził z ostatniego okresu, nim wprowadzono maszynową produkcję i zaczęto używać starych, byle jakich szmat. Włókna, z których powstały te kartki, były z czystej bawełny, a może z lnu lub konopi. Nie kruszyły się po brzegach, nie ścierały od przekładania. Były miłe w dotyku. Nawet jeśli miały gdzieś tam plamki i przebarwienia, to patyna czasu dodawała uroku zadrukowanej przestrzeni. Przeglądał kolejne strony, na których ustawiały się w rzędkach litery wyróżniające się akcentami.

Była po francusku, nie znał jej treści. Przetłumaczył tylko tytuł i to wystarczyło, by wiedział, że ma do czynienia z wyjątkową pozycją. A jeszcze bardziej niezwykle było zamówienie.

Klient dostarczył czyste kartki, które polecił wzyć do środka. Czyste, niezapisane, z niemal identycznego papieru. Też miały ponad dwieście lat. Znak wodny świadczył, że powstały w którymś z francuskich młynów. Introligator wiedział, że na świecie ciągle odbywają się aukcje starego papieru. Kolekcjonerzy płacą badońskie sumy za pojedyncze kartki. Pojęcia nie miał, ile mogło kosztować te kilkanaście sztuk. Na pewno fortunę. A on miał je skleić w specyficzny sposób. I zrobił to. Udało mu się. Były nie do odróżnienia.

Tak jak miało być, myślał, wodząc po grzbiecie palcem. Kilkanaście godzin pracy. Dobrej pracy. Pokiwał głową, spoglądając na swoich antenatów. Pochwaliliby. Skinęliby z uznaniem. Ale nie rozplywał się już dłużej we własnym zadowoleniu. Czekalo go jeszcze dokończenie oprawy... ją również wykonał na szczególne zamówienie. Za sam materiał zapłacił niebotyczną kwotę. A i zadanie nie było łatwe.

W pergaminową, doskonałą, najcieniej wyprawioną kozłą skórę miał wtopić złote litery i ozdoby. Wokół brzegów i na grzbiecie. Nie ze zwykłej, połyskującej pigmentem folii, lecz z płatków prawdziwego dwudziestoczworokaratowego złota.

Miał już przygotowane starannie dobrane i ułożone czcionki składające się na tytuł. Jeszcze raz je sprawdził i rozgrzał prawie stuletnią złociarkę. Nigdy go wcześniej nie zawiodła.

I tym razem też nie! Gdy skończył, otarł pot z czoła i westchnął, patrząc na złoto, które idealnie wtopiło się w skórę, tworząc spektakularny napis.

– Możecie być dumni – powiedział, choć nie odważył się spojrzeć na portrety. Czekają go jeszcze zdobienia. Z tego samego złota. Na tę okoliczność zamówił nową, oryginalną filetę introligatorską. Rodzaj stempla o podłużnym, sierpowatym kształcie, który po rozgrzaniu mógł wgnieść w skórę wyłożony wcześniej szlaczek. Ten miał się składać z powtarzalnych maleńkich słońc. Skrząc się, obwiodły przednią i tylną okładkę. W idealnie równych liniach. Dla grzbietu wykonany został oddzielny okrągły stempel przedstawiający symbol zaćmienia Słońca. Nie zadrżała mu ręka, gdy przypieczeretował nim bok książki, a potem umieścił jeszcze pod tytułem, w samym centrum.

Dopiero wtedy odetchnął z ulgą i klasnął z zadowoleniem, patrząc na ścianę.

– Dobra robota – szepnęła pod adresem swoich mistrzów.

Długo jeszcze oglądał swe dzieło z każdej strony. Przekładał je z ręki do ręki, gładził i głaskał, nim zadzwonił do klienta, że zlecenie wykonane. Ku jego zdziwieniu zleceniodawca co prawda podziękował, ale nie zamierzał sam odebrać. Przyśle kuriera. Poprosił tylko o dołożenie bileciku z dedykacją. Introligator lekko zawiedziony wziął ołówek i zanotował.

Po skończonej rozmowie niezwykle długo wpatrywał się w książkę, na której okładce złożył się tytuł

– PAMIĘTNIK KARŁA. Dołożył małą kartkę z dopiskiem: *Kłamstwo ma krótkie nogi*.

Zapakował przesyłkę.

Angelina

JEDYNE ŚWIATŁO, jakie paliło się na poznańskim Sołaczu o w pół do czwartej nad ranem, padało z lampki na piętrze willi przy placu Spiskim.

Angelina Raj siedziała na łóżku i próbowała się obudzić. Ziewała, przecierała zaspane oczy i kręciła z niedowierzaniem głową. Zastanawiała się, jak mogła się na to zgodzić. Alarm w telefonie włączył się już o trzeciej piętnaście. Zrzuciła aparat z łóżka, ale on dalej grał jakąś melodyjkę z podłogi pod stołem. Niestety nie nastawiła go bez powodu. Musiała wyjechać z domu przed czwartą, by dotrzeć nad Wartę i zdążyć przygotować modelkę do zdjęć. Fotograf chciał ją przedstawić jako zjawę snującą się o świcie nad brzegiem rzeki. Angelina pracowała w teatrze jako charakteryzatorka na zastępstwie, ale dorabiała, i to bardzo dobrze, jako makijażystka. Zadanie było proste i nawet ciekawe, ale pora koszmarna. Jej wina. Gdy przyjmowała to zlecenie, myślała, że wystarczy być o siódmej rano, co również nie było wymarzoną porą, ale nie środkiem nocy. Dostyc późno zdała sobie sprawę, że w połowie lipca słońce wyłania się zza horyzontu przed piątą. Oczywiście nieraz zdarzało się jej wracać do domu o tej porze, ale co innego wracać, a co innego wychodzić.

Prawie po omacku naciągnęła długą, szeroką kwiciastą spódnice z cienkiego jedwabiu, ciesząc się, że jest na gumkę i nie musi zapinać żadnych guzików. Włożyła troszkę grubszą białą koszulę odsłaniającą całe ramię. Włosy przeczesła palcami, wyciągając różowe końcówki z chaotycznie splecionych granatowych strąków, w jakie układały się ledwo rozczesane dwukolorowe pasemka. Przewięzała je jeszcze apaszką. Spojrzała w stojące na środku pokoju lustro i uspokoiła się. Szału nie było, ale dramatu też nie.

Zresztą kto mnie będzie o tej porze widział? – pomyślała, pakując do wielkiej sznurkowej torby wszystko, co mogło być potrzebne. Lakier, grzebień, porozrucane pędzle wraz z paskiem na biodra, w który należało je powciskać, a czego nie robiła. Kilka paletek cieni, rozświetlaczy, brzązów, podkładów, fluidów i wielką kosmetyczkę, w której było wszystkiego po trochu. Wypakowała torbę po brzegi, wciskając jeszcze inne potrzebne i niepotrzebne rzeczy.

Wyszła na palcach. Nie chciała budzić śpiącej w sąsiednim pokoju Tycjany. Miała z nią na pieńku. Szczególnie po ostatniej spontanicznej imprezie, do której przyrodnia siostra nie zamierzała się przylać. Pojęcia nie miała dlaczego. Okazja była wyjątkowa i jednorazowa. Na deski rodzimego teatru wróciła z zagranicy niegdysiejsza jego ozdoba. Dzisiaj już ponadpięćdziesięcioletnia aktorka. Nie byłoby to tak ekscytujące, gdyby nie przywiozła z sobą świeżo poślubionego, dużo młodszego i bardzo przystojnego Francuza. Na tę okoliczność odbyło się powtórne przyjęcie weselne, na którym młodzi, przynajmniej w połowie, małżonkowie urządzili sobie piekielną awanturę, tym samym kończąc świętowanie. Angelina zaprosiła do siebie co bardziej rozbawionych i żądnych plotek gości. Było fajnie. Dopóki awantury dla odmiany nie zrobiła Tycjana.

Pokłóciły się. Teraz udało się Angelinie przejść bezgłośnie przez korytarz, ale już przy samych drzwiach odpięło się ucho od torby. Aerozole potoczyły się w jednym kierunku, a słoiczki i pudełka w drugim. Zakłęła pod nosem. Opadła na kolana i zaczęła zbierać wszystko z podłogi. Łóżko w pokoju Tycjany zatrzęszczało, ale drzwi się nie otworzyły. Obudzi się i zaśnie sobie! Zła na siebie, że się tym przejmuje, wyszła z mieszkania.

Już bez niespodzianek zatrzasnęła skrzypiącą furtkę przed starą willą i znalazła się na wąskiej uliczce przy placu Spiskim. Aż się zatrzęsła. Dzień miał być upalny, ale teraz panował jeszcze ziąb. Z obrzydzeniem dotknęła chłodnej, wilgotnej klamki. Wytarła dłoń o spódnice, ziewnęła szeroko, wsiadła do samochodu i rzuciwszy wielką torbę na siedzenie, bezwiednie ruszyła. Było pusto i szaro. Radio zagrało ni to na dobranoc, ni to na dzień dobry.

Przy skręceniu w drogę prowadzącą wzdłuż parku chwyciła za lusterko wsteczne i skierowała je sobie na twarz. Wypatrzyła sińce pod oczami i zaczęła jedną ręką grzebać w torbie, usiłując namacać jakiś korektor, w żaden sposób jednak nie mogła namierzyć mniejszej kosmetyczki. Zaczęła wyrzucać jedną

rzec po drugiej i najechała na krawężnik, tak wysoki, że aż podskoczyła. Zahamowała w ostatniej chwili. O mały włos...

– Ożeż! – Udało się. Urwane ucho torebki i turlające się po korytarzu lakiery podniosły jej ciśnienie, ale teraz zrobiło jej się gorąco.

Tylko tego brakowało, by starą lampą wiekowego pojazdu zarysować lśniąca karoserię auta, którego zderzak mógł kosztować tyle, co pół jej samochodu. Odetchnęła z ulgą, widząc, że centymetry dzielą ją od dumnie prezentującej się limuzyny.

– Garażu nie mają czy co! – pychnęła, patrząc na wielką willę za fantazyjnie przyciętym żywopłotem.

Uchyliła szybę, by wpuścić trochę powietrza i ochłonać. Wtedy na skraju parku zobaczyła jakiś ruszający się cień. Po sekundzie przemieszczającej się smugi już nie było. Rozpłynęła się albo zniknęła gdzieś za zaroślami. Angelina zamierzała ruszyć dalej, nawet zjechała z krawężnika i pokonała kilka metrów, ale cień nie dawał jej spokoju. Była prawie pewna, że jej się przywidziało. Wrzuciła wsteczny bieg, w ostatniej chwili przekierowując lusterko z twarzy na tylną szybę. Zatrzymała się tak, by mieć przed oczami lukę między zaroślami. Początkowo nic nie widziała, po chwili jednak zamajaczył zarys postaci, która odwróciła się na chwilę, po czym ruszyła w kierunku stawu. Zazwyczaj spacerowali tutaj ludzie, ale za dnia i do późnej nocy, a nie przed świtem. Przynajmniej tak się jej wydawało. Chociaż z drugiej strony, skąd mogła wiedzieć. Może ludzie karmią kaczki o świcie? Po parkowym stawie pływały nawet łabędzie. Może ktoś wyprowadza psa cierpiącego na bezsenność? Takie wytłumaczenie byłoby satysfakcjonujące, gdyby nie to, że mimo odległości zauważyła, iż poruszająca się sylwetka jest bardzo mała. Próbowała znaleźć jakiś punkt odniesienia, gdy postać przycupnęła w miejscu. Wyglądała teraz jak kropka. Angelina wyciągnęła głowę pod sam sufit auta.

Może się załatwia? – pomyślała, wzdrygając się z obrzydzeniem, i już chciała ruszyć, gdy drobna sylwetka się podniosła. Zdjęła marynarkę albo kurtkę i położyła obok na trawie.

Teraz Angelina widziała doskonale czarne spodenki i białą koszulę. Niewielki rozmiar! Tego była już pewna.

– To dziecko! – krzyknęła, widząc, jak nieznajomy ściąga buty i kieruje się wprost do stawu.

Wyłączyła silnik samochodu i wybiegła. Nim to zrobiła, dziecko było już po kolana w wodzie. Najkrótsza droga prowadziła przez krzewiaste zarośla. Rzuciła się między zielone badyle. Szeroka spódnica zaplątała się między gałęziami. Chwilę się szarpała, ciągnąc ją z każdej strony, w końcu się udało, choć naciągnięta gumka boleśnie strzeliła ją w plecy. Jęknęła tylko i pobiegła w kierunku dziecka, które było już po pas w wodzie. Chciała jak najszybciej ominąć dwa drzewa, gdy wpadła stopą w jakiś dołek i wywróciła się idealnie na płasko. Podniosła się szybko, strzepując w biegu żdźbła świeżo ściętej trawy, które oblepiły jej twarz, ale zobaczyła już tylko głowę wystającą nad taflą.

– Czekaj! – wrzasnęła. W tym samym momencie uszy dziecka znikły pod wodą. Widziała tylko czubek głowy. – Dżizas! – syknęła, rozglądając się wokół w nadziei, że ktoś jeszcze to widzi, ale nikogo nie było.

No nie!

Skrzywiła się, patrząc na rozciągające się przed nią bajoro. Dlaczego ja! Nie cierpiała jezior ani żadnych zarośniętych zbiorników. Do wody wchodziła tylko wtedy, gdy na dnie widziała niebieską glazurę, a w powietrzu roznosił się zapach chloru.

– Nie! Tylko nie to! – jęknęła, zrzuciła buty i weszła do stawu. Głowa dziecka była już pod wodą, drogę wskazywały jej powoli niknące fale. Grzęznąc stopami w mule, szła ich śladem i patrzyła przed siebie z odrazą i przerażeniem. Uszła dosyć daleko, a woda sięgała jej ledwo do bioder. Spódnica unosiła się wokół niej jak balon. Głębokość była taka, że szło się ciężko, ale płynąć też było bez sensu. Woda była ciemna i mętna. Co chwilę coś przylepiało się jej do nóg, ale nie miała czasu się schylić. Fale wyznaczające ślad powoli znikały. Poza tym ona sama, miotając się, robiła większe. Na oko powinna być już prawie w miejscu, gdzie schowała się głowa, choć woda sięgała jej trochę powyżej pasa. Zaczęła chaotycznie machać rękami przed sobą i wokół siebie. Kręciła się w kółko, mącąc wodę. Nic nie widziała.

– Ratunku! – wrzasnęła. – Niech mi ktoś pomoże – jęknęła bezradnie. Nagle, gdy rozglądała się wokół, poczuła, że coś ciągnie ją za spódnicę. Wrzasnęła jeszcze głośniejsze, chciała to coś strzepnąć z siebie, zobaczyła jednak pod wodą małe ręce. Przeleciała jej przez głowę myśl, że topielec może pociągnąć

za sobą ratującego go człowieka, ale ona przecież stała i miała wodę pod biustem. Namierzyła palce. Chwyliła za nadgarstek i zaczęła ciągnąć.

– Już dobrze, dzieciaku! Już dobrze – powtarzała. Wymacała pod wodą ramiona, chwyciła pod nie. – Już dobrze. – Unosiła ciało, oddychając z ulgą na widok czubka głowy i ciemnych włosów. Wyciągała dalej. Kosztowało ją to sporo wysiłku. Zamknęła oczy i otworzyła je dopiero wtedy, gdy poczuła dobrze chwycony ciężar. A gdy otworzyła, krzyknęła wniebogłosy.

Miała przed sobą mokrą, pomarszczoną twarz. Wielkie, wystraszone oczy i mięsiste usta chwytające powietrze niczym karp. To nie było dziecko! To starszy mężczyzna! Po sekundzie paraliżującego odrętwienia odrzuciła go z powrotem w wodę. Najdalej jak potrafiła.

Chwilę trwało, nim ochłonęła i znowu pociągnęła za wystające z wody ręce. Już nie próbowała położyć sobie topielca na piersiach, tylko chwyciła pod ramiona od strony pleców. Szła tyłem. I tak wytarzała go z sołackiego stawu.

– Nie wierzę! Nie wierzę! – powtarzała pod nosem, kręcąc głową.

Opadła na trawę, zostawiając obok ciągle krztuszącego się mężczyznę. Mógł mieć pięćdziesiąt lat albo i więcej. Twarz miał okrągłą i pomarszczoną. Nie patrzył w jej stronę, tylko drobnymi palcami przeczesał mokrą grzywkę. Po chwili podkuilił nogi i schował głowę między kolana. Wychodząc ze stawu, miała w planie nawrzeszczeć na niego za to, że zmusił ją do brodzenia w obleśnej wodzie, ale na ten żałosny widok zmieniła zdanie, jeszcze zanim uspokoiła oddech. Machnęła ręką i popatrzyła po sobie.

– Jesssu, jak ja wyglądam – jęknęła.

Do utyłanej spódnicy w kilku miejscach przylepiły się jakieś wodorosty. Zgniłe źdźbło długiej trawy odlepiła też od koszuli i gołego ramienia. Westchnęła i spojrzała na parę butów równiutko ustawionych nad brzegiem stawu. Skórzane, brązowe, wyjątkowo eleganckie i dziecięcego rozmiaru. Na zamówienie czy od komunii? – przebiegło jej przez myśl.

– Dlaczego pan to zrobił? – zapytała po chwili, patrząc na skulone, mokre nieszczęście.

Spojrzał na nią spode łba.

– Pewnie miałem jakiś powód – stwierdził, wzruszając ramionami.

– Pewnie tak – zgodziła się i spojrzała na zegarek. – Odwiozę pana do domu.

– Nie, nie chcę – zaprotestował raptownie. – Poradzę sobie – dodał, opuszczając głowę między kolana.

Angelina się podniosła.

– Właśnie widziałam, jak pan sobie radzi – skwitowała i dopiero w tej chwili poczuła, że się na dobre obudziła. – Niech pan wstaje – poleciła kategorycznie. – Spiesz się do pracy. – Strzepnęła mokrą spódnicę tak, by ochlapać siedzącego mężczyznę.

– Nie... co pani robi – zaprotestował, ocierając twarz rękawem mokrej koszuli.

– Naprawdę nie mogę czekać – oświadczyła, trzepocząc ociekającym materiałem tuż przed jego nosem.

– To proszę jechać. – Skrzywił się i zasłonił łokciem.

– Mam taką zasadę, że takich jak pan odstawiam jak najdalej od zbiornika z wodą.

– Proszę odejść – jęknął bezradnie.

– Będę musiała zadzwonić po karetkę, nie wiem, może po policję – zaczęła wymieniać Angelina. – Straż miejską? Wodną? Co się robi w takich przypadkach? – zapytała, patrząc w niebo. – Telefon zaufania... Psycholog, psychiatra, kontakt z rodziną...

Mężczyzna westchnął głęboko, popatrzył na nią i zaczął się zbierać z ziemi. Robił to powoli, ale nie poganiała go. Wstał i ociągając się, podszedł do zostawionej pod drzewem marynarki. Pod nią leżał gruby brulion w tekturowej okładce. Podniósł jedno i drugie, wsunął pod pachę, po czym z opuszczoną głową ruszył w kierunku ulicy. Szła za nim, mierząc go wzrokiem. Sięga mi do pasa, czyli ledwo...

– Tam mam samochód. – Pokazała ręką. – Daleko pan mieszka?

– Nie. Za rogiem – odparł, drobiąc i tak małe kroki.

– Ten. – Angelina podeszła do wozu.

– Ten? – powtórzył mężczyzna i otworzył usta.

Każdy się dziwił. Mercedesa, wersja karawan, przejęła od znajomego z firmy pogrzebowej. Dobry stan, niezbyt duży przebieg jak na ten wiek. Zawsze budził zainteresowanie, ale rzeczywiście potencjalny samobójca mógł się dziwić najbardziej, patrząc na firanki, które ciągle przysłaniały długie

boczne szyby. Nie wspominając o gumowym kościotrupie, który zawieszony jako breloczek dyndał na tylnej szybie.

– Nie myślałem, że pojedę nim za życia – prychnął niedoszły topielec.

Angelina była prawie pewna, że dostrzegła coś na kształt ledwie zauważalnego uśmiechu na jego twarzy.

– Przynajmniej sprawdzi pan, czy wygodny – stwierdziła z zadowoleniem. – Zapraszam. – Zabrała mu z rąk marynarkę i brulion i rzuciła na tył samochodu. Przerzuciła tam również sznurkową torbę, robiąc miejsce na siedzeniu pasażera. Wsiadł niepewnie, zerkając na tył auta. – Niech pan pokaże drogę – poprosiła.

Skinął głową, niepewnie rozglądając się wokół.

Skręcili parę razy to w jedną, to w drugą stronę, aż w końcu zatrzymali się przed jednym z większych domów w okolicy.

– Dziękuję – wyszeptał mężczyzna, otwierając drzwi. Prawie nie patrzył w jej kierunku.

– Może przyjadę do pana za parę godzin? – zaproponowała. – Teraz nie mogę. Czekają na mnie. Nad Wartą. Kolejni...

– Nie trzeba – odparł niepewnie, patrząc na nią szeroko otwartymi, choć ledwo przytomnymi oczami.

– Ale...

– Na dziś mi wystarczy – dodał.

– Przyrzeka pan?

– Tak. Inaczej się pani nie pozbędzie – stwierdził i wysiadł.

– Ale na pewno?

– Tak. – Odwrócił się plecami.

Angelina patrzyła, jak wystukuje kod w nowoczesnej furtce. Otworzyła się automatycznie. Nie oglądając się za siebie, zniknął za szpalerem gęsto nasadzonych wiekowych tui. Tworzyły nieprzebytą kurtynę, przez którą nie dało się też nic dojrzeć. Furtka również nie była ażurowa, jedynie jakiś szlaczek wycięty w metalu wiał się przy górnej krawędzi. Żeby przez niego coś zobaczyć, musiałaby wyjść i wspiąć się na palce, a nie miała już na to czasu.

Chwilę jeszcze poczekała, ale było cicho i spokojnie. Jedynie ptaki zaczynały ćwierkać coraz głośniej. W oddali usłyszała odgłos przejeżdżającego samochodu. Robiło się jaśniej i przyjaźniej. Można by pomyśleć, że to wszystko w ogóle się nie zdarzyło, gdyby nie mokra plama na siedzeniu pasażera. I materiał lepący jej się do ud.

Rozejrzała się. Nikt nie szedł chodnikiem. Zdjęła spódnice. Otworzyła okno, wystawiła ręce i wykreśliła ją, po czym zamknęła szybę, tak by spódnica wystawała na zewnątrz. Ruszyła szybko, a kwiecisty jedwab zaczął furkotać w powietrzu jak szalik kibica.

Tycjana

TYCJANA PRACOWAŁA. Od jakiegoś czasu z kamienną twarzą i zaciśniętymi zębami. Nie zareagowała za pierwszym razem. Ani za drugim, ani za trzecim. W końcu się poddała. Wytarła pędzel, który jeszcze przed chwilą moczyła w słoiczku z farbą w kolorze sjeny palonej, odłożyła go do kubka i popatrzyła na podłogę. Walenie miotłą nie ustawało. Wiedziała, że mieszkająca na parterze ciotka Józefina nie przestanie uderzać, a potem będzie miała pretensje, że jej tynk z sufitu odpada. Nie mogła przekonać jej do używania telefonu. Nie bez własnej winy. Tyle razy nie odebrała, udając, że nie słyszy, ma rozładowany bądź wyciszony aparat, że starszka wróciła do skuteczniejszej formy komunikacji i za nic nie chciała z niej zrezygnować. Prawie dzień w dzień natarczywym stukaniem zmuszała Tycjanę do zejścia na dół. Pod byle pretekstem.

Przyrodniej siostry, z którą zamieszkała w rodzinnej willi na Sołaczcu, nie było na górze, ale jedno spojrzanie przez okno wystarczyło, by dojrzeć stojący na dole karawan. Należało więc przypuszczać, że ciotka chce widzieć je obie i nie zamierza z tego pomysłu zrezygnować, przynajmniej do czasu, kiedy jej sufit runie na głowę. Tycjana westchnęła zniechęcona, choć bez żalu odsunęła na bok oddany do renowacji landszafcik. Uzupełniała w nim fragmenty odprysniętej farby, a najchętniej przemalowałaby cały obrazek. Pejzaż nie był dobry ani kompozycyjnie, ani kolorystycznie. Jedyne, co miał, to wartość sentymentalną dla zleceniodawcy. Starsza pani ze wzruszeniem opowiadała o tym, że namalował go przodek w wieku młodzieńczym, wyjątkowo zdolny amator, który musiał porzucić marzenia o studio-waniu sztuki w Paryżu, by zająć się zarobkowaniem. Lepiej się stało, że został dentystą, tego Tycjana była pewna. Nie mogła jednak wybrzydząć. Miała bardzo mało zleceń, od kiedy na znanym w kościele osiemnastowiecznym płótnie, przedstawiającym według podpisu Świętą Teklę, odkryła zamalowane masońskie symbole. Od tego czasu żaden ksiądz nie zlecił jej renowacji żadnego obrazu ani malowidła. Zapewne ze strachu, że „nie daj Boże” znajdzie coś, co ktoś słusznie zamalował.

Nie znalazła się również cenna osiemnastowieczna miniatura, która zaginęła po śmierci ojca. Znalazła się za to nieznana jej wcześniej przyrodnia siostra. Angelina bez pardonowo wprowadziła się do willi tuż po jego pogrzebie. Zdawało się, że ma jasny plan. Jak najszybciej sprzedać wszystko, podzielić i wyprowadzić się ze wspólnie zajmowanego piętra. Ostatnio jednak niewiele o tym mówiła i jakby chwilowo straciła zainteresowanie spadkiem. Być może dlatego, że w przeciwieństwie do niej Angelina miała pełne ręce roboty. Jeśli nie malowała aktorów, to malowała twarze, i to nie tylko kobiece. Do reklamy, do folderu, do wywiadu, do transmisji na żywo. Przed imprezami, a nawet po imprezach. O czym Tycjana się dowiedziała, gdy rano stanął w ich drzwiach mężczyzna z podbitym okiem. Powiększające się limo miało zniknąć przed zebraniem zarządu. I znikło, jeśli nie przyglądać mu się z bardzo bliska.

Tak. Angelina była zdecydowanie zadowolona. Tycjana zaś miała dość. Co prawda nie wyobrażała sobie teraz mieszkania w swoim starym, dużym i bardzo pustym domu. Z mężem się rozwiodła, syn wyjechał za nim na drugi koniec świata i nie zanosilo się, żeby szybko wrócił. Nie wiedziała, co ma zrobić. Opadły emocje po wspólnie przeżytych chwilach, a pobłażliwość w stosunku do nowo poznanej młodszej siostry wyczerpała się w momencie, gdy zarosnięty troglodyta zamiast do łazienki trafił do jej sypialni. Na domiar złego próbował wpakować się do łóżka, szepcząc radośnie, że lubi „te starsze”. Wyrzuciła go z pokoju, a imprezującą resztę – z piętra. Angelina najpierw się obraziła, potem niby przeproszała. Tycjana niby przeprosiny przyjęła, ale zachowywała chłodny dystans. Było jeszcze parę drażliwych spraw, lecz o Jarocie, zawieszonym policjancie bawiącym się w detektywa, wołała nie myśleć. To zupełnie inna historia. Przynajmniej tak jej się wydawało.

Wyszła z pokoju. W korytarzu zamknęła oczy, by nie widzieć stojącego prawie na środku manekina w generalskim mundurze z wężem boa na szyi. Zeszła po schodach.

Mieszkanie ciotki czekało na malowanie i cyklinowanie parkietu. Czekало już dosyć długo. Fachowiec przyszedł, kazał poprzestawiać meble, zabezpieczyć folią to, czego nie da się przenieść. Potem spadł na niego grad nieszczęść. Dziecko chorowało, babcia w szpitalu, samochód się popsuł, cały

zestaw innych wypróbowanych wymówek. Gdy się wyczerpały, zwyczajnie nie odbierała telefonu. Na szczęście pogoda dopisywała i Józefina przesiadywała większość dnia w ogrodzie, który o tej porze wyglądał przepięknie. W pełnym rozkwicie był upstrzony kolorami klomb. Rzucaly się w oczy cyklamenowe ostróżki, szafirowe dzwonki i koralowe lwie paszcze, a ażurowe ściany osłaniające zadaszony taras oplatał stary wiciokrzew przetykany pierzastymi kwiatami w kanarkowym odcieniu. Jak przypuszczała, stamtąd właśnie dobiegało irytująco radosne świergotanie. Angelina siedziała w wielkim wiklinowym bujanym fotelu i popijała wodę z cytryną. Miała na sobie jakąś kwiecistą sukienkę, na którą akurat pokazywała palcem.

– Jak dojechałam, to patrzę, że moja koszula biała jest tylko przy szyi, reszta to jedna wielka brudna plama. Jak wyszła, to dopiero było widać – tłumaczyła wpatrzona w nią Józefinie.

– I co zrobiłaś? – zapytała ciotka, machając ręką na Tycjanę, by do nich dołączyła. Zafascynowana tym, co słyszy, prawie na nią nie spojrzała.

Tycjana westchnęła, patrząc w niebo. Jeszcze się do tego nie przyzwyczaiła. Jako jedynaczka dla bezdzietnej ciotki była najważniejsza, na podium, na najwyższym stopniu, a teraz z niego spadała, i to daleko poza medalową pozycję.

– Zdjęłam ją – oświadczyła Angelina. – Podciągnęłam spódnice do góry, na szczęście ma gumkę, zrobiło się takie marszczenie nad biustem. Przewiązałam w pasie i wyszła krótka sukienka. Jakoś to przeżyłam – dodała z dumą w głosie.

– Linka. Ty to potrafisz!

Tycjana się zdziwiła. Nie zachwytała Józefiny, bo do nich się już przyzwyczaiła, ale zdrobnieniem imienia przyrodniej siostry. Pierwszy raz je usłyszała.

– Linka?

– Wszyscy mówią do niej Lina – oświadczyła ciotka z wyższością wtajemniczonej osoby.

– Ty też możesz – zaproponowała Angelina. – Wiem, ty masz imię od Tycjana, a ja od Michała Anioła. Michelangelo Angelina Michalina. Ale bliscy znajomi mówią na mnie Lina. Wolę.

– Aha – przyjęła do wiadomości Tycjana. Miło było się dowiedzieć, że właśnie stała się bliska. I to po tym, co razem przeszły. – Po co mnie wołałaś? – zwróciła się do ciotki.

– A ja jak wyglądam? Nic nie powiesz?

Tycjana westchnęła. Ciotka była chuda i drobna, ale wyprzeżyła się i wyprostowała, prezentując nową białą bluzkę w wielkie czarne grochy i białe spodnie na kant. Rzeczywiście wyglądała świetnie. I choć twarz zdradzała podeszły wiek, lata te prezentowały się teraz znacznie lepiej, niż gdy Józefina ozdabiała szyję sznurami pereł i złotych łańcuchów, a uszy rozciągała ciężkimi kolczykami. To prawda, wcześniej wyglądała jak rachityczna choinka, ledwo dźwigająca dekorację. Teraz jak starsza pani na kawce w Portofino. Była to niewątpliwie zasługa Angeliny.

Sama jednak nie zamierzała poddać się żadnym metamorfozom. Nie dała się namówić na ufarbowanie siwiejącego puchu, który zaczął się mierzwić nad ciemnymi włosami. Ani na zmianę fryzury. Wiązała gładko włosy w kucyk albo ukręcała z nich kok. Nie wyraziła również zgody na „wprowadzenie żywych kolorów”, bo wszystko, co ma w szafie, podobno przypomina „kolory ziemi”. I to „jałowej ziemi”, jak zwykła dodawać Angelina.

– Titi, co ty na to? – ciotka powtórzyła pytanie, obracając się wokół własnej osi.

– Robiłaś dziurę w suficie, żebym przyszła podziwiać kropki? – zapytała z wyrzutem.

– Ach, przecież ty nic nie wiesz! Siadaj. – Józefina zatrzymała ją w pół kroku i kościstym palcem pokazała fotel. – Lina – zaczęła, dopiero gdy Tycjana usiadła – uratowała dzisiaj topielca. Samobójcę topielca – dodała z powagą w głosie. – Oczywiście niedosłego topielca, bo go uratowała...

– Z Warty? – zdziwiła się Tycjana, przypominając sobie, że słyszała o jakichś zdjęciach nad rzeką.

– Nie! Jakiej Warty! Z naszego stawu – oświadczyła podniosłym tonem Józefina.

– Jakiego naszego?

– Sołackiego – wyjaśniła ciotka, rozkładając ręce. – A masz tu w okolicy jakiś inny?

Tycjana popatrzyła na siostrę, a ta przytaknęła z przesadną uprzejmością.

– Przecież tam jest pewnie z metr wody. – Tycjana zaśmiała się, przywołując ze wspomnień nieckę, którą widziała w czasie odmulania stawu. Stała na mostku, gdy opróżniono stawek z wody. Pamiętała to doskonale. Niezbyt przyjemny widok. – To niemożliwe. Najwyżej półtora – skwitowała.

– A jeśli topielec ma metr trzydzieści? – odparowała Angelina z pełną wyższości miną, kręcąc głową.

– Dziecko?!

– Nie – uspokoiła ją. – Też tak na początku myślałam. Ale pięćdziesiąt, może więcej lat. Albo się myślę, bo oni chyba różnie się starzeją.

– Karzeł – dodała Józefina, gdy Tycjana zmarszczyła czoło, usiłując dobrze zrozumieć, co się do niej mówi.

– Karzeł? – powtórzyła.

– Oni chyba nie lubią, jak się tak o nich mówi – sprostowała Angelina.

– A jak lubią? – zapytała z ciekawością Józefina, podając Tycjanie szklanekę z wodą.

– Nie wiem. Nie pamiętam, a przecież mam takich aktorów, jednego malowałam do *Śpiącej Królowny*.

– Jednego? – zdziwiła się Józefina. – Myślałam, że ich tam było więcej – zaczęła liczyć na palcach. – Tych krasnoludków...

– Wszystko z nim w porządku? – przerwała jej Tycjana, wiedząc, że ciotka potrafi się zafiksować na czymś nieprzewidywalnym i nieważnym, a potem dalej ciągnąć temat bez opamiętania. – Na pewno chciał się zabić?

– Nie wiem. Chyba tak. Po co inaczej szedłby przed siebie. Aż go woda zakryła. Raczej nie po to, żeby spacerować po dnie. Jak go wyciągnęłam, to ledwo dech łąpał. Jak ryba na brzegu. – Angelina zaczęła udawać żywego karpia zdychającego w reklamówce.

– A co potem?

– Nic. Zawiozłam go do domu i zostawiłam za bramą. Spieszyłam się. – Podrapała się po czole. – Chyba jednak nie do końca to ogarnęłam. Nie mogę sobie przypomnieć, gdzie ja go zostawiłam. Co to za ulica była? – zastanawiała się. – Jakoś tak w prawo i jeszcze raz chyba w prawo albo w lewo...

– Zostawiłaś go na ulicy?

– Nie, wszedł do domu – wtrąciła się Józefina. – Wszystko z nim w porządku – dodała, mrugając porozumiewawczo.

– Dzwoniłaś? – Tycjana zapytała ciotkę, ale Józefina puściła pytanie mimo uszu.

– Wody? – zapytała, choć Tycjana nie tknęła jeszcze wypełnionej po brzegi szklanki.

– Przejdę się tam – oświadczyła Angelina.

– I weszłaś do tego stawu? – zapytała Tycjana. Ciągle nie była pewna, czy dobrze wszystko usłyszała.

– Myślałam, że to dziecko. Inaczej za nic na świecie bym tam palca nie wsadziła. Jeszcze zimno było. Dopiero jak go wyciągnęłam, okazało się, że to dorosły człowiek. A w jakim ja byłam szoku. Jak go zobaczyłam, to go z powrotem do tej wody... – Pokazała, jak odrzuciła od siebie topielca. – Nie macie pojęcia, jak się zdziwiłam. Dżizas...

– Nic ci nie jest? – zapytała Tycjana, próbując się nie roześmiać na myśl o tej scenie.

– Nie. Szok minął, zresztą byłam już spóźniona. Potem nie miałam czasu myśleć. Panna była taka kapryśna, a ja nie miałam nastroju, żeby słuchać jej fanaberii. Włosy to jej upięłam jedną ręką...

– Pytałam o skórę – sprostowała Tycjana.

– A dlaczego? – zapytała Angelina, nerwowo popatrując na ramiona. – Co jest w tym stawie? – wykrzyknęła, podciągając spódnicę i oglądając nogi.

– Woda z Bogdanki – wyjaśniła. – Ale i deszczówka ze wszystkich okolicznych ulic.

– Nie mów – jęknęła siostra i zaczęła się drapać po całym ciele.

– Nie strasz jej – zainteresowała ciotka, widząc, jak dziewczyna zrywa się z fotela i zaczyna oglądać z każdej strony. – Linka, uspokój się. Z nieba też przecież pada deszczówka.

– Ale to jest brud z ulicy! Psy sikają, ludzie plują i rzygają... Jezu! Jak dobrze, że tego nie wiedziałam wcześniej. Bleeee. – Wystawiła język, jakby miała zamiar zaraz zwymiotować. – Niedobrze mi – potwierdziła to jeszcze słowami.

– Tylko przesadzaj, nie widziałam nikogo, kto by wymiotował. Poza tym to czysty, piękny staw... Codziennie tam chodzę – próbowała ją uspokajać Józefina.

– Się kąpać?! – spytała Angelina z obrzydzeniem.

– Strasburger wszedł do stawu po nenufary i nic mu nie było – przypomniała sobie ciotka, a Angelina przewróciła oczami.

– Jezu, idę to z siebie zmyć!

– Od tego powinnaś zacząć! – Tycjana pokiwała głową.

– A ty nie bądź taka starsza siostra – przedrzeźniała ją ze złością w głosie. – Powtarzasz, że ja najpierw coś robię, a potem myślę, a że ty niby myślisz, a potem robisz. Tylko z reguły wtedy to nie ma już nic do zrobienia, a ja...

– Nie trać czasu. – Tycjana obdarzyła ją szczerym uśmiechem.

Angelina nie odpowiedziała już, tylko pobiegła w kierunku wyjścia.

– Przyniesiesz mi torbę z samochodu? – poprosiła, krzycząc z końca korytarza.

– Jasne. – Tycjana machnęła ręką. – Leć, góra otwarta. Dzielna dziewczynka! – krzyknęła, nim drzwi się zatrzasnęły. – Naprawdę dzielna – dodała, gdy zostały same z Józefiną. Rozczuliła się, a nawet zawstydziła tym nagłym przyływem uczuć do narwanej, dopiero co poznanej siostry.

– Możesz być z niej dumna – stwierdziła ciotka.

– Jestem – odparła bez zastanowienia. – Ona nie wiedziała, ile jest tej wody.

– Jakby na mnie trafiło, to nic by go nie uratowało! Tylko czoło by mi wystawało, a pływać nie potrafię. I jeszcze podobno ryby tam są, a ja się brzydzę łusek. Od dziecka. – Ciotka się wzdrygnęła.

– Dzwoniłaś do niego? – zapytała Tycjana, zmieniając temat. Józefina pokręciła głową. – A do jego matki?

– Macochy – sprostowała ciotka.

– Wszystko jedno, dzwoniłaś? Przecież się przyjaźnicie?

– Nie widziałam się z nią od miesiący, jeśli chcesz wiedzieć – zachnęła się Józefina. Tycjana nie wiedziała, czemu się tak obruszyła. – Przepraszam cię. – Staruszka stuknęła się w czoło, jakby właśnie coś sobie przypomniała. – Jestem umówiona, znaczy zaraz będę. Jak chcesz, możesz wziąć na górę – zaproponowała, pokazując szklankę, z której Tycjana nie zdążyła upić nawet łyka. – Tylko przynies później –

dodała.

– Idę po te rzeczy... – oznajmiła dziewczyna.

Lucynka

WCZESNE POPOŁUDNIE BYŁO UPALNE I LENIWE. Po parku Sołackim spacerowały matki z wózkami, starszakiwie zajmowali zacienione ławki, rowerzyści pomykali własnymi ścieżkami.

A Józefina Raj dostojnie zmierzała drobnym krokiem w kierunku drewnianego mostka przerzuconego między większym i mniejszym stawem. Podpierała się przy tym laską ozdobioną wzorkiem flamingów w tańcu godowym. Prezent od Angeliny, która przekonała ciotkę, by się jej nie wstydzić, tylko wykorzystać laskę jako element dekoracyjny. Obdarowała ją zresztą kilkoma. Ta laska z daleka wyglądała na różową. Kolor pasował do jedwabnej apaszki, ale skusił też kilkuletnią dziewczynkę, która wyrwała się matce prowadzącej wózek i próbowała ją chwycić, wyciągając rączkę.

– Moja! – wrzasnęła, gdy udało się jej złapać koniec.

Pociągnięcie nie było mocne, ale na tyle niespodziewane, że Józefina ledwo utrzymała równowagę.

– Moja! – odkrzyknęła zaskoczona.

– To zabawka – odparowała dziewczynka, ciągnąc ją do siebie.

– Ale na starość. – Szarpnęła tak, że dziewczynka przewróciła się na pupę i zaczęła krzyczeć wniebogłosy.

– Jak pani się zachowuje! To tylko dziecko! – zaprotestowała matka, rzucając wrogie spojrzenie w kierunku zdumionej Józefiny.

– To niech je pani trzyma przy sobie – wtrąciła się niespodziewanie kobieta w opiętych legginsach w kolorze khaki i równie obcisłej koszulce w plamiasty wojskowy deseń. Była duża i bojowo nastawiona. Matka dziewczynki próbowała coś powiedzieć, ale nie miała szans. Kobieta chwyciła się pod boki i nadeła pulchne policzki. Minę miała groźną i potrząsała głową, aż poruszały się jej krótkie, skręcone trwałą ondulacją czerwonorude kędziory. – Za moich czasów tobym taką laską przez plecy dostała, a matka by jeszcze poprawiła – huknęła tak, żeby słyszeli wszyscy dookoła. Wyglądała, jakby stoczyła wiele takich walk, i to w wadze ciężkiej.

Kobieta, która zamierzała coś jeszcze powiedzieć, zamknęła na w pół otwarte usta, a dziewczynka momentalnie przestała płakać, patrząc z ciekawością.

– Idziemy, pani Józefino – zakomenderowała przybyła z odsieczką rudowłosa i uniosła podbródek. – Gdzieś dalej od tych rozwydrzonych matek – dodała, odwracając się plecami do kobiety podnoszącej dziecko, które znowu się rozplakało.

– Lucynka, aleś ty się na nią rzuciła. – Józefina pokręciła głową z uznaniem, gdy tylko odeszły kilka kroków dalej. Wiedziała, że jest szorstka, ale że tak waleczna...

– Bo ja mam trzy synowe – wyjaśniła kobieta, kręcąc z dezaprobatą głową. – I jak tak patrzę, jak one te dzieci wychowują... ale szkoda gadać. – Machnęła ręką, gdy tylko weszły na pochyły drewniany mostek tworzący malowniczy łuk nad przewężeniem łączącym parkowe stawy.

Józefina pojęcia nie miała, jak Lucynie Kołodziej udało się wychować tyle potomstwa, a ona tego nie zauważyła. Sprzątała wielki dom Solisom, a jeszcze od czasu do czasu inne rezydencje w sąsiedztwie. Robiła to, od kiedy Józefina pamiętała. Już ze dwadzieścia lat.

– I trzech synów...? – zapytała dla pewności.

– Nie! Syna mam jednego, ale synowe trzy.

– Aha! – przytaknęła Józefina, udając, że doskonale rozumie współczesny świat.

– No tak! – Lucynka rozłożyła ręce, stanąwszy na środku mostka. Oparła się o drewnianą barierkę, aź ta zatrzęszczała. – Dziecko z każdą, ślubu z żadną. Niby wszystkie takie mądre, wykształcone, a głupie... – jęknęła z dezaprobatą. – Co robić? Muszę wszystkie jednakowo traktować. A myślę, że to jeszcze nie koniec. – Pogroziła palcem, patrząc przed siebie.

– Nie wystarczy mu już potomstwa? – zdziwiła się Józefina, zerkając na pulchną rękę.

Lucyna Kołodziej zaśmiała się, nie bez lekkiej dumy.

– Taki artysta mi się trafił. Wszystkie go chcą. Same go sobie wrywają. Jedna przez drugą. Mówi, że jak będzie żona, to będzie inaczej. – Machnęła ręką i sięgnęła do torebki, by wyciągnąć foliowy

woreczek. – Płactwo jest dobre na poszarpane nerwy. Kiedyś to tylko przez tego mojego dzieciaka karmilam – powiedziała, wyciągając z foliówki parę kromek chleba. Kaczki jak na zawołanie zaczęły pływać pod mostek. – Żeby się uspokoić, bo mnie nerwy ponoszą, rozumie pani, co chwila dobra nowina, a ustatkowania żadnego – wyjaśniła, potrząsając czerwonorudymi lokami. – Wiedziałam, że jak do domu wrócę, to usłyszę, co nowego zmajstrował. – Pokręciła głową. Bez ojca chowany – dodała. – A szkoda gadać. A teraz to w dwie strony idę i karmię. Jak do Solisów do roboty to też – podsumowała, rzucając kawałki kromek do wody. Kaczki na wyścigi chwytają pływające okruchy. – Przynajmniej się chleb nie marnuje.

– A co się dzieje? – zapytała Józefina niby od niechcenia, patrząc na przepychające się płactwo.

– A szkoda gadać... Dawno pani nie było. Szkoda gadać. W tym całym domu coś nie styka. A już od kiedy pani Nina wyszła znowu za męża, za tego... Ale co ja tam mówię! Wszyscy są tam siebie warci – stwierdziła Lucyna Kołodziej i rzuciła prawie całą pajdę. Podpłynęło jeszcze więcej płactwa i zaczęło rozrywać co pokąźniejsze kawałki. – O! Patrzy pani. Tak se będą majątek z gardła wyciągać, aż się pozabijają nawzajem – skwitowała, z niezadowolaniem kręcąc głową. – Tylko kto więcej się nachapie! Kto więcej! Na wyścigi. A przecież pieniądze to nie najważniejsze są – dodała, rozkruszając kolejną kromkę chleba i patrząc, jak kaczki rozpychają się między sobą. – Ludzie nie kaczki, wszystkiego nie przejedzą. – Westchnęła głośno, opierając się całym ciałem o drewnianą poręcz. Aż zatrzęszczało.

– Dlaczego majątek do podziąka? Przecież Nina nie umiera? – zapytała Józefina, dyskretnie odsuwając się od wiekowych sztachetek.

Lucyna wzniosła oczy do nieba.

– Oby nie, ale kto wie. Ja tam prawie do niej nie zaglądam. Obrażona jestem. Robię swoje i wychodzę.

– Co się stało?

– Bywało różnie, wiadomo, kupę lat. Trudna kobieta jest. Nawet mnie poucza, choć ja się tam nie daję. Ale teraz jest najgorzej.

– Ale co się stało? – powtórzyła Józefina.

– Szkoda gadać. – Lucyna znowu zamachnęła się ręką. – Od miesiąca, od kiedy tę nogę złamała, kazała sobie czerwone nitki na rękę powiązać, że niby to od uroków ją chroni. Chyba ten mąż doktorek jej coś nagadał. Ona to już tylko jego słucha.

Józefina słuchała z wielkim zainteresowaniem. Nie została zaproszona na ślub, niby taki kameralny był, tylko najbliższa rodzina, ale od tego momentu już się nie spotkały. Zresztą Nina Solis, ku ogromnemu rozczarowaniu Józefiny, wcale o takie spotkanie nie zabiegała. To był wystarczający powód, by zamrozić kontakty, choć Józefina ciekawa była bardzo.

– On jest lekarzem? – zapytała zaintrygowana. – Nie wiedziałam.

– Jaki tam lekarz. – Lucyna się skrzywiła. – Doktor na niego mówią, a on doktor od nie wiadomo czego. Chyba od wyjeżdżania z domu. Kobiety na starość to strasznie głupie się robią – stwierdziła, a kiedy Józefina znacząco chrząknęła, natychmiast się poprawiła: – Wiadomo, nie wszystkie. Na pewno te, co młodszego męża sobie biorą. Szkoda gadać, żal patrzeć, a słuchać nie ma po co, bo tak potrafi powiedzieć, że aż człowieka skręci. Niech sobie sama siedzi, skoro tak chce.

– Oczywiście – potwierdziła z wyższością Józefina. – A dzieci jej nie odwiedzają?

– Odwiedzają, odwiedzają. – Lucyna pokiwała głową. – Na wyścigi – dodała, rzucając chleb dużo dalej. Kaczki zaczęły płynąć w kierunku unoszących się na wodzie kawałków, pomagając sobie trzepotaniem skrzydeł. – Solisowa ogłosiła, że majątek dzieli, niby dla porządku, to ją odwiedzają. A mnie tylko pytają, który to był przed nimi. Czy sam? Czy z kimś? Kiedy, o której? Czy aby nie z jakimś notariuszem? A skąd mam to wiedzieć, skoro sprzątam? Cały dzień tam nie siedzę. Ale jak tylko przyjdę, wszyscy to samo.

– Wszyscy?

– Ten Wiktor, najstarszy, z żoną, co pantofel nad nim trzyma. Ta się w kółko dopytuje. Boi się, żeby kto jej męża nie wysiadał, że niby taki fajtłapa. Ale on nie fajtłapa, a raczej taka cicha woda. Ale nie ma co gadać. – Rzuciła ostatni trzymany w rękę kawałek chleba. – No i ta Tamara, środkowa, bez męża teraz... – chrząknęła z niechęcią – bo się znowu rozwiodła. Mówi się: do trzech razy sztuka. Zobaczymy! – orzekła, z dezaprobatą kręcąc głową. – I nawet Aleks, ten najmłodszy, ze świata wrócił – wymieniała, kręcąc głową. – I teraz nagle się nigdzie nie wybiera, choć wcześniej to w domu go utrzymać nie można było. Nawet na święta! – dodała z oburzeniem.

– A Kacper? – zapytała Józefina.

– A tego małego to, pani powiem, najbardziej mi żal – oświadczyła Lucyna, wytrzępując nad wodą okruszki z foliowej torebki. – Najstarszy w sumie jest. Poszkodowany przez los przecież. Wiadomo, nie urósł od dziecka. Myślałam, że ona nawet jest dobra dla niego. Nieraz broniła przed mężem, pamięta pani? Jak mu głupoty w głowie były. – Józefina kiwnęła głową, choć nie bardzo mogła sobie przypomnieć, nie chciała jednak przerywać monologu, tym bardziej że Lucyna spojrziała na zegarek, którego cienki pasek wpijał się w pulchny nadgarstek. – Czas na mnie. No, jak ojca okradł – wyjaśniła. – Pamięta pani. Nie? A to dawno i nieprawda, szkoda gadać. – Złożyła woreczek w kostkę i schowała do torebki. – Ale myślałam, że go lubi. Tak myślałam – powtórzyła, kładąc rękę na piersi. – Ale teraz okazało się, że pasierb to pasierb... O swoją krew się dba, jak śmierć zagląda w oczy. – Wzdrygnęła się, a Józefina razem z nią.

– Jaka śmierć. Przestań – zachnęła się Józefina, która od Niny Solis była starsza dobre parę lat.

– Mogę przestać, ale ona długo nie pociągnie, mówię pani. Ktoś nie wytrzyma...

– A co z tym Kacprem? – Józefina zmieniła temat, bo to interesowało ją najbardziej.

– A... Solisowa zapowiedziała, że on w spadku to tylko książkę dostanie – powiedziała Lucyna, rozkładając ręce. – A co mu po książce, jak on pełno książek ma. – Wzruszyła ramionami. – Iść już muszę – oświadczyła, znowu spoglądając na zegarek. – Teraz to podłogi po dwa razy zmywam. A te okna u pani to w przyszłym tygodniu dopiero dałabym radę...

Józefina spojrziała na nią i dopiero po chwili przypomniała sobie powód, jaki wymyśliła, żeby się z nią spotkać.

Do Niny dzwoniła dwa razy, wiedząc, że teraz ma doskonały pretekst do odwiedzin, ale Solisowa nie odbierała. Do Kacpra Solisa nie miała telefonu. Zresztą, jak przypuszczała, po takim poranku w wodzie może nie mieć ochoty na rozmowy z koleżankami macochy.

– Może być w przyszłym tygodniu? – usłyszała powtórzone pytanie.

– Nie ma problemu. Umówimy się później. A teraz pójdę z tobą – zaproponowała, chwytając Lucynę pod rękę. – To co z tym Kacprem? Co on na to?

– Lepiej nie mówić. – Zaczęła powoli schodzić z mostka. – Zamknął się w sobie, biedaczyna. Z domku nie wychodzi. Nawet mnie nie wpuszcza. Nie narzekam, mniej roboty, ale żeby jakiego nie-szczęścia z tego nie było – stwierdziła, mrużąc oczy złowieszczo.

Józefina przytaknęła ze zrozumieniem. Potem obejrzała się jeszcze na staw i wzdrygnęła na widok ciemnej wody, pływających kaczek i rzęsy unoszącej się na powierzchni.

Rękopis

– DOŚĆ! – POWIEDZIAŁA TYCJANA parę godzin później i odłożyła pędzel do kubka z wodą. Woda miała już kolor zgniłej zieleni, mniej więcej taki jak trawa na restaurowanym obrazie. Należało ją wymienić, a obraz zostawić na chwilę do przeschnięcia. I przede wszystkim wyrzucić Angelinę z wanny, do której od dwóch godzin lała się woda. Upominała ją już ze dwa razy. Teraz postanowiła być skuteczna.

Z takim właśnie postanowieniem wyszła z pokoju. Z impetem otworzyła drzwi i od razu ten impet wytraciła, zderzając się z krawieckim manekinem, który tarasował przejście w korytarzu. Ignorowała go, ale teraz nie wytrzymała. Manekin prezentował jakiś generalski mundur ze złotymi epoletami, za które wetknięte było różowe, zamiatające podłogę boa. Wzięła głęboki oddech, obwiązała pierzasty sznur wokół generalskiej szyi i zaniósła manekin z powrotem do pokoju Angeliny. Ustawiła go pod teatralną toaletką, na której dwie drewniane głowy eksponowały do połowy zrobione peruki. Wypuściła powietrze z ust, po cichu licząc do pięciu, i wyszła, ostrożnie stąpając pomiędzy porozrzucanymi na ziemi tiulami, wstążkami, ciuchami. Nie zamierzała tego komentować. Już dawno ustaliły, że próg jest niewidzialną granicą, za którą przestrzeń rządzi się ich własnymi prawami. Nie zamierzała ogarniać tego „artystycznego” bałaganu, tak jak nie pozwalała siostrze na wprowadzenie „życia, koloru i szaleństwa” do swojego poukładanego świata. Niemniej jednak reszta mieszkania miała być neutralna. Generalski mundur w korytarzu neutralny nie był, ale dziś nie chciała robić o to awantury. Dziś na pewno nie.

Zastukała do drzwi łazienki.

– Długo jeszcze? – zapytała, usiłując przebić się głosem przez szum wody.

– Jakieś pół roku – odparła Angelina.

– A możesz zakręcić kran?

– Mam wstręt do stojącej wody.

Westchnęła.

– Przyniosłam twoje rzeczy z samochodu, że też ci się ramię nie urwie. – Pokręciła głową, patrząc na torbę wielkości dużego worka na odpady.

– Zostaw w korytarzu.

– Zostawiłam godzinę temu. Jeszcze coś leżało na tylnym siedzeniu – dodała, opierając się o drzwi łazienki. – Wzięłam, żeby dwa razy nie chodzić.

– Co? – zapytała Angelina.

– Nie wiem. Jakiś rekwizyt pewnie, bo to mała marynarka i coś jak gruby zeszyt. – Nie liczyła na większy efekt, ale o dziwo woda przestała się lać.

– Rety! Zapomniałam! – wykrzyknęła Angelina. – Podaj, co?

Tycjana otworzyła drzwi. Od samego progu buchnęła na nią chmura pary. Gdy się przeredziła, ledwo dojrzała głowę Angeliny wystającą znad obłoków piany. Właściwie widziała tylko oczy i uplątany na czubku głowy spiczasty kok. Resztę twarzy zasłaniała złota maska, która już stężeła i zaczęła odklejać się od policzków. Płaty o konsystencji cienkiej gumy przypominały odrywającą się skórę. Siostra wyglądała upiornie.

– Podaj – powtórzyła Angelina, wyciągając w jej kierunku zmacerowane od wody palce.

Tycjana zaczęła od czarnej marynarki.

– Nie to. – Angelina się skrzywiła. – Ten zeszyt daj... – Wyprostowała się, wychylając się z wanny. – Tam może być ostatnie słowo.

– Jakie słowo? – zdziwiła się Tycjana, patrząc na gruby brulion w sztywnej tekturowej okładce.

Siostra nerwowo przebiebrała palcami.

– No daj – zażądała i chwyciła zeszyt. Odgarnęła pianę i położyła go na skraju wanny. – Może to jego ostatnia wola albo jakiś list pożegnalny.

– Bardzo opasła ostatnia wola albo bardzo, bardzo długi list – skomentowała Tycjana. – Nie wiem, czy powinnaś to otwierać, raczej... – Nie zdążyła dokończyć.

Angelina już zaczęła pocierać dwoma palcami włosy, oceniając, że to chyba najsuchsze, co ma pod ręką.

– Jakby się utopił, tobym to znalazła i otworzyła. Na trawie leżało. A poza tym muszę to odnieść. A jak mam się dowiedzieć gdzie? – Wzruszyła ramionami i odpadło jej pół policzka, który próbowała z powrotem przylepić do twarzy. – Mam pukać od drzwi do drzwi i pytać, czy mieszka tu karzeł? Nie mogę sobie przypomnieć, na której ulicy go wysadziłam.

– Józefina go zna, choć nie chce się przyznać.

– Dlaczego? – zapytała Angelina, przytrzymując maskę na zmarszczonym przed chwilą czole.

– Tego nie odgadnę, ale gdyby nie chciała powiedzieć, to... – Chrząknęła. – Zdaje się, masz znajomego policjanta – przypomniała, podając jej suchy ręcznik.

– Zawieszono go policjanta – poprawiła ją Angelina. – Którego, zdaje się – podkreśliła ostatnie słowo, przedrzeźniając Tycjanę – chyba nigdy już nie odwieszą. Detektyw. Niby męski zawód, a ten obrazalski jak panna.

– A co ci zrobił? – zapytała, odwracając głowę i gapiąc się na dekor w kafelkach, jakby widziała go pierwszy raz w życiu.

– Zapamiętaj to sobie! Jarota już mnie nie interesuje – prychnęła Angelina, zdmuchując pianę z nosa.

– Co się stało? – Tycjana czuła, jak przyspiesza jej puls.

– Sprzykrzył mi się. Nie wiem, dlaczego ty się z nim nie spiknęłaś. Lepiej do siebie pasujecie – oświadczyła Angelina, wycierając ręce.

– Ale stało się coś? – dociekała Tycjana, przeżykając ślinę.

– Nic. Już mnie nie gilga – stwierdziła Angelina, rzucając ręcznik na podłogę.

Tycjana szybko schyliła się po niego. Nie martwiła się o ręcznik. Za to bardzo, ale to bardzo nie chciała, żeby siostra widziała jej minę. Poczwała, jak ręka jej drży, krew uderza do głowy. Musiała wziąć kilka głębszych oddechów, nim się wyprostowała.

– Józefina doskonale wie, kogo rano wyratowałaś – poinformowała Angelinę, odwieszając ręcznik – choć z jakiegoś powodu nie mówi – dodała bezsensownie, wygładzając materiał frotté. Bała się odwrócić. Zastanawiała się, czy cisza za plecami nie świadczy o tym, że siostra bacznie się jej przygląda.

Próbowała ukryć przed samą sobą, że Jarota przyprawia ją o szybsze bicie serca, i ledwo się to udawało. A robienie z tego sekretu przed siostrą, która zupełnie tego nieświadoma, zaczęła się z nim spotykać, było jeszcze trudniejsze. Już nie raz usłyszała, choćby od ciotki, że jest o nią zwyczajnie zazdrosna. Była jedynaczką i nagle pojawiła się ta druga, choć jej rodzice już nie żyli. Mogło być w tym trochę prawdy. A może była zwyczajnie zbyt dumna, by się przyznać do swoich uczuć. Jarota, w wieku Angeliny, od niej samej usłyszał, że nie jest nim zainteresowana. Żle zrozumiał jej słowa, mogła to sprostować, ale tego nie zrobiła. Najpierw czekała, a gdy się spóźniła, nie chciała, żeby ktoś pomyślał, że rywalizuje z młodszą siostrą. „Masz trzydzieści parę lat, a ciągle się przejmujesz, kto co pomyśli!” – powtarzał jej były mąż. Mylił się w wielu kwestiach, ale w tej może miał rację. Wzięła głęboki oddech i odwróciła się.

Angelina wcale na nią nie patrzyła. Otworzyła brulion i ledwo potrafiła ukryć rozczarowanie, przewracając pierwszą niezapisaną stronę. Druga też była pusta. Nagle jednak gumiaasty płat odkleił się od brody i trząśniętą się wraz z radośnie drgającym podbródkiem.

Trzecia strona bowiem prezentowała się spektakularnie. Parę linijek zapisanych drobnymi literkami, wyglądało to jak rzędy maszerujących gęsiego mrówek. Za to tytuł był wielki. Pięknie wykaligrafowany, z przesadnie okrągłymi literami. Litery zaś były zakończone olbrzymimi, wielokrotnie przecinającymi się zawijasami, które pęliły się wokół pierwszego i ostatniego pociągnięcia pióra.

– Ożeż! Ale to ładne – zachwyciła się.

– Co to? – zapytała Tycjana, podchodząc.

– PAMIĘTNIK KARŁA – przeczytała na głos Angelina. Pochyliła bardziej głowę, by odcyfrować kilkukrotnie mniejszy tekst zamieszczony pod tytułem. – Losy najświetniejszego karła osiemnastowiecznej Europy – powoli cedziła słowa, przytrzymując ręką czoło, by zsuwający się płat maski nie zasłaniał jej oczu. – Celebryty, wirtuoza, alchemika, bywalca i znalazcy kamienia filozoficznego – czytała, co chwilę podnosząc głowę i patrząc na nie mniej oszupiałą Tycjanę, która kucnęła przy skraju wanny. – Sztuka w trzech aktach – dodała z niedowierzaniem. – Co to za sztuka? – zapytała oszołomiona.

Tycjana w ostatniej chwili dostrzegła wielką kluskę piany, która spływała jej z szyi prosto na czytana stronę. Wyszarpnęła jej brulion z ręki.

- Co robisz?! – wrzasnęła Angelina, z wściekłością uderzając otwartą dłonią w wodę. Prawie ją ochlapała.
- Nie wiem, czy powinnaś to czytać – oznajmiła Tycjana poważnym głosem. Wstała i cofnęła się dwa kroki. – Nie ja to znalazłam, nie ja uratowałam topielca...
- Właśnie!
- Ale wiem na pewno, że nie powinnaś tego czytać... tutaj – dodała kategorycznym tonem.
- Bo co? – zachnęła się Angelina. Maską już całkiem odlepiła się od jednego policzka i połowy czoła i przesłoniła jej oko.
- Bo to bardzo piękny i bardzo gruby, dobrej jakości papier, ma swoją gramaturę – zaczęła tłumaczyć Tycjana.
- Jest stary? – przerwała jej Angelina, poprawiając maskę nad okiem.
- Nie. Ta firma od dziesięciu lat jest w Polsce. Można go kupić w specjalistycznych sklepach malar-skich. Idealny do kaligrafowania. – Tycjana zamknęła zeszyt. – I o to chodzi. To rękopis. Ręcznie zapi-sany...
- Angelina z wściekłością zerwała maseczkę z twarzy i wrzuciła w odmęty piany.
- Wiem, co to rękopis! – wykrzyknęła.
- Ale nie wiem, czy wiesz, że to jest pisane piórem. Stalówką i atramentem. – Tycjana odruchowo otworzyła brulion w połowie. Tam też roilo się od małych, gęsto utkanych literek. Pokazała Angeli-nie z daleka. – Ten papier jest w stanie wpić z litr wody, a tyle tu jest w powietrzu. I nie chodzi tylko o to, że się pofałduje. W wielu miejscach ten tekst może się rozmasać i już się tego nigdy nie odczyta. Będzie jedna wielka plama. C, a, e będą nie do odróżnienia. I nie patrz tak na mnie. To małe litery. Zleją się. Nie mówiąc już o tym, że zaraz sama to zamoczysz. I to wszystko zwyczajnie się rozplynie. Na zawsze – oświadczyła na zakończenie i zamknęła zeszyt ostentacyjnym gestem. Podkreślając koniec dalszych pertraktacji.
- I nawet ty nie odzyskasz tego swoimi konserwatorskimi trikami? – zapytała Angelina, podejrzliwie mrużąc oczy.
- Nawet ja! – oświadczyła, przyciskając brulion do siebie, jakby już zaczęła go chronić.
- Żadną chemią z tych twoich słoiczków. Nie zetrzesz mokrej warstwy – przekomarzała się Ange-lina. – Nie wierzę...
- Nie będzie warstwy, będzie rozmas – syknęła Tycjana. – Zostawię ci to w pokoju. – Postukała pal-cem w okładkę. – Poczytasz, jak wyjdiesz. I wytrzymaj się dokładnie.
- Zawsze taka byłaś? – zapytała Angelina, wyciągając korek z dna wanny. – Tycjana nie skomento-wała, odwróciła się i chwyciła za klamkę. – Może to i dobrze. – Westchnęła głośno.
- Co dobrze? – Tycjana zaraz pożałowała pytania. Mina siostry, coś pomiędzy jadowną zmiją a psotną, uroczą dziewczynką, zwiastowała znaną jej śpiewkę.
- Ze tatęś mnie nie chciał i nie mieszkaliśmy z tobą od małego. Zmarnowane dzieciństwo, to pewne... – usłyszała, nim zatrzasnęła za sobą drzwi.

Angelina szybko wyszła z łazienki, za to ze swego pokoju nie wynurzała się przez następne trzy godziny. Nawet nie niosło jej do kuchni. Była ciska jak makiem zasiał. Tycjana w tym czasie uprzątnęła swoją przestrzeń. Wysuszyła pędzle, posegregowała nożyki, skrobaki i szpatułki. Skończyła pracę. Zapakowała obraz, przewiązała papier sznurkiem i położyła na środku stołu dublażowego. W końcu usiadła na kanapie, by się spokojnie zastanowić, bo przeróżne myśli chodziły jej po głowie. Wtedy jed-nak drzwi raptownie się otworzyły, siostra z hukiem wparowała do pokoju i wskoczyła na jej tapczan. Ledwo utrzymała szklankę ze świeżo nalany sokiem.

Angelina zaczęła wachlować brulionem przed jej nosem. Granatowe włosy miała potargane, a różowe końcówki wywijają się we wszystkich kierunkach. Policzki zaczerwieniły się od podniecenia, a zielone oczy świeciły się jak u dziecka, które właśnie odnalazło schowany w szafie prezent urodzi-nowy i wyglądało, jakby odkryło wielką, wielką tajemnicę.

- Pojęcia nie masz, co tu jest! – zawołała.
- Trochę się domyślam – stwierdziła Tycjana, ostrożnie odstawiając szklankę.
- Tak, to sztuka teatralna! Doskonała! O prawdziwej postaci. Sprawdziłam. Boruwłaski zył naprawdę. Joujou na niego mówili. – Tycjana ledwo powstrzymała uśmiech. Angelina wypowiedziała to jak refren jakiejś raperskiej piosenki. – Nawet nie wiesz, co to znaczy – dodała.

- To zabawka, zabaweczka po francusku. Czyta się ŻuŻu.
- O, ładnie – ucieszyła się Angelina. – Ale nie o tym mówię. Wyobrażasz to sobie? Ciągłe nie mogę uwierzyć, jak to trafiło w moje ręce! – wykrzyknęła, unosząc rękopis nad głowę niczym trofeum. – Jak to się stało? – pytała rozanielona.
- Mokra robota, że tak powiem – skwitowała z uznaniem Tycjana.
- Nie, no nikt mi w to nie uwierzy... Od lat nie czytałam nic tak dobrego. Pośmiałam się, wzruszyłam. Niesamowita sprawa!
- Oświeć mnie – poprosiła zarażona ekscytacją siostry.
- Od oświecenia zacznę! – oświadczyła Angelina, z powagą kiwając głową. Otworzyła zeszyt na chybił trafił. – O masz, pięknie. Na przykład takie wyznanie: „Byłem modny, jak nowe suknie właśnie sprowadzane dla dam”. Nie masz pojęcia, jaką moc mają te słowa...
- Nie mam – przytaknęła Tycjana, uśmiechając się. Na modę nie zważała, ale takie zdanie rzeczywiście zwiastowało dobrą opowieść.
- Józefina jest u siebie? Muszę go szybko odnaleźć! Zanim znowu przyjdzie mu do głowy coś głupiego. – Angelina zeskoczyła z tapczanu. – To wielki człowiek, choć mały – dodała, machając brulionem.

Nina

JÓZEFINA PRZECHADZAŁA SIĘ PO OLBRYMIM, nowocześnie urządzonej willi Niny Solis. Czełała, aż ta dokuśtyka z łazienki. Trochę to już trwało, ale rozumiała, że z nogą w gipsie wszystko robi się wolniej. W tym czasie zwróciła uwagę na lampę w kształcie wielkiego końskiego łba okrytą abażurem, długi szklany stół, którego podstawę stanowił pewnie trzymetrowy w obwodzie plaster wiekowego drzewa, i kwadratowy olbrzymi wazon z wielkim bukietem ozdobnych słoneczników. Była zadziwiona wnętrzem, bo nie poznawała ani jednego przedmiotu. Po remoncie zniknęło wszystko, co znała. Nie wiedziała, co o tym myśleć, podeszła więc do okien tarasowych i zerknęła zza atlasowych, mocno udrapowanych zasłon. Patrzyła nie dlatego, że zazdrośnie kłuł ją w oczy szpaler rozkwitających słoneczników, z których kilka znalazło się wazonie. Trzy rzędy rozmaitych gatunków, z pąkami na różnych wysokościach, robiły niezwykle wrażenie. Jednak nie był to jej kwiat firmowy i nie posiadała milionów ani ogrodnika, który by to tak pięknie wyhodował. Poza tym słoneczniki słonecznikami – nie tylko one sprawiały, że jej czoło przecięła głęboka poprzeczna zmarszczka, a usta tworzyły prawie niewidoczną, zaciśniętą kreskę.

Z wielkiego okna salonu widać było zarośnięty bluszczem domek na skraju ogrodu. W porównaniu z willą Niny Solis był niewielki i skromny, pewnie cały zmieściłby się w tym przestronnym salonie. Od kiedy Józefina pamiętała, domek zbudowany dla ogrodnika zajmował Kacper Solis. Pierworodny niskorosły syn świętej pamięci Edmunda Solisa. Matki nigdy nie poznała, z tego, co wiedziała, sam Kacper również jej nie znał. Wychowywał go surowy ojciec, a później macocha Nina, która urodziła jeszcze trójkę dzieci. Z czasem powyprowadzały się z willi, a Kacper zamieszkał w ogrodzie. Rozrabiał za młodu, ale nie mogła sobie przypomnieć, o co chodziło. Nie widziała go całe lata, a teraz patrzyła na stojącą przed domkiem żeliwną misę, w której tliło się ognisko. Co jakiś czas podchodził do niego bardzo niski starszy już mężczyzna, dorzucał a to drewna, a to kartek. Właściwie nie podchodził, tylko snuł się z głową prawie przy ziemi.

Jeszcze rano myślała, że jej znajoma żyje beztrudnie, konsumując swoje pieniądze i nowo zawarty związek. To wszystko we względnej zgodzie i harmonii. Do popołudnia przekonanie to raptownie legło w gruzach. Najpierw się dowiedziała, że pasierb Niny chciał się utopić, później, że reszta jej dzieci chce się pozabijać, potem, że doktor nie jest lekarzem, a sama Nina obwiązuje się nitkami, bo się boi uroków. I to kto: Nina Solis, kobieta, która po śmierci męża niewielką przydomową mieszalnię kremów przerobiła na olbrzymią fabrykę kosmetyków. Która stworzyła markę, umieszczając swoje towary chyba w każdym sklepie! W głowie się to Józefinie nie mieściło. I nie mogła się doczekać, kiedy w końcu zobaczy Ninę. Może jest tak samo przybita i zrozpaczona? Na pewno, pomyślała, słysząc dźwięk kuli odbijającej się od marmurowych płytek w korytarzu.

– Nie masz pojęcia, jak dobrze cię znowu widzieć – przywitała ją Nina Solis, stając w wejściu do salonu.

– Ciebie też! – odpowiedziała Józefina i chciała uszczyplić się w policzek. Miała wrażenie, że patrząc na dawną znajomą, cofnęła się w czasie. Oczywiście, kule, ale mimo to Nina wyglądała o dziesięć, piętnaście lat młodziej od siebie i od niej. Można ją było ocenić najwyżej na pięćdziesiąt parę, góra sześćdziesiąt lat. A miała prawie siedemdziesiąt.

– Dobrze wyglądasz – zaczęła Nina.

– Ty lepiej – zrewanżowała się Józefina, ledwo ukrywając zazdrość. Nina była elegancka, zadbana, klasycznie ubrana, Angelina mogłaby powiedzieć, że zbyt idealnie, ale na pewno doceniłaby wyważony styl, dobry makijaż, doskonale obcięte włosy i profesjonalnie napiętą skórę.

– Dziękuję.

– Widzę, że małżeństwo ci służy – stwierdziła Józefina nie bez zazdrości w głosie.

Nina tylko się uśmiechnęła pod nosem i ruszyła w kierunku fotela przy oknie, do którego był dostawiony ogromny puf.

– Usiądźmy. Już mi Lucyna powiedziała, że bardzo chcesz się ze mną spotkać, dzwoniłaś, widziałam, ale nie mogłam podejść do telefonu. – Pokazała na nogę do kolana w gipsie, którą ułożyła na pufie.
– Stało się coś?

Nieladnie, pomyślała Józefina. Skóra jak nowa, a wymówka jak sprzed dwudziestu lat. Za długo się jednak nie widziały, żeby powiedziała to głośno. Wzięła tylko pleciony z jakichś plastikowych włókien stołeczek i ustawiła go przy fotelu.

– Chodzi o twojego pasierba – wyznała, przysiadając obok.

– O Kacpra? – zdziwiła się szczerze Nina.

– Tak. – Józefina znacząco patrzyła w kierunku ogrodu. Po czym streściła jej wydarzenia z poranka i wszystko, co jej opowiedziała Angelina.

Nina przez dłuższy czas się nie odzywała, w końcu głośno westchnęła.

– Dramatyzuje – skwitowała jednym słowem całą historię.

– Jak to dramatyzuje? – prawie wykrzyknęła Józefina. – Co ty mówisz! – rzuciła zbulwersowana. – To dla widowiska chciał chodzić o świcie po dnie stawu? Jak jakiś wodnik Szuwarek?!

– Porozmawiam z nim jutro. Opacznie wszystko zrozumiał. – Nina pokiwała do siebie głową.

– Może za dobrze zrozumiał. – Józefina ledwo utrzymywała emocje na wodzy. Nie powinna się wtrącać. – Ale dowiedziałam się, to wiem i powiem! – oświadczyła z poważną miną. – Oczywiście to twój majątek. Zgadza się. Pomnożyłaś go dziesięciokrotnie albo stukrotnie. Oczywiście możesz nim dysponować, jak chcesz, ale książka... to chyba lekka przesada! Oczywiście nie umierasz jeszcze, ale mógł się poczuć niedowartościowany. – Nina patrzyła na nią bez słowa. Józefina przestraszyła się tego, co powiedziała. To nie była jej sprawa, ale nie mogła opanować wzburzenia. Nie zdziwiłaby się, gdyby Nina ją wyprosiła.

– A skąd to wiesz?

– Hmm... nie pamiętam, kto mi to powiedział – wycodziła Józefina.

– A Lucynę to niby przypadkiem na spacerze spotkałaś? – prychnęła pani domu.

– Akurat chciałam, żeby mi okna umyła... – Józefina zaczęła się jękać. Nina zmierzyła ją badawczym wzrokiem, więc nie odważyła się już powiedzieć nic więcej.

– Nie rozumiesz... – Nina machnęła ręką, jakby chciała zbagatelizować to, co usłyszała, a już na pewno zmienić temat.

– On chyba też nie zrozumiał! – zachnęła się Józefina, pokazując na ogród. – On coś tam pali...

– Nie wiem, co tam pali, ale ja mam swoje plany. Kiedyś to pojmie – dodała ze zniecierpliwieniem macocha Kacpra.

– Zaraz po tym, jak się utopi? – skwitowała Józefina, która odzyskała animusz i nie dawała za wygraną. Chciała jeszcze o tym pomówić, ale Nina zaczęła się rozglądać i nasłuchiwać.

– Zrozumie. Zapewniam cię. A teraz ciii... – Przyłożyła palec do ust i patrzyła na drzwi.

Józefina zamarła w oczekiwaniu, kto się w nich pojawi. Myślała, że może to będzie mąż, ale stanęła w nich drobna młoda kobieta. Miała niespełna trzydzieści lat, odlaną jak z formy szarą sukienkę z wystającym białym kołnierzykiem. Rude, kręcone włosy, duże, rogowe okulary na nosie i wąskie, zaciśnięte usta. Józefina spojrzała na koleżankę i w głowie się jej nie mieściło to, co widzi. Nina Solis, kobieta miesiąca, roku czy czego tam jeszcze kilku gazet, jakiejś telewizji, teraz zamilkła na widok wchodzącej do pokoju okularnicy i śledziła każdy jej gest. Józefina nie mogła się temu nadziwić. Tym bardziej że dziewczyna nie wyglądała groźnie, raczej sama była spięta.

– Przyniosłam herbatę i ciastka – oświadczyła, stawiając tacę na stoliku obok fotela.

– Skoro musiałaś – rzuciła Nina. Dziewczyna zastygła. – A teraz zostaw nas same, bo zasłaniasz mi światło z okna.

– Dziękujemy – powiedziała ośupiała Józefina najwyraźniej za siebie i koleżankę, bo ta nie wyglądała, jakby zamierzała podziękować.

– Skoro pani Lucyna sprząta na górze, to ja skorzystam z okazji i wyjdę na chwilę – oznajmiła. Widać było, jak bardzo stara się być uprzejma i z jak wielkim trudem jej to przychodzi. Stale wykrzywiała usta w wymuszonym uśmiechu, ale z nerwów trzęsła się jej zuchwa.

– Może pani nie wracać – prychnęła Nina, odwracając głowę.

– Muszę. Taki mam obowiązek – odpowiedziała, przełykając, jakby jej zaschło w gardle.

– Ale ja panią, pani Aldonko, z tego obowiązku zwalniam – odparowała Nina, nawet na nią nie oglądając. – I to natychmiast.

– Tylko że nie pani mnie zatrudniła i nie pani mi płaci – wyrzuciła z siebie dziewczyna emocjonalnie, zdecydowanie bezczelnie, i jakby sama się tego przestraszyła. Józefina wdziała, jak przywołuje się do porządku, zaciskając palce jednej ręki drugą, aż zrobiły się czerwone. – Przepraszam – wycedziła po chwili. – Czy mam zadzwonić po kogoś z pani dzieci? W razie jakichś nieporozumień miałam... – dodała przez prawie zaciśnięte zęby.

– Ciekawe, do którego najpierw. – Nina się zaśmiała. – A do pani wiadomości, wszystkie moje dzieci wydziedziczyłam, więc za chwilę nie będą tak chętnie pani płacić – oświadczyła, patrząc jej prosto w oczy.

– Ale teraz... – Dziewczyna próbowała coś powiedzieć, w końcu tylko opuściła głowę, przełknęła ślinę i zaczęła nerwowo zacierać ręce.

– Dobrze. Idź już. Masz wolne. – Nina machnęła ręką i odwróciła głowę. – Widzisz – zwróciła się szeptem do Józefiny, gdy tylko intruz wyszedł z salonu. – Taka Aldonka Kuś teraz mnie szpieguje. Sprytna smarkula. Nie mogę się jej pozbyć. – Groźnie zmarszczyła czoło.

– To się jej nie pozbywaj. – Józefina wzruszyła ramionami, coraz bardziej osłupiała.

– Nic nie rozumiesz.

– Być może, ale widzę, że masz złamaną nogę... Potrzebujesz opie...

– Sama się nie zламаła – przerwała jej Nina z marsową miną.

– Słyszałam – chrząknęła. – Pośliznął się w kuchni, na płytkach, na płamie z oleju. Masz szczęście, że tramwaj nie jechał – dodała na koniec, nie bez powodu. Zastanawiała się, czy Nina jeszcze dobrze kojarzy.

– Daj spokój z klasyką. – Solis zareagowała błyskawicznie. – Powiedz mi lepiej, kto niby ten olej rozlał. – Pokręciła głową. – Kto? Zaraz po urodzinach, na których byli wszyscy. No może nie wszyscy, ale ci, którzy wiedzą, że wstają w nocy i schodzą do kuchni. Zaprosiłam rodzinę na tort bezowy, a nie na alio e olio. To skąd ten olej?

– A po co ty wstajesz w nocy? – zdziwiła się Józefina.

– Budzę się i muszę się napić wody. Wystarczy?

– A nie masz przy łóżku?

– Nieważne! – zirytowała się Nina. – Ważne jest to, że gdyby Leszek, mój mąż, nie przyjechał w nocy, tobym do rana leżała.

– Nie było go na twoich urodzinach? – zapytała Józefina z nieudolnie skrywanym sarkazmem.

– Taktownie wyjechał. Wiesz, ta moja wiecznie dogryzająca sobie trójka jemu też nie szczędzi.

– Domyślam się – burknęła Józefina niezbyt grzecznie.

Nina Solis albo tego nie zauważyła, albo nie chciała zauważyć. Nachyliła się w stronę gościa.

– Ale nie domyślasz się – zaczęła mówić, rozglądając się – bo dla mnie to też nie do pomyślenia, że ktoś z nich chce mnie posłać na tamten świat – prawie wyszeptała z lekkim przerażeniem w oczach.

– Jakich nich?

– Nie słuchasz mnie.

– Nino – jęknęła Józefina i próbowała ją uspokoić: – Jest kuchnia, jest olej.

– Dwa tygodnie temu zaczęłam się dusić – przekonywała Nina niezwykle poważnym głosem. – Myślałam, że się uduszę, a ja nie mam żadnej alergii, raz może na słońce, ale...

– Ale możesz mieć. Niestety wiek od tego nie chroni – przerwała jej Józefina. – Ale nie rozmawiajmy o chorobach, przecież wiesz, jak to postarza. – Próbowała rozładować napięcie i wrócić do tematu, z którym przyszła. – Jestem tu, bo chciałam poważnie porozmawiać o twoim pasierbie...

– Już mówiłaś, nie mam sklerozy. Ale ten gaz, co się ulatniał... albo ten dziwny zbieg okoliczności. – Józefina jęknęła znowu. – Leszek też mówi, że przesadzam. On tak mnie uspokaja. Ale jak tylko wyjedzie, to zawsze się coś dzieje. Teraz znowu musi wyjechać, na konferencję.

– Musi... na konferencję? – powtórzyła pytająco Józefina, lekko odchrząkując.

– On jest jednym z czołowych tłumaczy pism kabalistycznych w Polsce, a przyjeżdża ktoś bardzo ważny. Czy ty w ogóle wiesz, co to kabała?

– Nie. – Józefina wzdygnęła się, jakby coś ją poraziło. Bała się wszystkich tajnie brzmiących stowarzyszeń. I nie zamierzała tego słuchać, jakby od samego słuchania mogły ją dosięgnąć macki jakiejś organizacji marzącej o końcu świata. A już na pewno potrafiącej doprowadzić ją do takiego stanu, w jakim teraz jest Nina.

– To ci wyjaśnię...

– Nie. Nie potrzebuję wszystkiego wiedzieć. Napiję się herbaty – oświadczyła i szybko wstała.
– Napij się. Jak nic ci nie będzie, to należysz i mnie. Nic od niej nie biorę. – Nina się skrzywiła, zaplatając ręce na brzuchu.

Józefina się poddała, uznała, że lepiej już rozmawiać o zwyczajnie brzmiących urojeniach.

– To niby kto chce cię wykończyć? – zapytała, siląc się na uprzejmość. Tematu nie dało się zmienić, ale zrobiło się ciekawie.

– Któres z moich dzieci albo ktoś, kto jest z którymś z nich w zмовie. Właśnie to chcę ustalić.

– O czym ty mówisz? – zapytała oszołomiona Józefina.

– Zebrałam już pewne informacje na temat ich wszystkich. Dziś dostanę kolejną partię. Dziś po południu. – Pokiwała głową. – Nie mówiłam nic Leszkowi, boby się zdenerwował. Nie pozwala mi tak myśleć, nie pozwala mi węszyć – powiedziała i znowu rozejrzała się podejrzliwie. – Bardzo by się zdenerwował.

– I słusznie. Ale niby dlaczego chcą się ciebie pozbyć? – Józefina popatrzyła na koleżankę. Ledwo mogła uwierzyć, że słyszy takie bzdury. I to kto je plecie? Nina Solis. Najbardziej przenikliwa ze znanych jej kobiet teraz papla jak stara baba. – Dlaczego? Skoro, jak mówisz, już je wydziedziczyłaś – powtórzyła, z niedowierzaniem kręcąc głową.

– Żeby mnie ukarać za ślub z Leszkiem. To może być powód. Albo bardziej klasycznie, dla władzy i pieniędzy. Tak przypuszczam. – Wzruszyła ramionami. – Dlaczegoś by innego – dodała już z pełnym przekonaniem. – Może chcą jakimś podstępem to podzielić i sprzedać? Wcielać w życie jakieś swoje niedorzeczne pomysły, które nie wiem skąd im przychodzą do głowy. Potem muszę te pomysły im wybijać z tych głów. Pojęcia nie masz, jakie Aleks zrobił zamówienie. A Wiktor... – Spojrzała na drzwi. – Wprowadzi mi żonę do zarządu, jak tylko się rozwiedzie. Wyobrazasz to sobie? – Józefina nie miała pojęcia, co by miała sobie wyobrazić. – Chyba niedobrze ich wychowałam... Nie chciałam nikogo faworyzować. Naprawdę. – Położyła rękę na piersi. – Jak tylko wydawało mi się, że któreś zbyt wywyższam, to zaraz starałam się reszcie to wynagrodzić. Rozumiesz? A oni tak mi się odpłacają. Ale nie dlatego nie chcę się rozstać z firmą. Chciałabym nawet. Leszek mówi, żebym to zrobiła i w końcu przestała się tak wszystkim denerwować. Ale ja nie mogę...

– Dobrze ci radzi – stwierdziła Józefina, choć pomyślała, że jak ktoś miałby knuć, to tylko taki mąż. Ale nie powiedziała tego głośno. – Jak byś tak wszystko sprawiedliwie podzieliła, nie zapominając o nikim... – zaproponowała rozsądnie, próbując po raz kolejny wrócić do tematu Kacpra.

– Ale jak ja mam dać coś komuś, kto chce się mnie pozbyć? – Nina zmrużyła oczy. – Ostatnio ktoś mnie nawet okradł...

– Nie. Dłużej tak nie mogę. Twoje własne dzieci? Oszalałaś!

– Nie oszalałam. Mam pewne przypuszczenia...

– Wiesz co?! – Józefina wstała. – Demencja przyszła do ciebie znacznie wcześniej, niż powinna. Ale cóż, trzeba się z tym pogodzić i przejść do porządku dziennego. Przyznaj się, że pieniądze też chowasz w szafie, a potem nie pamiętasz, gdzie są?

– Nie mam takiej dużej szafy – prychnęła Nina. – I gwoli ścisłości Kacpra też traktuję jak swoje dziecko.

– Czyli? – zapytała Józefina zdziwiona nagłym powrotem do właściwego tematu.

– Też jest podejrzany – syknęła.

– Nie wierzę. – Józefina pokręciła głową, patrząc na koleżankę.

– Też nie mogłam, uwierz mi, ale ich rozgryzę. – Nina patrzyła tylko przez wąziutkie szparki na pustą ścianę.

Józefina miała wrażenie, że naciągnięta mocno skóra i szeroko rozstawione oczy przy obecnym nastroju upodabniają ją do rekina. Zawsze była władczą i dominującą kobietą, ale na pewno nie drapieżną, jak teraz.

– Słuchaj... – próbowała coś powiedzieć, zapomniała jednak co, widząc w korytarzu Lucynę z mopem w ręku.

Sprzątaczką przystanęła, chowając się za futrynę, narysowała na środku czoła kółko, popukała się i pokazała palcem na Ninę. Józefina prawie bezwiednie przytaknęła. Lucyna wzruszyła ramionami i znikła w korytarzu.

– A ty do kogo takie miny robisz? – przyłapała ją Nina, odwracając głowę.

– Przywitałam się z Lucyną.

– Przecież się już z nią widziałaś. Mniejsza z tym. Nie wiem, po co ona jeszcze pracuje. Chyba na tego dziecioroba. Już jej powiedziałam, co o tym myślę. A teraz będę musiała porozmawiać z nią jeszcze poważniej... – dodała i zamyśliła się.

Józefina chwyciła się za głowę.

– Ale to później. Teraz mam plan – oznajmiła po chwili z zadowoleniem Nina. – Ściągniemy ich tu wszystkich... Jutro. Jak już będę wiedzieć resztę. Zaraz cię wtajemniczę. Nie we wszystko, bo nie wszystko zrozumiesz...

– Myślałaś o lekach? – przerwała jej ze szczerym zaniepokojeniem Józefina.

– Ciii. – Nina znowu przyłożyła palec do ust. Z korytarza na piętrze dobiegł odgłos kroków i turkot kółeczek ciągniętej walizki. – To Leszek – oświadczyła rozanielonym tonem. – Zaraz zjedzie z góry. Potem ci wszystko powiem, jak pójdzie. On jeden nie lubi, jak się martwię – mówiła, poprawiając dłonią włosy, a potem koszuła na dekolcie.

Nie dziwię się, pomyślała Józefina. Podążyła wzrokiem za spojrzeniem Niny w kierunku wejścia do salonu i z wrażenia prawie zakryła dłonią usta. Przed nimi stanął sześćdziesięcioletni mężczyzna. Wysoki, przystojny, opalony, z burzą zaczesanych do tyłu włosów, siwiejących przy skroniach. W dzinsach, szarym rozpinanym swetrze z drewnianymi guzikami i białym T-shircie. Z elegancką walizką. Józefina była pewna, że ma przed sobą kapitana wielkiego boeinga albo co najmniej pełnomorskiego wycieczkowca na urlopie.

– Nie wiedziałem, kochanie, że masz gościa – powiedział, podchodząc do Józefiny, która zdążyła tylko jęknąć. – Leszek Gopło – przedstawił się i uklonił.

– Józefina Raj – powiedziała, kuląc się i wyciągając rękę jak do pocałunku.

Nachylił się, ujął jej dłoń i patrząc głęboko w oczy, musnął ustami.

– Doktor Leszek Gopło – poprawiła go Nina, posyłając mu promienny uśmiech.

– Mówiłem, kochanie, żebyś tak mnie nie przedstawiała. – Pokręcił głową, odwzajemniając uśmiech.

– Jesteś zbyt skromny – skarciła go Nina, wdzięcznie przechylając głowę.

– Doktor od czego? – wydukała Józefina, patrząc na dwa rzędy równiutkich lśniąco białych zębów, które pojawiły się wraz z uśmiechem doktora Gopła.

– Jestem antropologiem kulturowym – wyjaśnił uprzejmie.

– Aha. – Kiwnęła głową Józefina, jakby wszystko było już jasne.

– Muszę się pożegnać, kochanie. – Nachylił się i pocałował Ninę Solis w policzek.

– Nie lubię, jak wyjeżdżasz. Wiesz o tym dobrze – powiedziała Nina, naśladowując ton głosu małej dziewczynki.

Józefina otworzyła szerzej oczy z wrażenia. Była prawie pewna, że usłyszała nawet „dobrze”.

– Nie lubię, jak się martwisz – odparł i chwycił żonę za nadgarstek. Palcem dotknął zaplątanej na rękę nitki. Poglądził opuszką, patrząc jej w oczy. – Poza tym masz opiekę. Słyszałem, że ta Aldonka z tobą zostaje. A Warszawa nie jest na końcu świata. Wróć pojutrze. Dasz radę. Obiecuję, że dasz. – Pocałował ją w szyję, potem w czubek ucha.

– Dam, ale nie lubię – odpowiedziała Nina, znowu głosem uczennicy pierwszej klasy.

Józefina w życiu nie słyszała, by tak się pieściła.

– Szybko wróć.

– Wróć – poprosiła Nina.

Józefina miała wrażenie, że zaraz zacznie seplenić jak dziecko.

– Jesteś przecież moim światłem. Znalazłaś mnie, więc muszę wrócić. Najszybciej jak się da, moje słonko.

– Szybcutki? – zapytała Nina, ledwo otwierając złożone w dziobek usta.

– Szybcuieńko. – Pocałował ją jeszcze raz. – A teraz muszę pożegnać piękne panie – powiedział, prostując się i chwytając za rączkę walizki.

– Szkoda – wyrwało się Józefinie, która zaczęła skubać kosmyk włosów za uchem.

Kacper

ANGELINA ZAŁATWIŁA, CO MIAŁA DO ZAŁATWIENIA, a potem dziesięć razy skreśliła w prawo i pewnie dwanaście w lewo. Zatoczyła kilka kółek i raz wjechała pod prąd, ledwo manewrując w wąskiej uliczce. Kierowca z naprzeciwka nie awanturował się, tylko z powagą i wielkim zaciekawieniem przepuścił karawan.

O mało się nie przeżegnał, pomyślała Angelina triumfalnie, parkując pod domem, przed którym rano wysadziła niedoszłego topielca. Była pewna, że jest na miejscu. Rozpoznała ozdobny szlaczek wycięty w bramie. Coś jej przypominał, ale nie była pewna co. Z bliska był to rząddek słońc łączących się falującymi promieniami. Ładne, pomyślała. Wzięła czarną marynarkę i grubą brulion pod pachę i ruszyła w kierunku wejścia. Zatrzymała się gwałtownie, gdy zobaczyła dziewczynę z burzą rudych loków, w szarej obcisłej sukience i butach na niewielkim obcasie. Wyszła z posesji z telefonem przy uchu i zadartym nosem i bez oglądania się za siebie ruszyła szybkim nerwowym krokiem w dół ulicy.

– Nienawidzę ich wszystkich – dosłyszała tylko z prowadzonej przez telefon rozmowy Angelina, ale nie mogła słuchać dalej, rzuciła się pędem do wejścia. Furtka zamykała się automatycznie, jednak z pewnym opóźnieniem. W ostatniej chwili wcisnęła czubek buta w malejącą lukę. Odetchnęła z ulgą, furtka nie zdążyła się zatrasnąć. Nie musiała więc dzwonić i tłumaczyć się głośnikowi w domofonie.

Weszła ostrożnie do środka i pierwsze, co zobaczyła, to szpaler słoneczników wzdłuż żywopłotu. Pokiwała głową z uznaniem. Świetna scenografia do dziecięcej bajki, pomyślała. Brakuje tylko podskakującej małej dziewczynki. Potem stanęła jak wryta. Z głębi ogrodu nie wyszła dziewczynka w słomkowym kapeluszu z wiklinowym koszyczkiem, jak ją sobie wyobraziła – zobaczyła ruchomy obraz! Właściwie ramę z nogami! Chwilę trwało, nim zrozumiała, że to tylko niziutki pan dźwigający malowidło w rozłożonych rękach. Perspektywa, którą miała przed sobą, zadziwiła ją do granic. Maszerujący człowiek nie miał pojęcia o jej obecności, gdyż płótno w grubej ramie ograniczało mu widoczność. Przeszedł dosłownie metr od niej, minął ją i pomaszerował w kierunku kosza na śmieci. Odstawił obraz, wspiął się na palce, zamachnął i otworzył kłapę wielkiego plastikowego kubła. Następnie, chwytając ramę w obie ręce, uniósł ją nad głowę i jak koszykarz piłkę wrzucił obraz do kosza. Zadudniło. Klasnął w ręce, otrzepując dłonie, i zatrasnął kłapę.

– A mogę go wziąć? – zapytała Angelina, gdy tylko się odwrócił i ruszył z powrotem.

Wystraszył się na jej widok, ale równie szybko ochłonął, przyglądając się jej i coraz mocniej marszcząc czoło. Wyglądał inaczej niż nad ranem. Nie tylko dlatego, że wysechł. Rano był zagubionym człowiekiem, teraz pewnym siebie mężczyzną. Miał duże brązowe oczy, wydętą usta, przyproszone lekką siwizną, ciemne, gładko przyczesane włosy. Patrzył jej prosto w twarz i nie uciekał wzrokiem.

– Nie – odburknął i ruszył przed siebie.

Angelina poszła za nim ścieżką, wzdłuż szpaleru rozkwitających słoneczników, wprost ku niewielkiemu domkowi znajdującemu się w głębi ogrodu. W połowie drogi się odwrócił.

– Do widzenia – warknął gniewnie. – Nie zapraszałem pani! Proszę sobie iść. – Ruszył dalej.

Nie zraziło to Angeliny, raczej wywołało uśmiech. Był ubrany podobnie jak w parku. Czarne spodnie na kant, biała koszula, ale dodatkowo miał jeszcze zapięte szelki. Skojarzył jej się z jakimś reżyserem ze złotej ery Hollywoodu i bardzo ją to rozśmieszało. Ale gdy tylko przystanął znowu, spoważniała w okamgnieniu. Odwrócił się i tupnął nogą.

– Czego pani jeszcze ode mnie chce?!

– Przychodzi oddać pańskie rzeczy. – Pokazała marynarkę i brulion. Mężczyzna chwycił marynarkę. Zeszyt jeszcze trzymała. – Pomyślałam też, że może chciałby pan poznać nazwisko osoby, która boskim zrządzeniem losu znalazła się błędym świtem nad stawem i własnymi rękami wyciągnęła pana z samego dna...

– Nie, dziękuję – przerwał jej.

– Nie dziękuję pan za uratowanie życia, ale i tak się przedstawię. An...

– Chce pani nagrodę? – przerwał jej znowu, tym razem w pół słowa. – Nie znaleźne, ale może jakieś wyrotowawcze? Ocalenić? Medal od prezydenta? Fanfary? – pytał, machając rękami.

– Po pana minie widzę, że nie przygotował pan żadnej laurki – wycodziła przez lekko zacziśnięte zęby, ale zaraz opanowała się i postarała o ładny uśmiech. – Wybaczam, z racji wykonywanego zawodu mam dużo wyrozumiałości dla artystów. Angelina Raj – przedstawiła się. Wyciągnęła dłoń, ale niepotrzebnie. Mężczyzna schował ręce do kieszeni. – Właśnie się przeprowadziłam. Mieszkam tutaj nieopodal – niezrażona opowiadała dalej. – Co ponieważ tłumaczy moją obecność nad stawem o czarwej nad ranem. Przyjechałam oddać panu zostawione u mnie w samochodzie rzeczy. – Mężczyzna zadarł głowę i spojrzal podejrzliwie. Angelina wyprzeżyła się, wyciągnęła przed siebie brulion i potrząsała nim, podkreślając, że właśnie teraz dotarła do sedna przemowy. – Muszę się przyznać, że otworzyłam go i przeczytałam pierwszą stronę, oczywiście szukając informacji, gdzie mam go zwrócić. – Mężczyzna zmarszczył brwi, skrzywił się, nadął policzki i słuchał bez słowa. – Naturalnie gdyby to był list, na przykład pożegnalny, tobym nie czytała dalej, ale w tytule już było napisane, że to sztuka – kontynuowała. Zrobił krok w jej kierunku. Angelina odruchowo się cofnęła, ale mówiła dalej: – A sztuka, jak wiadomo, przeznaczona jest do odgrywania w teatrze, czyli dla szerokiej publiczności. Bądź też tylko do czytania, to już bez ograniczeń. Tak więc przeczytałam i muszę powiedzieć... – Mężczyzna podszedł bliżej i wyciągnął rękę w kierunku brulionu. Angelina chciała mówić dalej i bezwiednie uniosła go wyżej, sygnalizując, że jeszcze nie skończyła. – A więc...

– Mam skakać?! – krzyknął mężczyzna, ciągle trzymając wyciągniętą rękę. – Czy przynieść sobie stoleczek?

Angelina zawstydzila się, choć rzadko jej się to zdarzało. Rzeczywiście trzymała rękę tak wysoko, że nie mógł dosięgnąć. Mogło to wyglądać, jakby droczyła się z dzieckiem lub psem. Z dzieckiem czy psem nie byłoby problemu, ale w tym wypadku mogło być to rozumiane jako wyjątkowo drażliwe zachowanie. Oddała mu jego własność. Mężczyzna wsunął brulion pod pachę. Odwrócił się i ruszył w kierunku domu. Nie była zaproszona, ale poszła za nim.

– Przeczytałam i stwierdzam, że od dawna, od bardzo dawna – ciągnęła – nie czytałam nic tak dobrego. To świetna sztuka. Wspaniała. Już sobie wyobrażam te stroje. Rokoko, potem empire! Wiedeń, Paryż, Wersal. Przecież ten karzeł był wszędzie! Wszędzie. I te suknie, krynoliny, gorsety, wielkie koronkowe mankiety przy wążutkich rękawach – szła, gestykulując i prezentując owe mankiety, pod same drzwi domu w ogrodzie. W końcu mężczyzna odwrócił się i patrzył na nią bez słowa. – A te peruki – zachwyciła się niezrażona miną słuchacza. – Te kapelusze z metrowymi piórami. – Zatoczyła koło nad głową. – Ach! Żaboty. – Zamachała wszystkimi palcami naraz. – Aksamitne pantofle ze złotymi klamerkami. Potem kolejny akt i kolejna epoka. Powólczystość, tiule, jedwabie, batysty. – Wymachiwała rękami, jakby odgarniała falujący za nią welon albo szal. – On żył ze sto lat. Przez tyle czasu to w modzie naprawdę dużo się wydarzyło – podsumowała triumfalnie.

Zapanowała cisza.

– Ciekawe, od tej strony nigdy na to nie patrzyłem – stwierdził mężczyzna i poklepał otwartą dłońią w brulion. – To fakt.

– Tak. Bardzo ciekawe – szybko dodała Angelina.

Mężczyzna znów się odwrócił i podszedł do ławeczki opartej o ścianę.

Uśmiechnęła się na myśl, że zaraz usiądą i będą tak siedzieć do wieczora.

Nie zauważyła jednak, jak właściciel brulionu chwycił stojącą na ławce butelkę. Odwrócił się i spojrział w dół. Zaraz za ławką, na ziemi, stała żeliwna misa. Tliły się w niej jakieś ogarki. Angelina spojrziała na niego, potem na palenisko.

– To jedyny egzemplarz – stwierdził z dziwnym grymasem na twarzy.

Nim zroszyła, było już za późno.

Mężczyzna prawie jednocześnie rzucił otwarty zeszyt w sam środek misy i chlusnął na niego płynem z butelki. Raz, potem drugi. Angelina rzuciła się w kierunku paleniska. Nie miała jednak żadnych szans. Buchnął tak wielki ogień, że musiała odskoczyć. Zaczęła krzyczeć i kręcić się w kółko, szukając jakiegoś drąga, grabi czy czegośkolwiek, by odrzucić brulion na trawę. Ogród jednak był idealnie uporządkowany. Próbowiła podnieść żeliwną misę, ale tylko się oparzyła. Podbiegła do mężczyzny, ale stał nieruchomo i wpatrywał się w palenisko beznamiętnym spojrzeniem. Potrząsnęła nim, dość niegrzecznie, jak krapnym dzieckiem, lecz nie robiło to na nim wrażenia. W końcu sama uznała, że to bez sensu. Sto-

piła się już okładka. Zajęły ogniem kartki. Szczerniały, zaczęły falować i odrywać się od brzegów, unosząc się strzępkami sadzy.

– To była opowieść o godności, o którą niektórzy muszą walczyć, a nie o modzie – powiedział, odwracając się na pięcie.

– O godności można mówić nago albo ubranym! – wydukała.

Nie wiedziała nawet, czy ją usłyszał. Niziutki mężczyzna, który teraz wydawał się jej jeszcze niższy, bo opuścił głowę, szybko znikł za drzwiami domu w ogrodzie. Angelina usłyszała dźwięk przekręcane go klucza. Skończyła się audycja, pomyślała i spojrzała na tłące się kawałki papieru, których kilka podmuch wiatru wywiął z paleniska. Wtedy właśnie dojrzała wyglądającą z okna dużego domu Józefinę. Ciotka nawoływała ją, machając ręką. Ledwo wierzyła w to, co widzi.

Dotarła do willi i weszła przez drzwi tarasowe. Wewnątrz był ogromny salon. Pośrodku stał fotel z rzeźbionymi podłokietnikami.

– Porozmawiam z tobą później – szepnęła jej do ucha. – Godzinę szukałam tego domu...

Józefina zignorowała utyskiwania dziewczyny.

– Przedstawiam ci moją bratanicę, o której ci mówiłam. Odegra każdą scenkę. Angelina Raj. A to – Józefina wskazała panią domu – Nina Solis.

– Dzień dobry. – Angelina kiwnęła głową, taksując kobietę wzrokiem. – Ma pani nazwisko jak te kremy i maseczki, jedną nawet dzisiaj robiłam. Zabawne... – Pokręciła głową i zaczęła dmuchać na oparzony palec.

– Jak dla kogo. – Nina Solis obrzuciła ją spojrzeniem z góry na dół i z powrotem. Przez chwilę nic nie mówiła, a w końcu się skrzywiła. – Ona się nie nadaje – zwróciła się do Józefiny. – Patrz na te włosy. Co to jest?! Wygląda jak jakaś hipiska, a nie prawnik. Nie nadaje się – stwierdziła kategorycznie.

Angelina spojrzała na nią i już miała coś powiedzieć, ale odwróciła głowę.

– Wystarczy mi na dziś. – Machnęła ręką i ruszyła w kierunku tarasu.

– Nino, ty pojęcia nie masz, o czym mówisz. Linka, poczekaj! – Józefina miotła się między jedną a drugą. – Zaraz ci wszystko wyjaśnię.

– W domu. Do widzenia. – Podniosła ostrzegawczo dłoń.

Jedną z rzeczy, której nienawidziła w życiu najbardziej, było poczucie odrzucenia. Oczywiście wiecej w życiu mogła znieść niż niechęć człowieka, który powinien być jej wdzięczny za wyciągnięcie z brudnej wody, i skwaszona mina starszej kobiety, której nie polubiła, ale jak na jeden dzień to i tak było za dużo. Odwróciła się na pięcie i stanowczym krokiem, nie oglądając się za siebie, wyszła z posesji. Nie zatrzymała jej nawoływania Józefiny. Wsiadła do samochodu. Ruszyła nawet i ujechała może z pięćdziesiąt metrów, gdy zobaczyła podjeżdżającą pod dom Solisów śmieciarkę. Zatrzymała karawan i zjechała na pobocze. Śmieciarz zeskoczył ze stopnia i wytargał kosz stojący w rogu posesji.

Angelina wrzuciła wsteczny, nacisnęła pedał gazu i ledwo zahamowała przed samą maską. Wyskoczyła z wozu. Podbiegła do kubła, który już był wciągany na podnośnik, zatrzymała go w ostatniej chwili, podniosła klapę i wyjęła obraz.

– Teraz już można – stwierdziła, uśmiechając się szeroko do zdezorientowanych panów w pomarańczowych kombinezonach.

Zaskoczony widokiem karawanu i dziewczyny grzebiącej w koszu na śmieci był mężczyzna w japonkach i koszuli w rajskie ptaki. Właśnie zmierzał w kierunku furtki. Chciał się chyba odezwać i zareagować jakoś, ale karawan szybko ruszył i znikł za rogiem. Stał i długo za nim patrzył.

Portret

TYCJANA OTWORZYŁA OKNO NA OŚCIEŻ, wpuszczając dźwięki z ulicy. Słyszała przechodzące dzieci, warkot nielicznych samochodów, dzwonek tramwaju gdzieś z oddali, ptasie trele. Firanka powiewała leniwie poruszana letnim wieczornym zefirkiem. Przeglądała gazety, zaczęła nawet czytać książkę, gdy usłyszała kroki na schodach. Potem w korytarzu. Czekała na wieści i rozwój wydarzeń, ale nie na wtargnięcie do pokoju. Angelina w większości przypadków pukała, gdy drzwi były zamknięte. Nie tym razem jednak. Teraz wtarałbaniła się, wchodząc tyłem. Tycjana już zamierzała się odezwać, ale zrezygnowała. Zobaczyła, że siostra ma zajęte ręce i musiała łokciem nacisnąć klamkę. Przed sobą trzymała obraz w szerokiej ramie, a pod pachą ścisnęła torbę.

– Mam dla ciebie zlecenie – oświadczyła, kładąc obraz na stół.

– Skąd? – zaciekawiła się Tycjana.

– Ze śmietnika.

– Aaa... – Tycjana zdjęła nogę z łóżka, ale zmieniła zdanie i z powrotem się położyła.

– Nie jesteś zainteresowana? Masz za dużo pracy? Zlecam ci to. Wyceń i zrób go ładnie. Nie wygląda najlepiej, ale może jest coś pod nim namalowane – stwierdziła Angelina, która widziała, jak siostra ściera jedną warstwę z portretu Świętej Tekli i zamiast modlitewnika pojawia się zupełnie inny przedmiot. – Nie jesteś ciekawa, z jakiego śmietnika?

– Jestem – odpowiedziała Tycjana i wzięła do ręki odłożoną gazetę. Zaczęła czytać. Widziała już wiele obrazów, które – jako że stare i zniszczone – w oczach znalazców nabierały niebotycznej wartości. W większości przypadków byli w błędzie. Nieraz musiała tłumaczyć, że w zjedzonej przez korniki ramie jest tylko nadrukowana na papierze reprodukcja. Jeśli nawet przedwojenna, pożółkła i całkiem efektowna, to bez większej antykwarecznej wartości. Oczywiście można przywrócić kolory, nawet jeśli przybłąkły, odtworzyć starte fragmenty, ale koszt pracy stukrotnie, a może i więcej razy przewyższy wartość znalezionej na śmietniku, kupionej na giełdzie staroci albo odziedziczonej po babci pamiętki.

– A więc na śmietniku u tego niedoszłego topielca. To znaczy już był w koszu na ulicy, ale wzięłam. Może i on jest zezowaty – ciągnęła niezrażona Angelina – ale coś mi mówi, że to portret tego karła ze sztuki.

To wystarczyło, żeby Tycjana podniosła się i podeszła do stołu. Taki portret na pewno nie był popularnym motywem.

– Widzę, że cię w końcu czymś zainteresowałam – triumfowała Angelina, patrząc, jak siostra przesuwając palcami po ramie i pochyla się nad płótnem.

Obraz rzeczywiście przedstawiał bardzo niskiego mężczyznę pozującego przy stole. Stół sięgał mu do ramion, a siedzisko stojącego obok krzesła prawie do pasa. Mógł mieć co najwyżej metr wzrostu. Był już stary, miał siwe rzadkie włosy zaczesane do tyłu. Szeroko otwarte oczy i pełną powagi minę. Jedną dłoń chował za poły czarnej marynarki, drugą opierał na krześle, na którym leżały cylinder, białe rękawiczki i laska. Na stole zaś leżała gitara i gruba książka w skórzanej oprawie. Byłby to bardzo ładny portret, gdyby pozujący nie miał zeza, palce nie wyglądały na krogulcowate, a dywan, na którym stał, nie był upakany plamami. Nie był to jednak druk, lecz grubo i nieudolnie namalowany obraz olejny.

– Ciekawy temat, ale nie wiem, czy rama nie jest warta więcej od obrazu. Muszę się mu jeszcze przyjrzeć, ale...

– Ale że zezowaty trochę – oburzyła się Angelina. – Napraw to. Mówię ci, to ten Joujou, Józef Boruwlaski ze sztuki. Zeza nie miał, ale grał na gitarze, a tu jest gitara. – Pokazała palcem. – Pisał pamiętniki, a tu leży pamiętnik. To ubranie jest dokładnie z początku dziewiętnastego wieku, widziałś ten gors. – Wskazała coś białego, co miał związane pod szyją. – To prototyp krawata, pieczołowicie wiązany z kokardką. Takie wtedy noszono, a on zmarł w tysiąc osiemset trzydziestym siódmym, sprawdziłam. Miał prawie sto lat. Tu na tyle nie wygląda, ale łysieje i ma siwe włosy. Rzadkie...

– Rzadkie, bo parę razy chaotycznie maźnięte. Nie wiem, czy to zamysł, czy tak po prostu wyszło – stwierdziła Tycjana.

Nie mogła przyjrzeć się lepiej, bo Angelina z nadąsaną miną zasłoniła obraz swoim ciałem.

– Ale ty wszystko utrudniasz! Mówię ci, to ten karzeł ze sztuki. I to się liczy! Nie masz pojęcia, co to za postać. Żył naprawdę i był wszędzie. Na dworze Stanisława Augusta, Ludwika XV w Wersalu, i to za czasów Madame de Pompadour, w Wiedniu, wyobrażasz sobie te stroje, potem króla Jerzego w Londynie... To już czasy Jane Austen. Kojarzysz te kiecki. *Rozważna i romantyczna*... Długie, odcięte pod biustem... Najpierw kapelusze, potem czepki. – Machała rękami wprost przed nosem Tycjany. – I on w tych wszystkich czasach żył i u wszystkich bywał.

– Jako kto? – przerwała siostrze wywód.

– Najpierw rokokowa zabaweczka. Potem wirtuoz. A na koniec pamiętnikarz i szanowany obywatel angielskiego miasta Durham – wymieniała jednym tchem Angelina. – Przecież on ma tam nawet swój pomnik. Stoi w tamtejszym ratuszu. Nie wiedziałaś?

– A ty wiedziałaś? – Tycjana próbowała uspokoić rozentuzjasmowaną siostrę.

– Mówię ci, niezwykle życie. Niezwykłe okoliczności. Niezwykłe przemyślenia i to wszystko jest w tej sztuce. To piękna opowieść o godności. A właściwie to była...

– Zamoczyłaś? A mówiłam ci – jęknęła Tycjana. – Mówiłam ci – powtórzyła. Zrobiło jej się żal. Nie tylko z powodu tego, że sama nie przeczytała sztuki, ale szkoda jej było takiego pięknego rękopisu. Mało kto potrafił tak kaligrafować. – Może się jeszcze uda coś odtworzyć – zaproponowała, choć bez nadziei w głosie.

– Nie, nie zamoczyłam. – Angelina wykrzywiła się, przedrzeźniając siostrę. – Stało się jeszcze gorzej.

– Zgubiłaś?

– Jeszcze gorzej!

Tycjana wyczerpały się pomysły. Nic już nie powiedziała.

– Wyobraź sobie, że poszłam go oddać. Odnalazłam dom i autora. A ten, ledwo odratowany, całkiem już suchy, niewdzięcznik. Nie podziękował nawet, za nic – opowiadała Angelina z wyraźną irytacją w głosie. – Tylko bez uprzedzenia poszedł do ogrodu, tam paliło się takie małe ognisko. Nim zdążyłam zareagować, wrzucił ten zeszyt w ogień i na dokładkę polał benzyną. I to naprawdę był dobry papier. Spalił się cały. Wyobrażasz to sobie?!

Tycjana nie wyobrażała sobie. Odeszła od stołu, bo ugięły jej się nogi. Spalić taką piękną rzecz!

– I co? Po przedstawieniu... – Posmutniała, bo choć rzadko angażowała się w pomysły siostry, prawie zaczęła sobie wyobrażać te stroje.

– Też o mało nie zemdlałam, choć ja nie mdleję. Ale nie myśl sobie, że cię nie słucham – oświadczyła Angelina, siadając na jej roboczym fotelu z kółkami. Okręciła się parę razy, odpychając się ręką od stołu. – Wprost przeciwnie, czasami biorę sobie do serca to, co do mnie mówisz. Nawet jak się mądrzysz, choć to rzadziej – stwierdziła i sięgnęła do torebki. Wyjęła plik kartek i rzuciła na stół pokazanych rozmiarów stos, który rozsypał się jak wielka talia kart. – Zanim do niego pojechałam, zahaczyłam o punkt ksero i wszystko skserowałam.

Tycjana podniosła się i podeszła do stołu. Rzeczywiście leżały na nim białe kartki z odbitym tekstem. Ani piękne, ani tak okazałe, ale tekst był.

– To na całe szczęście! Prawda? To mógł być jedyny egzemplarz, skoro tak wyczelowany.

– Tak też uważam. Pomyślałam, że jak mu go oddam, to nie będę go miała. Poza tym ja lubię czytać w wannie, bo tam mi przychodzą do głowy najlepsze pomysły. Dobrze, co? – Uśmiechnęła się od ucha do ucha, a Tycjana razem z nią.

– Podobno rękopisy nie płoną – stwierdziła po chwili, ciągle przeglądając kartki, których większość rozsypała się na obraz, zasłaniając pozującą postać.

– Mówię ci, ten spłonął.

– Taki cytat – wyjaśniła Tycjana. – I co teraz zrobisz? – zapytała. – On chyba nie chciał, żeby to się znalazło na scenie...

– Tak, to musi być wystawione! A ja muszę zrobić kostiumy i charakteryzację.

– A jak się nie da przekonać?

– To go grzecznie poproszę, żeby znów wszedł do stawu i już z niego nie wychodził. Będę pilnować z brzegu. Potem powiem, że ty to napisałaś. Bo że ja, to mi nikt nie uwierzy. Mnie się zdania złożone

same rozkładają.

– Jasne. A ten obraz?

– Chyba za duży był. Do tego paleniska by się nie zmieścił. Wyrzucił go do kosza.

– Wyjęłaś go z kosza.

– Nie. Ze śmieciarki.

– Aha. – Tycjana westchnęła. Na więcej nie było jej stać. Miała wrażenie, że potrzebuje czasu, by przetworzyć wszystkie usłyszane informacje.

Angelina zaczęła segregować i równać zbierane ze stołu kartki.

– Padam z nóg. Idę się przespać – stwierdziła, wstając.

– Dobra. – Tycjana spojrzała na obraz. Zdecydowanie wyglądał jak praca amatora. Jeśli patrzeć na kolory i użyte farby, początek zeszłego stulecia. Najwyżej przed wojną. Trochę tak, jakby go namalował dentysta za młodu, ten od landszafcziku, który ledwo zdążyła zapakować.

Nie trwało to jednak długo, bo Angelina wyszła z pokoju i usłyszały kroki na schodach. Ktoś bardzo powoli wchodził na górę. Spojrzały na siebie zdziwione. Tylko jedna osoba mogła wspinać się, przystając na każdym stopniu. Nie myliły się.

Po chwili zobaczyły w drzwiach wejściowych Józefinę.

– Chciałabym, żebyś doceniła, że tu weszłam – ciotka zwróciła się bezpośrednio do Angeliny, opierając się o futrynę. Wyglądała tak, jakby miała się zaraz przewrócić. Teatralnym gestem otarła nawet pot z czoła.

– Domyślam się, że mam docenić i coś dla ciebie zrobić? – zapytała Angelina, patrząc na nią spod przymrużonych powiek. – Coś, co mi się nie będzie uśmiechało...

– Nie dla mnie, tylko dla Niny – wyjaśniła ciotka, ciężko oddychając.

– Nie polubiłyśmy się – skrzywiła się Angelina.

– Wiem, ale ona potrzebuje na jutro kogoś. Kogoś, kogo nikt z jej rodziny nie zna. Bo jej mąż wyjechał, ach... szkoda, że go nie poznałaś. Wspaniały jest. Cudowny. Taki przystojny i szarmancki – zachwycała się Józefina, a Tycjana z Angeliną patrzyły z niedowierzaniem, jak mruga i plącze palcem kosmyk włosów za uchem. – Ale o tym później. Ona musi mieć kogoś, kto dobrze odegra swoją rolę. Pomyślałam, że będziesz się do tego świetnie nadawać. Titi, powiedz jej, że się nadaje.

– Do czego? – zapytała.

– Przecież mówiłam, że Nina ma plan...

Rama

ZAPOWIADAŁ SIĘ KOLEJNY PIĘKNY DZIEŃ. Tycjana wstała dosyć wcześnie. Otworzyła okno na oścież. Spojrzała w górę. Kilka leniwych chmur kłębiło się po niebie, a niebo było obłędnie niebieskie. Pod oknami zakwitł wielki krzak budlei. Wyglądały może trochę jak przerośnięte chwasty, ale mało efektowne gałęzie uginały się od kiści kwiatów, których różowe stożki przyciągały motyle. Jeden nawet przysiadł na parapecie i od niechcenia machał wielkimi kolorowymi skrzydłami. Podziwiła paletę przenikających się barw.

Angelina też się obudziła, ale miotła się po swoim pokoju. Słyszała stukot jej kroków roznoszący się po całej podłodze i, zdaje się, ze dwa siarczyste przekleństwa. Nie zaczepiała siostry. Zrobiła kawę i wróciła do siebie. Znowu wyjrzała przez okno, a potem z kubkiem w ręku podeszła do stołu, na którym leżał przytuszczony przez Angelinę portret. Wczoraj nie przyglądała się mu zbyt uważnie. Nie podobało jej się, że siostra zleciła jej konserwację, a jeszcze bardziej to, że tego zlecenia potrzebuje. Nie miała nic innego do roboty. Wcześniej miała zadania rozpisane na dwa lata do przodu, nie zadbała o inne zamówienia. Trochę ją to przybiło, tym bardziej że kolejna praca nad wątpliwej jakości dziełem nie poprawiała nastroju. Ale w świetle dziennym, i to tak pięknego dnia, spojrzała na obraz zupełnie inaczej. A właściwie na jego ramę. Ta była bardzo ciekawa. Oglądała ją długo i z każdej strony.

Rama powinna zamykać przestrzeń obrazu. Być oknem do świata, który artysta chciał przedstawić. Kiedyś przywiązywano do nich niezwykłą wagę. Same w sobie potrafiły być dziełami sztuki, choć takimi, które bez wnętrza nie istnieją. Niezwykła symbioza z płótnem, pomyślała. Obraz może funkcjonować bez ramy, ale zawsze będzie się jej domagał. Mody oczywiście się zmieniały, ale łączyło je jedno – rama musiała przede wszystkim pasować.

– A ta nie pasuje – powiedziała głośno, gładząc ją ręką.

Była piękna. Szeroka, wklęsła, z doskonale wyprofilowanego drewna pokrytego czarną laką. Oczywiście już startą, podziurawioną przez jakieś drażące korytarzyki drewnojady, ale niewiele jej brakowało, żeby odzyskać dawną świetność. Kilka zabiegów leczniczych, a potem tylko pokryć drewno kolejną politurą, nadać jej szlachetną gładź i wydobyć mocną czerń. Dobry kontrast dla wewnętrznego rzeźbionego, złoczonego obrzeża. Cieniutkiej, ledwie centymetrowej opaski stanowiącej obwódkę przylegającą prawie do płótna. Rzeźbiona listewka dodawała elegancji ramie, podkreślała jej głębię i skupiała światło.

Pochyliła się nad nią i zaczęła przesuwać palcem po ornamentcie. W tę i w tę.

– Tak. To wole oczka – powiedziała sama do siebie, wyczuwając wypukłe owale i zagłębienia na przemian z ledwie zarysowanymi przecinkami.

Ornament ten, znany od starożytności, miał przypominać liście o jajowatym kształcie. Był popularny w architekturze i rzeźbie w Atenach i w Rzymie, ale drugą młodość przeżył we Francji i Anglii. I to dokładnie na początku dziewiętnastego wieku. Czyli w czasie i miejscu, gdy starzał się ten niziołek celebryta. Na pewno był już siwy, pomyślała i spojrzała w jego zezowate oko.

Coś przykuło jej uwagę. Pochyliła się nad portretem. Jeszcze niżej. Coraz niżej i niżej. Macała palcami płótno i prawie nosem dotknęła obrazu. W końcu uniosła głowę, podeszła do szuflady i wyjęła okulary ze szkłem powiększającym. Nałożyła i już miała się pochylić nad stołem, gdy usłyszała szybkie puknięcie w drzwi. Nie zdążyła odpowiedzieć i otworzyły się z impetem. Odwróciła się plecami, chcąc zignorować siostrę, ale było to niewykonalne.

– Jak wyglądam?! Jak?! No, spójrz! I zdejmij te okulary! Natychmiast. Powiększają mnie!

Zdjęła, chcąc nie chcąc spojrzała i odruchowo cofnęła się o metr. Wiedziała, na kogo patrzy, ale zamrugała i miała ochotę prztrzeć oczy.

Angelina ubierała się kolorowo, a przede wszystkim tak, żeby coś powiewało, okręcało się, zwisało. Zawsze jakieś frędzle, koraliki, strzępiący się materiał albo pognieciona tkanina. Nie mówiąc o włosach, barwionych i wywijających się we wszystkie strony. A teraz wyglądała tak, jakby ktoś ją wyrzeźbił w jednym kawałku. Wszystko do siebie przylegało. Wąska kremowa spódnica do kolan, biała

koszula do ramion. Cienki pasek do talii i szlufki. Delikatny łańcuszek do szyi. A fryzura do głowy. Wszystko idealnie odprasowane i dopasowane. Zapięte do przedostatniego guzika. Granatowe włosy przyлизane, zresztą wyglądały jak czarne, czymś chyba polakierowane. Różowe końcówki upięte i schowane w pieczołowicie uformowanym koku. Żaden lok się nie wymykał i nie puszył. Zaczesaną od szyi ku górze konstrukcję Tycjana mogła podziwiać, gdyż siostra zadowolona z efektu zaczęła się obracać, kręcąc się na palcach.

– Patrz teraz na to! – oświadczyła i założyła okulary w grubych ciemnych oprawkach. Zamrugała. – I jak?

Okulary tylko podbiły i tak mocne wrażenie. Tycjana była pewna, że minęłyby ją na ulicy. Nie miała koleżanek pracujących w korporacjach, nawet więc nie spozjrzałyby w poszukiwaniu znajomej twarzy.

– Wyglądam jak sekretarka z kancelarii prawnej? – zapytała, powściągliwie rozchylając usta. Nawet głos miała inny.

– Wyglądasz – przytaknęła Tycjana. – Mogłabyś być też aktorką.

– Nie, nie mogłabym. Nienawidzę występować na scenie. Jeszcze tylko obscasy i jakaś pańciowata torebka. Pożycz.

– Nie mam pańciowatych torebek!

– Żartowałam. Te lniane worki też do niczego się nie nadają. Ale znajdę tu jakąś aktóweczkę, teczkę, coś mądrze wyglądającego – mówiła, rozglądając się po pokoju. Podeszła do półki i przestawiła na środek niewielki puchar, który wręczono Tycjanie za wygraną w zawodach szermieryczych i który trzymała w kąciku. – To powinno stać na środku – stwierdziła Angelina i wyciągnęła leżący obok plik dokumentacji. Włożyła go pod pachę, nim Tycjana zdążyła zaprotestować. – Pasują! – wykrzyknęła. – Dodaję powagi. Nie krzyż się tak. Nawet ich nie otworzę.

– Wiem, bo ich nie weźmiesz – oświadczyła, wyciągając teczki spod jej pachy. – Jesteś pewna, że chcesz iść na taką maskaradę? – zapytała, odkładając je na miejsce.

– Wiesz, że ta Solisowa to jest ta Solisowa – stwierdziła, podkreślając wymawiane słowa – od kremów, maseczek, mleczek, serum. Pół kosmetyczki tego mam. *Solis* po łacinie coś od słońca jest. Wyobrażasz to sobie? Stąd to logo ze słońcem w zaćmieniu. Coś tam jakoś *solis*.

– *Eclipsis solis*?

– *Co eclipsis*?

– Zaćmienie Słońca po łacinie. *Solis* to gramatycznie...

– Wybacz, moje wykształcenie jest gruntownie zupełnie gdzie indziej. – Angelina przewróciła oczami.

– Pytałaś.

– Nie pytałam! Chciałam ci tylko powiedzieć, że nawet nie wiedziałam, że to nazwisko jest. Wiedziałaś?

Tycjana kiwnęła głową. Wiedziała. Znała ją od lat, choć nieszczególnie. Jak znajomą ciotki, której należy mówić dzień dobry na ulicy.

– A widzisz – syknęła Angelina. – Nie wychowywałam się tutaj i trochę znajomości mnie ominęło. – Tycjana westchnęła znacząco. Angelina machnęła ręką. – Mniejsza z tym. Wiesz, rozmawiałam już z moim dyrektorem w teatrze... Streściłam mu z grubsza i niestety od razu powiedział, że ten spektakl jest bardzo, bardzo kosztowny, szczególnie jeśli chodzi o moją działkę. Te stroje, peruki, scenografia. Rozumiesz. Przepych. A wszystkiego nie przerobię. Nie będzie efektu. Przydałby się sponsor – zakończyła, poprawiając koszulę, która lekko wysunęła się zza paska. – A jak będzie mi wdzięczna...

– Wiesz, że bogaci ludzie mają pieniądze między innymi dlatego, że niechętnie je rozdają? Poza tym nie wiem, czy to dobry pomysł... – Tycjana nie zdążyła przedstawić swych wątpliwości, bo z pokoju obok rozbrzmiał dzwonek telefonu.

Angelina zakręciła się na pięcie i wybiegła zadowolona.

– Dziękuję! – krzyknęła już z korytarza.

Tycjana usłyszała, jak odbiera i zaczyna paplać do słuchawki. Podeszła zamknąć otwarte drzwi.

– Nie masz pojęcia, kogo za chwilę będę udawać... Panią adwokat... Tak, ja... Po drugiej stronie... Dobrze, że wiem, jak się takie pańcie zachowują... Wyobrażasz to sobie... Prześlę ci zdjęcia... Wiem, wiem. W nic się nie dam zamiaszać... Tak, nauczka. Tak...

Tycjana nadstawiła uszu, bo niewiele wiedziała o przeszłości Angeliny, a siostra niechętnie mówiła o sobie. Zapytana albo dramatyzowała, albo żartowała, a najczęściej zmieniała temat. Tycjana wiedziała

tylko tyle, że siostra miała matkę aktorkę, z którą ojciec miał romans i z którą się nie związał z nieznanymi jej powodów. A mógł, bo został wdowcem. Dlaczego nic jej nie powiedział o tym, że ma jeszcze jedną córkę? Tego też nie wiedziała. Nie naciskała, liczyła, że z czasem wszystko się wyjaśni. Teraz jednak słyszała strzępki rozmowy i coś ją zaniepokoiło, przynajmniej tym sobie tłumaczyła to, że wyszła na korytarz i zaczęła podsłuchiwać, przystawiając ucho do szpary w drzwiach.

– Wiem, że mam się trzymać z daleka... Nie. – Roześmiała się. – Nic mi nie grozi. Tak... Pamiętam. Żadnych konfliktów z prawem... Żadnych. Obiecuję – przyrzekała komuś, kto musiał wiedzieć o niej znacznie więcej. I na pewno się o nią martwił. Wiedziała, że ktoś taki jest. Kilka razy mimowolnie słyszała ten ton i sposób rozmowy, jak z kimś bliskim. Ale nie dowiedziała się z kim. – Tak. Pa. Pa – usłyszała. – Przyślę zdjęcia... Tak... Już mówiłam... Pa. Pa. – Angelina odłożyła telefon, a Tycjana odskoczyła od drzwi. Ale dzwonek zadzwonił po raz drugi. Wróciła na swoją pozycję. – A... dobrze. Przekażę jej. Zaraz będę. Titi!

Tycjana ruszyła pośpiesznie w stronę kuchni.

– Słuchaj, chyba masz mejla w swojej skrzynce. Wydrukuj! – krzyknęła Angelina, wychylając głowę zza drzwi. – Podobno muszę ich wszystkich poznać. Lecę już na dół. Przyniesiesz?

Tycjana przytaknęła. Postanowiła wydrukować, zejść i porozmawiać z nimi obiema. Może rzeczywiście przez te maskarady napytają sobie biedy. Może czasami należy dmuchać na zimne. Choć to wszystko mogło wyglądać jak niewinny żart, z którego będą się miesiącami śmiać. Może przesadza? Może rzeczywiście jest zbyt nudna? A może ostrożna? Może nie trzeba się mieszać? To nie gra w kapsle, tylko w miliony. A może początek ciekawej znajomości?

Wyjrzała przez okno, a tam jedna mała gęsta chmura przysłoniła słońce. Na chwilę, ale wszystko zaczęło wyglądać inaczej.

Gdy wydrukowała przesłany jej plik, nie miała już wątpliwości. Nie powinna tego nawet czytać. To prywatne sprawy. Wiedziała już, co powie, kiedy zjedzie na dół.

Rodzina

ANGELINA CZEKAŁA W SAMOCHODZIE zaparkowanym ulicę dalej od willi Niny Solis. Otworzyła okna i starała się nie zwracać uwagi na starszą panią, która robiła wszystko, by ją sobie obejrzeć z każdej strony. Wspinała się na parkan we własnym ogrodzie, myśląc, że nie widać jej zza krzaków, udawała, że sprawdza coś w skrzynce pocztowej, a w końcu wyciągnęła pudła na spacer i spacerowała w tę i z powrotem, oglądając samochód. Próbowwała nawet zajrzeć do środka, pewnie by się dowiedzieć, czy ktoś nie leży wewnątrz. Angelina widziała ją w bocznym lusterku. Sprawdziła numer domu, z którego kobieta wyszła, wychyliła się przez szybę i zapytała:

– Czy pod siedemdziesiątką jest coś do zabrania?

Kobieta energicznie zaprzeczyła, pociągnęła smycz, tak że mało psu głowy nie urwała, i uciekła do siebie. Przypuszczalnie zamykając się na cztery spusty.

Oprócz niej nikt nie zwracał uwagi na karawan w bocznej uliczce. Angelina czekała.

Nina Solis bardzo dokładnie ustaliła godzinę spotkania. Miała więc sporo czasu. Raz, by się wyszyć po kłótni z Tycjaną. Dwa, by ponownie przejrzeć wydrukowane materiały. Tycjana była przeciwna jakimkolwiek mieszaniną się w sprawy obcych ludzi. Ale ona potrafi zepsuć każdą dobrą zabawę! Nie omieszczała znowu powiedzieć siostrze, że jest śmiertelnie nudna, i niestety dodać, że w jej życiu nic się nie dzieje, bo nie ma szansy się zadziać. Józefina nie dała rady nad nimi zapanować, choć się starała. Skończyło się na trzaskaniu drzwiami.

Miała więc jeszcze sporo czasu, by poczytać. Pięć zdjęć z dokładnym opisem. Niezwykle ciekawych.

Na pierwszym był postawny mężczyzna. Pozował na tle dużej hali. Swobodnie opierał się o magazynowy regał. Miał ciemne, zaczesane do tyłu włosy. Równie ciemne, mocne brwi, lekko zmarszczone, a wzrok skierowany daleko przed siebie. Tak by informować o skupieniu na ważnych sprawach i dalekosiężnych planach. Powagi przydawały mu gęsta broda łącząca się z wąsami i haczykowaty nos. Wyglądał trochę jak czarodziej o nieznaną potężną mocą. Umieszczonej prawdopodobnie w zegarku, który nie bez powodu eksponował na założonych na piersiach rękach. Poza tym miał doskonale dobrane koszulę i marynarkę. Żałowała, że nie widzi koloru. Druk był czarno-biały.

Podpis pod zdjęciem informował:

Wiktor Solis, lat 46. Najstarszy syn Niny Solis. Dyrektor w rodzinnej firmie odpowiedzialny za proces produkcyjny. Ma problem z podejmowaniem życiowych decyzji. Pozornie stanowczy, prywatnie zupełnie podporządkowany żonie. Zdejmuje buty przed wejściem do domu. Lubi zakupy. Często jeździ na myjnię samochodową, choć nie zawsze tam trafia. Ma romans. Młoda stażystka chwilowo delegowana do opieki – Aldona Kuś. Obiecuje jej małżeństwo. Boi się żony.

Klasyka, pomyślała Angelina. Popatrzyła raz jeszcze na wydrukowane zdjęcie, a potem na swoje kolana wystające spod obcisłej spódnicy. Założyła nogę na nogę. Lubisz sekretarki? Zaraz się przekonamy.

Odłożyła kartkę na siedzenie obok. Przyjrzała się następnej. Podpis pod zdjęciem głosił:

Izabella Solis z domu Faferek, lat 44. Zdjęcie było zrobione z zaskoczenia. Kobieta wychodziła z jaskiego domu, oglądając się za siebie.

Popatrzyła na zdradzaną żonę i nie zrobiło jej się żal. Była pewna, że Izabella jeszcze bardziej kocha zakupy niż męża i chce, żeby wszyscy wiedzieli, gdzie je zrobiła i co nosi. Choć zdjęcie nie było zbyt wyraźne, to i tak rozpoznawała rzucające się w oczy logo drogich marek. Posplatane litery na sportowych butach, na klamrze od paska, na torebce, na koszulce.

Wygląda jak manekin na wystawie, pomyślała Angelina, patrząc na niską, drobną blondynkę o wydeptych ustach i świdrującym spojrzeniu.

Przeczytała podpis pod zdjęciem.

Żona Wiktora Solisa. Zajmuje się domem i sobą. Od czasu do czasu synem. Zdecydowanie władczy charakter. Umie rządzić mężem. Kontroluje go, ale rzadko pojawia się w firmie. Nie żyje w zgodzie ze

szwagierką. Większość czasu poświęca na szukanie promocji, sprzedaż i wymianę markowych ciuchów w internecie.

Promocji? Na brzydkie trampki za minimum dwa tysiące? Angelina wzruszyła ramionami i odłożyła opis ze zdjęciem.

Na kolejnej kartce młody, chudy chłopak w czapce z daszkiem opierał się o jakąś odrapaną ścianę. *Mikołaj Solis – syn Wiktora i Izabelli. Lat 21.*

Lubi bananową latte i kreskówki. Po raz czwarty zaczyna studia.

I nic więcej. Widać nie jest zbyt ważny albo nie za wiele da się o nim powiedzieć. Odłożyła.

Kolejne wydrukowane zdjęcie było większe od pozostałych. Przyglądała się mu znacznie dłużej.

– Niezła figura – skwitowała pod nosem, patrząc na *Tamarę Solis. Lat 39.*

Kobieta biegła w parku. Głowę dam sobie uciąć za to, że to zdjęcie robił facet, pomyślała Angelina. Kobieta spoglądała przez ramię, ale to wcale nie jej ładna twarz była w centralnym punkcie fotki, tylko jędrne pośladki w obcisłych sportowych legginsach. Koszulka też profesjonalna. Odsłaniała wyrzeźbione mięśnie ramion. Angelina patrzyła i kiwała głową z uznaniem. Sama niechętnie ćwiczyła, choć próbowała zmusić się do jakiejś aktywności wiele razy. Słomiany zapach. Pozazdrościła biegaczce o krótkich włosach zaczesanych w zabawny czub.

Przeczytała opis pod zdjęciem i znowu pokiwała głową.

Córka Niny Solis. Trzykrotnie zamężna. Obecnie znowu wolna. Dyrektor marketingu. W pracy wie, czego chce, i to osiąga. W życiu osobistym często pudłuje. Szuka kolejnych kochanków wśród artystów, poetów, nigdy ze swojej grupy. Zachwyca się, ale wcześniej czy później irytuje ją styl życia wybranków. Upokarza, a potem porzuca.

– O! Znajdę ci kogoś, za kim nie przepadam. – Angelina się zaśmiała.

Aktualnie spotyka się z synem sprzątaczką Lucyną Kołodziej – czytała dalej. – Tomasz Kołodziej, lat 35.

Angelina sprawdziła, czy nie ma zdjęcia nowego chłopaka na kolejnych kartkach, ale nie było.

Ostatnią osobą, której opis miała wydrukowany, był jego rów nolegalek. Najmłodszy z rodzeństwa – *Aleks Solis*. Rzut oka i właściwie Angelina nie musiałaby czytać, co jest napisane pod zdjęciem. Fotka przedstawiała mężczyznę sporo po trzydziestce, który bardzo starał się wyglądać jak wieczny student. Półdługie jasne, kręjące się włosy. Poplątane jak u surfera. Zblazowany uśmiech. Opalona skóra. Rozchełstana koszula w kwiaty. Porwane džinsowe spodnie. Nie mogła niestety dojrzeć, co wisi na krótkim rzemieniu na szyi, ale obstawiała jakiś rodzaj kła. Na rękach też miał jakieś skórzane męskie bransoletki. Na stopach japonki.

Unika pracy – było napisane pod spodem.

– Widać. – Angelina parsknęła.

Uważa się za podróżnika, ale z reguły jedzie w jedno miejsce, na jakiejś azjatyckiej wyspie, i tam przebywa do czasu, aż mu się skończą pieniądze. Podejmuje nierozważne decyzje. Raz po raz podsuwa pomysły w stylu wegańskich kosmetyków, koreańskich maseczek, śluzu ślimaka. Nie przywiązuje się do kobiet.

– Śluz ślimaka. Podobno czyni cuda. – Angelina kiwnęła głową ze zrozumieniem. Idealne, żeby wybielić skórę. Jak ktoś potrzebuje wybielać. Trzeba mu się przyjrzeć bardziej. Zdaje się, trendsetter. Zaśmiała się.

To już były wszystkie opisy, jakie dostała od Niny Solis. Jeszcze raz przekartkowała plik. O niskorosłym słowa nie było, ale też nie słyszała, by miał się pojawić na rodzinnym spotkaniu, na którym miała odgrywać rolę adwokatki. A właściwie tylko wyglądać i nic nie mówić. Ewentualnie udawać, że coś z uwagą zapisuje. Taka była umowa z Niną Solis, która chciała uroczystie coś obwieścić i potrzebowała wsparcia.

Angelina zgodziła się wziąć udział w całej tej maskaradzie z nieskrywaną ochotą. Chciała poznać tę rodzinę i w ten sposób dotrzeć do Kacpra Solisa – autora sztuki. Uważała, że nie ma za dużo czasu i musi działać szybko, zanim znowu przyjdzie mu coś do głowy. I bardzo, ale to bardzo nie spodobała się jej kłótnia z siostrą, która uznała to wszystko za teatrzyk i dziecinadę. Znowu padło dużo niepotrzebnych słów, ale Angelina nie miała ochoty teraz o tym myśleć. Spojrzała na zegar. Przejrzała się jeszcze w samochodowym lusterku, robiąc miny polegające głównie na patrzeniu spod okularów i układaniu ust w ciup. Podkolorowała je jeszcze szminką. Czas przyjrzeć się rodzinie Solisów na żywo.

Pod dom podeszła piechotą. Rozejrzała się. Wokół pusto, ale furka była otwarta na oścież. Przyjęła więc od razu adekwatną do stroju postawę. Wyprostowana mocno ścisnęła trzymaną pod pachą aktówkę. Stawiając jeden krok za drugim prawie w linii prostej, weszła na posesję. Zadzwoiła. Nikt nie otworzył, nacisnęła więc dzwonek jeszcze raz. Wyjęła z małej torebki telefon, by upewnić się jeszcze co do godziny, ale była za pięć dziesiąta, na którą się umówiły. Zadzwoiła po raz trzeci, po czym nacisnęła klamkę. Może zostawiono jej otwarte drzwi. Nie pomyliła się. Weszła do środka.

– Dzień dobry – rzuciła już z korytarza. Nikt nie odpowiadał. Przeszła do salonu. – Dzień dobry – powtórzyła. – Już jestem.

Fotel z dostawionym pufem był pusty. Przeszła dalej. Zsunęła okulary z nosa, bo trochę jej przeszka-dzały. Zdjęła je całkiem, widząc coś na ziemi obok krętych schodów prowadzących na piętro. Ruszyła w tym kierunku. Najpierw powoli, potem coraz szybciej. To była ręka. Dalej Angelina zobaczyła już całą leżącą we krwi postać. Nina Solis leżała na ziemi. Pół twarzy miała we krwi. Krew widniała również na ścianach, a właściwie były to odciski dłoni i palców zsuwających się w dół. Jakby chciała wsta-wać. Teraz też się ruszała i rzucała. Angelina opadła na kolana.

– Co się stało?! Co pani jest?! – krzyczała, nachylając się nad jej twarzą. – Już wzywam pogotowie! Dżizas – jęknęła, szukając trzęsącymi się rękami telefonu. Jak na złość nie mogła go namierzyć w torebce. Wyrzuciła jej zawartość na podłogę. Szminki i mała fiołka perfum potoczyły się po dywanie. Znalazła. – Już dzwonię! Zaraz ktoś pani pomoże – zapewniła, patrząc na Ninę.

Ranna spojrzała na nią i otworzyła usta, poruszając nimi jak ryba.

– Niech się pani nie męczy – próbowała uspokoić ją Angelina. Ale kobieta zaczęła rzeźcić głośniejsze. – Chce pani coś powiedzieć? – zapytała i pochyliła się nad nią. Oparła się rękami o podłogę.

– Ks... Khrs... Kha... Krzą – wydobywało się z jej ust. – Slonnnsse jest kha... Thammm...

– Nie rozumiem. Proszę... Niech się pani nie męczy. Zaraz. Już dzwonię. Jezu. – Angelina otarła dło-nią czoło i zaczęła wystukiwać numer. Dwa razy się pomyliła. Kobieta próbowała coś wykrztusić. Nie było to zrozumiałe, a też nie miała czasu się przysłuchiwać. – Niech pani nic nie mówi. Bo zaraz umrze. – Zakłęła i odwracając się, spojrzała w głąb salonu, bo zdawało się jej, że coś usłyszała. Nie myliła się. Na środku salonu stańono sześcioro oniemiałych ludzi. Prawie wszystkich rozpoznała. Zobaczyli ją i zaczęli krzyczeć prawie jednocześnie. Angelina patrzyła na nich i widziała wszystko jak w zwolnio-nym tempie.

– Policja. Dzwonię po policję! – krzyknął Wiktor Solis, stojąc nieruchomo.

– Pogotowie! Najpierw pogotowie! – wrzasnęła jego żona Izabella, nie wiadomo, czy w przestrzeń, czy do niego.

– Złodziejka! – rozdarł się ich chudy syn, który stał z tyłu, a teraz wciskał głowę pomiędzy rodziców.

– Niech się pani nie rusza! – zażądał Aleks Solis, wyciągając przed siebie ręce, jakby chciał ją powstrzymać.

– Ma jej krew na twarzy! – zawyla Tamara Solis i zakryła ręką otwarte usta.

– Zabiła ją – stwierdził chłopak, drapiąc się po głowie.

– Mamo! – wykrzyknęło kilka głosów naraz.

Wszyscy obstarpi ją i leżącą na ziemi Ninę Solis. Ktoś się pochylił, ktoś przykleknął, ktoś patrzył na nią z góry. Nagle Nina Solis lekko podniosła głowę. Ucichli natychmiast.

Zakrwawiona kobieta spojrzała i wyrzeźbiła już całkiem wyraźnie:

– Ratunku!

Potem bezwładnie opadła.

Jarota

TYCJANA ZAMOCZYŁA PATYCZEK W SZKLANYM SŁOICZKU i spojrzała w zezowate oko niskiego dżentelmena. Przyjrzała mu się dokładnie i zaczęła delikatnie trzeć uciekającą źrenicę. Wcześniej wyjęła obraz z ramy i oceniła jakość płótna od wewnętrznej strony. Podobrazie również było starsze, niż początkowo myślała. Na pewno to nie była masowa produkcja z początku zeszłego stulecia. Zbyt pobieżnie to oceniła, wyraźnie zasugerowała się słabą jakością tego, co widzi. Błąd. Odwróciła obraz i przypatrywała się fragmentom, nie całości. W końcu zrobiła próbę na skrawku dywanu. Stary werniks schodził dosyć łatwo. Teraz należało sprawdzić, co jest pod spodem. Oczyszczyła więc całe oko. Wiedziała, że właśnie ten maleńki fragmentek powie jej wszystko, czego zamierzała się dowiedzieć.

– Próba generalna. – Uśmiechnęła się do siebie. – Albo masz strita, albo nie – powiedziała, biorąc do ręki najcięższą szpachelkę zakończoną ostrym szpicem. – Zaraz się okaże. I chyba mam rację – dodała w momencie, gdy rozległo się walenie w sufit. Wzniosła oczy do góry, przygryzła wargi i solennie obiecała sobie nie reagować. Obracała tylko metalową szpachelkę w palcach. Teraz nie mogła jej użyć.

Natarczywy stukot nie ustawał przez dobrą minutę, a gdy ucichł, rozległ się dzwonek telefonu. Wiedziała, kto dzwoni, więc nie odebrała. Po kilku alarmach znowu rozległo się walenie. I znowu telefon, i walenie. Wstała i postanowiła kategorycznie rozmówić się z ciotką, a jeśli będzie na dole jeszcze Angelina, to się do niej nie odezwać słowem. Ulotniły się gdzieś uczucia z zeszłego popołudnia i była pewna, że szybko nie wrócą. Zbiegła po schodach.

– Nie życzę sobie! – krzyknęła zaraz po otwarciu drzwi, ale nie dokończyła ułożonego na schodach zdania. Powstrzymał ją stan, w jakim zastała Józefinę.

Rozczochrana i roztrzęsiona ciotka na jej widok wypuściła z rąk miotłę. Miotła z hukiem upadła na podłogę, a ona sama ledwo zdążyła oprzeć się o ścianę.

– Nie weszłabym na górę. Nogi mi się trzęsą – oznajmiła prawie ze łzami w oczach.

Tycjana, nie czekając, chwyciła ją pod ramię i zaprowadziła do pokoju na fotel. Ciotka nie kłamała, płątały się jej nogi.

– Nie masz pojęcia, co się stało. Nie masz pojęcia – powtarzała po drodze, głośno sapiąc.

– Nie mam – odpowiedziała, gdy Józefina już usiadła.

– Linę aresztowali! I nikt mi nie chce wyjaśnić, o co chodzi – jęknęła, łapiąc oddech.

Tycjana miała ochotę powiedzieć: „A nie mówiłam”, ale się powstrzymała. Ciotce mogła tego oszczędzić, choć ta rano wtórowała Angelinie, mówiąc, że potrafi popsuć każdą zabawę. Wypomniała bratanicy jakiś bal karnawałowy, na który nie poszła, bo nie chciała się przebrać. Tycjana nie zamierzała jej wyjaśniać, że nie poszła z powodu nakrycia swego męża na zdradzie, a nie z powodu dziwnego kostiumu, w którym wcale źle nie wyglądała.

– Z jakiego powodu ją aresztowali? – zapytała spokojnie, wierząc, że zaraz się wszystko wyjaśni. Może siostra składa zeznania na komisariacie, może jest świadkiem, a zdenerwowanej ciotce wszystko mogło się pomylić.

– Mówią... Znaczy Tamara Solis powiedziała, zanim rzuciła słuchawkę, wyobraź sobie! – Ciotka ledwie złapała oddech, przypominając sobie tę zniewagę. – Powiedziała, że Angelina Raj chciała zabić jej matkę. Wyobrażasz to sobie?! – powtórzyła, chwytając się za serce.

– Ale dlaczego?

– Bo Nina prawie zamordowana leży na intensywnej terapii. A Lina we krwi nad nią stała!

– Co?! Co się tam stało?

– Skąd mam wiedzieć co?! Nina nie odzyskała jeszcze przytomności. Jak odzyska, to mi powie. Przecież to nie może być prawda, co mówią – jęknęła, trzymając się za głowę.

Tycjana słuchała jej z otwartymi ustami. Nie mogła poskładać tego wszystkiego w sensowną całość.

– Co nie może być prawdą? I gdzie jest Angelina?

– No aresztowana! Przecież ci mówiłam.

– Pewnie ją przesłuchują – sprecyzowała. – Skoro był jakiś wypadek – zgadywała, starając się zachować spokój przy roztrzęsionej ciotce.

– Chyba nie tylko, bo Tamara powiedziała, że z jej kartoteką to szybko nie wyjdzie.

– Z jaką kartoteką?

– Też się zapytałam, ale ona rzuciła słuchawką – odparła Józefina rozżalona. – Ja chyba zawału dostanę. To mnie zabije – dodała, wachlując się ręką.

Tycjana, która do tej pory nachylała się nad nią, usiadła na podłodze, podparła ręką głowę i wlepiła oczy w parkiet. Rzeczywiście nie znała przeszłości siostry, ale jaki to może mieć związek? Zresztą przecież widziała ją rano idącą na szpilkach, w obcisłej spódnicy, z aktówką pod pachą. Wystroiła się, przebrała, niepotrzebnie, ale przecież nie po to, żeby ludzi mordować. Co się stało? I co za kartoteka?! To ją przestraszyło najbardziej.

– Skąd to wiesz?

– Od Tamary. Chyba nie uwierzyła, że to moja bratanica. Widocznie Linka musiała jej się przedstawić i ona chciała to potwierdzić. No to ja jej chciałam opowiedzieć, jak to się Linka u nas zjawiała i...

– Dzwoniłaś na policję? – przerwała jej Tycjana.

– A co nam teraz policja powie, jak oni podobno śledztwo prowadzą. Titi, jedź do Jaroty. On jedyny może się czegoś dowiedzieć.

– Dzwoniłaś do niego? – Rzeczywiście to była najlepsza droga na skróty.

– Tak, ale nie odbiera. – Józefina rozłożyła ręce. – Jakby odebrał, tobym tu nie wchodziła... Przecież...

– A co z nim? – zapytała Tycjana, próbując ukryć ciekawość, która zżerała ją już od rozmowy z Angeliną, choć nie odważyła się wypytywać ani siostry o powód ich kłótni, ani ciotki, czy coś wie na ten temat.

– Lina mówiła, że dołuje – odparła Józefina. – Cokolwiek to znaczy. Pije chyba i z mieszkania nie wychodzi. Titi, idź po niego – błagała. – Rozstali się z Liną. Podobno, ale przecież tyle to może zrobić. – Westchnęła. – Powinien – dodała i zmarszczyła czoło. – Co ja się go proszę?! – skarciła samą siebie, odzyskując bojowy nastrój. – Powiedz mu, że ma natychmiast przyjść! A jak nie, to ja się pokwapię na to jego poddasze. A na dół to chyba będzie musiał mnie znieść niezwyw, to pewne – stwierdziła, widząc, że Tycjana potakuje i wstaje z podłogi. – To jakieś szóste piętro po krętych schodach – wyjaśniła. – Z dwóch kamienic mógł sobie wybrać, co chciał, bo mu Stenia to przepisała, ale dlaczego on się uparł akurat tam, na samej górze. Może, że przestronne. Pojęcia nie mam...

– Znam adres – przerwała jej Tycjana. Nie musiała pytać. Doskonale wiedziała, gdzie mieszka, odwiozła kiedyś Angelinę, a ta pokazała jej okna, jak określiła, „nory” na poddaszu. Niepotrzebnie. Od tej pory zawsze gdy jechała przez Jezyce, chcąc nie chcąc zadzierała głowę i w nie patrzyła. Z czasem przestała tamtędy jeździć.

– To ja ci jeszcze prześlę – stwierdziła Józefina. – Mam w notesie. Żebyś wiedziała.

Tycjana kiwnęła głową.

Pomijając uczucia, jakie się w niej kotłowały, Jarota był byłym policjantem. Swego czasu zawieszonym za pobicie kochanka żony, ale Tycjana zdążyła się już zorientować, że potrafi zdobywać informacje. Zresztą przestraszyła się nie na żarty. Angelina w coś się wpakowała i jakkolwiek enigmatyczna była relacja ciotki, nie brzmiało to dobrze. Gdyby chodziło o nią, to dwadzieścia razy by się zastanowiła, czy się z nim skontaktować. Ale nie chodziło o nią, tylko o młodszą siostrę. Klóciły się, irytowała ją, ale przecież miała podobne uszy i podbródek i robiła miny, które czasami przypominały jej ojca, a czasami syna. To wystarczyło. Pomoże, jak tylko będzie umiała, uratuje, uściska... a potem spierze na kwaśne jabłko lub o tym pomarzy. Później powie, co myśli, i nie będą to miłe słowa, i nie da sobie przewrać ani zatrasnąć przed nosem drzwi. To wszystko jednak – potem.

– Tylko daj mi znać. Bardzo się o nią martwię – poprosiła Józefina, odprowadzając ją do drzwi.

– Ja też – odpowiedziała szczerze Tycjana i objęła roztrzęsioną ciotkę. – Lecę – dodała – a ty spróbuj się dowiedzieć, w jakim szpitalu leży ta Nina i jaki jest jej stan.

– Ale jej córka nie odbiera.

– Wymyśl coś – rzuciła bratanica, wybiegając z mieszkania.

Zadzwoniła do niego, ale tak jak mówiła ciotka, nie odbierał. Może rzeczywiście „dołował”. Ma powody do dołowania, rozmyślała, szybko wkładając buty i wrzucając klucze do torebki, i zbiegła po

schodach. Żona go zdradziła, a on pobił jej kochanka. Podobno nie z samego powodu zdrady, ale dlatego, że zastał go w mieszkaniu we własnych kapiach. Poturbował go, a kochanek jako prawnik nie oddał mu, tylko wytoczył mu sprawę w sądzie o pobicie i doprowadził do tego, że zawiesili go w pracy. Na dokładkę była już żona w trakcie rozwodu oświadczyła mu, że nie jest ojcem ich dziecka, a on zdążył już jak ojciec się poczuć. To go dobiło. Tycjanę zaś to, że zaczął się spotykać z jej siostrą. Angelina nie była niczemu winna. To ona sama powiedziała głośno, że nie jest nim zainteresowana i „nigdy nie będzie”, choć podczas wyjaśniania przyczyn śmierci ojca polubiła się chyba, może to było coś więcej. Ale był parę lat młodszy, co wydawało jej się poważną przeskodą, a poza tym sama była po rozwodzie. Potrzebowała więcej czasu, przynajmniej tak myślała. A wtedy stało się tak jak w dzieciństwie. Wielokrotnie wracała we wspomnieniach do sytuacji, gdy ciotka namawiała ją, żeby zjadła ostatnią czekoladkę z bombonierki. Wyglądała doskonale, o takim smaku, jaki lubiła. Oblizywała się i miała na nią wielką ochotę. Ale krygowała się, mówiła, że nie chce, bo wydawało się jej, że tak należy się zachować. Nie przyznawać się, że na czymś bardzo jej zależy, być grzeczną. W tym momencie stało się tak jak jeszcze wiele razy w życiu. Jakiegoś dziecko z sąsiedztwa, które przyszło niespodziewanie i stanęło obok, bez oporów wyciągnęło rękę i ją zjadło. Miało ochotę i wzięło. Co jakiś czas taka sama sytuacja przydarzała się jej w dorosłym życiu. Tak też było z Jarotą i – tym razem – Angeliną w roli głównej.

Jakoś sobie z tym radziła, przede wszystkim unikając spotkania z nim – co się połowicznie udawało. Nie z siostrą, bo ją miała pod dachem, więc to było niewykonalne. Ale Jaroty nie widziała od dawna. Nawet gdy przyjeżdżał po Angelinę, a było tak parę razy, chowała się w pokoju. Do niego nigdy nie dała się zaprosić.

Teraz jednak nie miała oporów. Teraz był konkretny powód. W piętnaście minut znalazła się na Jeżycach pod kamienicą, przy której wysadziła kiedyś Angelinę.

Zdziwiła się, bo adres nie zgadzał się o dwa numery z tym, który przysłała jej Józefina. To były dwie sąsiednie klatki. Weszła jednak do tej, w której kiedyś znikła siostra. Zapamiętała okna i były wyraźnie pod tym numerem. Ciotce mogło się coś pokrzyżować. Szóstka z ósemką pomylić. Żle zapisała w notesie.

Wspięła się po drewnianych, krętych schodach na samą górę. Gdy już była na ostatnim, zdawało się, piętrze, zobaczyła jeszcze jedne węższe schody prowadzące na poddasze. Józefina mówiła, że przestronne mieszkanie, Angelina, że nora, ale to ona tam bywała. Tycjana wspięła się więc po schodach, które prowadziły tylko do jednych drzwi. Żelaznych z wizjerem i jednym zamkiem pod kłamką.

Zapukała. Cisza. Pukała jeszcze kilka razy z różną natarczywością, ale tym samym efektem. Żadnym. Oparła się o futrynę i zaczęła myśleć. Zostawić kartkę w drzwiach i czekać? Nie wiadomo ile? Wrócić do domu z niczym? Wydzwaniać do Tamary, Aleksa? Znała ich z dzieciństwa, chodzili na jeden plac zabaw. Ale ani jednego, ani drugiego nie widziała pewnie ze dwadzieścia lat. I co powie? Jak tłumaczyć się z siostry, o której sama niewiele wie? Iść na komisariat? Pewnie tak, ale to chciała odłożyć na później. A może Jarota jest w środku, tylko nie otwiera? Zastukała jeszcze raz, bez większej nadziei. Za to jej wzrok padł na stojącą w wąskim korytarzyku starą przedwojenną witrynę z wybitą szybą. Może jest tu gdzieś zapasowy klucz? Jeśli jest w środku, to go zaskoczy. Wsadzi mu głowę pod zimną wodę. Przemówi do rozsądku! A jak go tam nie ma, zostawi kartkę. Pomysł nie był najgenialniejszy, ale nic innego nie przyszło jej do głowy. Rozejrzała się i zaczęła szukać klucza. Najpierw przejechała palcami futryny. Tylko starła kurz. Zajrzała do witryny, ale w środku było pusto, nie licząc starych rupiec. Wymacała zdelelowany gramofon, przerzuciła kilka poślódkich kryminalów, przesunęła popstute żelazko. Nic. Kucnęła, zerknęła na podłogę. Pusto, tylko koty z kurzu. Szafka miała jednak dość szeroki gzyms, tuż nad nóżkami, tworzący wazitką półkę przylegającą do ściany. Włożyła tam rękę. Coś wyczuła, wsunęła palce głębiej, usłyszała brzdęk spadającego kawałka metalu, a potem trzask. Wrzasnęła z bólu. I piszczęła, dopóki nie wyjęła dłoni i nie zobaczyła łapki na myszy, która schwytała jej środkowy palec. Zajęczała, odginając drut, a potem tylko syczała z bólu, dmuchając na czerwoną i puchnący koniuszek. Chwilę skakała w miejscu, w końcu schyliła się i wyciągnęła leżący pod szafką klucz. Łód, potrzebuję lodu, pomyślała, wkładając klucz do zamka. Pasował. A jeśli to nie jego mieszkanie? E tam, machnęła ręką, dmuchnęła na palec i weszła do środka.

Rzeczywiście nora. Ciemne pomieszczenie z dwoma małymi oknami dachowymi. Łóżko, szafka, telewizor. Przetarta, niegdyś może skórzana kanapa. Wszędzie butelki po wodzie, piwie i winie. Stare graty i bałagan. Ale nie to ją interesowało. Były też kuchenka, zlew i mała lodówka. W lodówce światło, kilka puszek piwa, parę słoików i mały zamrażalnik, a w nim worek z lodem. Wyjęła kilka kostek,

wrzuciła w wymiętą ścierkę i wcisnęła w to palec. Obwiązała wokół nadgarstka. Dopiero wtedy spokojnie się rozejrzała, choć niewiele to zmieniło. Pierwsze wrażenie pozostało.

– Tak – powiedziała głośno.

Prawdziwy detektyw, jak z książek. Pijak, po rozwodzie, topiący w alkoholu swe nieszczęścia. I to o nim myślała przez tyle czasu? Brawo! Westchnęła, patrząc na kominek, którego nie zauważyła na początku. Nie miała pojęcia, czy pali w nim zimą, ale latem na pewno służył za barek. Na żeliwnych kratkach stało kilka butelek z mocniejszymi trunkami.

– Pięknie! – wyrwała się jej, gdy nagle usłyszała, jak ktoś wbiega po schodach.

Jeszcze kilka pięter niżej, a już było słychać odgłosy, jakie wydawały pokonywane gwałtownie stopnie i trzeszcząca od nerwowego chwywania drewniana barierka. Poderwała się. Wpadła w panikę. Co powie? A jeśli to nie mieszkanie Jaroty? Jego jest obok, tak jak mówiła Józefina? Jeśli ktoś ją zaatakuje? Kroki zbliżały się błyskawicznie. Uciec, ale jak? Na górę prowadziły wąskie schodki. Jej wzrok padł na stojący obok kominka żeliwny zestaw narzędzi. Mała szufelka, ale i coś jak harpun. Błyskawicznie chwyciła drewnianą rączkę i wyjęła go ze stojaka. Nie było gdzie się schować. Stała za drzwiami wejściowymi, przylegając do ściany. On wejdzie do środka głębiej, a ona ucieknie. Wstrzymała oddech, popatrzyła na harpun. Po co go wzięła? Odłożyć teraz nie mogła. Upuścić też nie. Nie teraz, gdy ktoś w szalonym tempie wbiegł po schodach i się zatrzymał. Następnie chwycił za klamkę i powoli otwierał drzwi. Przywarła do ściany, zastanawiając się, w którym momencie się ujawnić. Kiedy wyskoczyć? I co powiedzieć? Skrzydło zbliżało się centymetr po centymetrze, patrzyła, jak klamka za chwilę dotknie jej brzucha. Niespodziewanie z powrotem zaczęło się zamykać i nagle z wielką siłą uderzyło ją w głowę, przygniatając do ściany. Jęknęła z bólu. Drzwi puściły. Uwolniła się z chwilowego potrzasku. Odskoczyła, odruchowo odstawiając jedną nogę do tyłu i uginając drugie kolano, wyciągnęła przed siebie żeliwny harpun. Pierwsze, co zobaczyła, to czarne loki. Odetchnęła trochę, choć nie zmieniła pozycji, nim cały wychylił się zza drzwi. Wyglądał jak zwykle. Jak kudłaty, misiowaty diabeł, choć może trochę bardziej zarośnięty. Trochę też zmęczony na twarzy, a może opuchnięty. Miał na sobie czarne spodnie i czarną rozciągniętą koszulkę z nazwą jakiegoś zespołu. Patrzył na nią z niezrozumieniem, unosząc czarną brew. I – tak jak lubiła – zmarszczył nos.

– Wiem, że ćwiczyłaś szermierkę, ale dlaczego znowu trenujesz na mnie? – zapytał, chwytając ostrze żeliwnego harpuna w rękę. Popatrzył na nią z politowaniem.

Puściła trzonek. Jarota zbałdał tępość narzędzia z udawaną powagą, pokręcił z niedowierzaniem głową i odstawił je do stojaka.

Tycjana poczuła, jak z rozciętego łuku brwiowego zaczyna kapać krew, i dopiero teraz ją zabolalo.

Podszedł do niej, popatrzył.

– Spuchnie, i to bardzo. Ale szyć chyba nie trzeba. – Skwitował ogłędziny wzruszeniem ramion. – Chcesz lodu?

– Już mam – pokazała na zawiniętą wokół ręki ścierkę. Wyjęła z niej kostkę i przyłożyła na brew.

– A to skąd? – zapytał z lekko szyderczą miną.

Odniosła wrażenie, że doskonale wie. Słyszał na dole ten trzask? Musiał słyszeć, odpowiedziała sobie sama. Zastawił pułapkę i wiedział, że ktoś w nią wpadł.

– Łapka na myszy – odpowiedziała, pokornie spuszczając głowę jak schwyte na gorącym uczynku dziecko, które już wie, że mu się nie upieczce.

– Pytałem o lód.

– Z lodówki.

– Czyli nie muszę ci mówić, żebyś się rozgościła. – Zaśmiał się, kłaniając się uprzejmie i wywijając ręką kurtuazyjnego młynka.

– Przepraszam. Musiałam się z tobą skontaktować... – próbowała się jakoś wytłumaczyć, choć wiedziała, że to żałosne. Weszła do tego mieszkania, a potem zastanawiała się, czy to dobry adres. Tak to powiedzieć? – Nie chciałam przychodzić, przeprosiłam, a ty mógłbyś być odrobinę miłszy.

Popatrzył na nią.

– Dobrze wyglądasz – stwierdził niespodziewanie. – Zmieniłaś styl?

Tycjana dopiero teraz się zorientowała, że ma na sobie stare dzinsy i poplamiony farbą biały podkoszulek. Ubrała się tak do ściągania werniksu z obrazu, a nie do chodzenia po mieście. Sama się zdziwiła, że nawet tego nie zauważyła.

– Spieszyłam się. To roboczy strój – wyjaśniła, wlepiając wzrok w błękitne i żółte cętki na koszulce. Jedną płamę z farby próbowała zdrapać palcem, bezsensowny pomysł, tyle że nie musiała na niego patrzeć.

– Głupio między nami wyszło – ciągnął z wyraźnym rozbawieniem. – Nie przepadasz za mną, wiem, ale to już chyba przesada – oświadczył.

Tycjana zrobiła wielkie oczy. Właściwie jedno wielkie oko, bo drugie puchło. Korzyść z tego była taka, że przestała czuć ból palca. Odwiązała ścierkę i wyjęła z niej resztki roztapiającego się lodu. O czym on mówi?

– Mówiłam, że przepraszam – powiedziała, masując łuk brwiowy.

– Myślałem, że akurat ty wiesz, że nie wolno się włamywać do cudzych mieszkań.

– Wiem i dostałam już karę – stwierdziła, przeciągając resztką kostki po brwi.

Spojrzał na nią i pokręcił głową z przesadnym niezadowoleniem.

– No tak. Zdecydowanie nie jestem w formie – żartował sobie. – Nos ci spuchnie, ale gdybym był w lepszej kondycji...

– Wystarczy mi – odpowiedziała, dotykając grzbietu nosa. Syknęła z bólu.

– Dlaczego się chowałaś? – nie wytrzymał, pytając już trochę poważniej. – Mógłbym ci zrobić krzywdę. Wystarczyło powiedzieć „Dzień dobry. Znalazłam klucz, weszłam... Może posprzątać z nudów”. A nie chować się za drzwiami jak jakiś złodziej. I z bronią w ręku. Mniejsza z tym. – Machnął ręką. – Ale zacić się, żeby dźgnąć mnie harpunem z zestawu narzędzi kominkowych...? Śmierć z gatunku najgłupszych, żeby choć oberwać białą bronią, ale żeliwną... – Kiwał głową, patrząc na stojak przy kominku. Odwrócił się i podszedł do lodówki. – Naprawdę dobrze ci w roboczym stroju. Nie, żeby te twoje za duże sukienki nie były twarzowe. Też spoko – stwierdził, wyjmując zimną puszkę piwa.

Tycjana odniosła wrażenie, że im dłużej mówi, tym bardziej bełkocze. Był też czerwony na twarzy, ale nie miała pojęcia, czy to od przepicia, czy wbiegania na poddasze.

– Czy ty jesteś pijany? – zapytała wprost.

– Jakbym był trzeźwy, tobym dzwonił na policję. A tak mi się nie chce – skwitował, rozsiadając się na wytartej kanapie. Postawił przed sobą piwo.

– Możesz zostawić je na później?

– Włamujesz się i mi rozkazujesz?

– Nie. Proszę cię. Musisz pomóc Angelinie.

Chwilę na nią patrzył z zaciekawieniem. Potem wzruszył ramionami.

– Z tego, co mi wiadomo, Lina doskonale radzi sobie sama – stwierdził, otwierając puszkę. Zawlecza strzeliła wyjątkowo głośno.

Tycjana zastanawiała się, czy tylko ona nie знаła tego zdrobnienia. Nie była wystarczająco bliska? Wszyscy tak do niej mówią? W innym momencie to by ją zdenerwowało, teraz nie miała czasu o tym myśleć. Znowu boleśnie pulsowała jej krew w zmiażdżonej opuszcze i czuła pod palcami, jak puchną łuk brwiowy i nos. Zastanawiała się, czy nie będzie musiała pojechać na pogotowie.

– Musisz jej pomóc – powtórzyła.

– Właśnie o to chodzi, że nie muszę – odparł, pociągnął duży łyk z puszkki i oblizał usta z piany.

– Aresztowano ją.

Jarota zmarszczył czoło, po czym jeszcze wygodniej rozsiadł się na kanapie i rozłożył ręce.

– Chce brzeszczot czy szczoteczkę do zębów?

– To nie żart!

– No dobra. Przykułaś moją uwagę – stwierdził z przekąsem. – Opowiadaj – zachęcił Tycjanę, patrząc na nią spod przymkniętych powiek.

Nie wiedziała, od czego zacząć. Zaczęła więc od wyjęcia mu piwa z ręki.

Kartoteka

– TITI! CO SIĘ STAŁO?! – wykrzyknęła ciotka na widok bratanicy, która stanęła w drzwiach willi przy placu Spiskim.

– Byłam u Jaroty... – zaczęła tłumaczyć.

Wcześniej zajechała na pogotowie, ale tam ciągnęła się długa kolejka. Zrezygnowała i poszła do apteki. Farmaceutka specjalnie dla niej wyszła zza kontuaru i precyzyjnie zalepiła jej brew oraz przykleiła plaster na nos.

– Mężczyzna? – zapytała.

– Tak. Nie. Drzwi – plątała się.

Kobieta długo i wymownie patrzyła jej w oczy, po czym bez słowa podała jej wizytówkę z telefonem fundacji walczącej z przemocą.

Musiąca bardzo źle wyglądać, skoro tak zadziałała na nieznaną. Oglądała się tylko w lusterku samochodowym. Teraz szukała lustra, które zawsze wisiało u Józefiny w przedpokoju. Ale po lustrze w wielkich rzeźbionych ramach został tylko wyblakły ślad o fantazyjnych krawędziach. Musiało zostać gdzieś przeniesione na czas remontu.

– Dlaczego cię pobił? – zapytała ciotka, wspinając się na palce, by lepiej się jej przyjrzeć.

– Nie bezpośrednio. Zderzyłam się z drzwiami. Wypadek.

– Na pewno?

– Na pewno.

– Boli? – indagowała ciotka.

– Przechodzi.

– Ale cię urządził. Zaraz mi opowiesz. A czy wiesz, co u Angeliny?

– Nie, ale zaraz przyjdzie...

– A to wspaniale! – Ciotka klasnęła w ręce.

– Jarota przyjdzie – sprostowała Tycjana. – Może dowie się czegoś więcej. Ja dowiedziałam się tylko tyle, że mają prawo zatrzymać ją na czterdzieści osiem godzin. A co u Niny?

– Bez zmian – oświadczyła zmartwiona Józefina. – Lucynka mnie będzie informować.

– Masz gdzieś lustro? – zapytała Tycjana, ciągle rozglądając się po przedpokoju, w którym fruwało kilka oderwanych płacht folii zasłaniających poszczególne drzwi. – Mogę się przejrzeć? Czy mam iść do siebie? – Dotknęła nosa i aż syknęła z bólu.

– A na pewno chcesz się oglądać? – Ciotka patrzyła na nią, krzywiąc usta. – Może najpierw napij się czegoś? Mam kompot z mirabelek, mówię ci, pyszny, taki kwaskowaty.

– Chcę zobaczyć – powtórzyła Tycjana.

– Jeśli bardzo chcesz, to w sypialni. Tam wszystko poznosiłam. Słuchaj, myślisz, że mogę poprosić Jarotę, żeby zastraszył tego cykliniarza? Na przykład bronią w rękę? Albo zrzuconiem z wieżowca. On podobno na Wichrowych Wzgórzach mieszka. Na dziesiątym piętrze. Mógłby się przestraszyć. Co? Jak myślisz? – pytała Józefina, drepcząc za bratanicą.

– Myślę, że to dobry pomysł. – Tycjana weszła do zagraconego pomieszczenia, w którym ledwo było widać łóżko. Lustro stało na podłodze oparte o ścianę. Podeszła i jęknęła z przerażenia. Miała sińca pod okiem, opuchniętą powiekę i rozciętą brew. Nos też trochę spuchł, choć opuchlizna się nie powiększała, za to zaczął się pojawiać siniak pod okiem, biegnący z samego kącika. – Nieźle mnie urządził – skwitowała.

– Zaskarżysz go?

– Nie. To nie jego wina. Myślał, że to złodziej. – Bardzo nie chciała opowiadać szczegółów.

– Czyli najpierw działa, potem myśli. Dam mu adres tego cykliniarza. Że też wcześniej na to nie wpadłam. – Józefina podrapała się w głowę. – Zapłaciłam mu zaliczkę, sześć razy przekładał... Teraz to już wcale nie odbiera telefonu.

– Idę to jakoś przypudrować – przerwała jej Tycjana.

– Gdyby była Linka, toby ci to perfekcyjnie zamalowała. Śladu by nie było. – Ciotka z zalem pokiwała głową.

– Gdyby była w domu, toby mnie nie musiała pudrować – syknęła Tycjana pod nosem. Była już przy drzwiach wyjściowych, gdy ktoś zapukał.

Otworzyła. Po drugiej stronie stał Jarota. Wykąpany, ogolony, ze świeżo umyтыми włosami, które nie zdążyły się jeszcze skrócić w loki, tylko puszyły się na głowie. Koszulkę też miał nową, z takimi samymi napisami, też czarną, ale odprasowaną. W rękach trzymał uroczy bukiet kolorowych, misternie ułożonych polnych kwiatków. Taki, jakie sprzedają starsze panie z Rynku Jeżyckiego.

– O, wystarczy zapukać i działa – stwierdził, patrząc jej w oczy.

– Tak. – Wyciągnęła rękę po kwiatki. – Nie trzeba było – dodała.

– To dla twojej ciotki.

Tycjana cofnęła rękę, jakby ją te kwiaty oparzyły.

– Jakie cudne – westchnęła Józefina, która właśnie wychyliła się zza jej ramienia.

– Proszę. Przechodziłem...

– Jesteś uroczy. Zapraszam do ogrodu. – Uradowana Józefina przepuściła go przodem. – Przepraszam za bałagan. Właśnie miałabym dla ciebie sprawę... Mam remont, choć jeszcze jakby nie mam, znaczy się remontu nie mam. – Gdy tylko się odwrócili, Tycjana spojrzała na sufit i pacnęła się w czoło, zapominając o brwi, aż syknęła z bólu. – Tak, masz rację, Titi, to może poczekać. Co u Linki? Wiesz już coś? – ciotka zwróciła się do Jaroty.

– Niewiele. Musicie mi jeszcze raz o tym opowiedzieć, bo jednak nie wszystko rozumiem – stwierdził Jarota, patrząc na szeleszczące we wnękach porozwieszane folie.

– Przyniosę kompot z mirabelek.

Czekali na nią przed wejściem na taras. Jarota przyglądał się Tycjanie, choć już ze znacznie mniejszym rozbawieniem.

– Jak chcesz, to możesz mówić, że to się stało podczas włamania z użyciem niebezpiecznego narzędzia. Potwierdzę.

– Będę się chwalić – przytaknęła. I nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć.

Na szczęście Józefina wybawiła ją z opresji, wołając, żeby przyszła po szklanki. Sama szukała wazonika na kwiatki. Gdy we trójkę usiedli w wiklinowych fotelach, bukiet stanął na środku stolika. Żeby było jeszcze ładniej, Józefina podłożyła pod niego haftowaną serwetkę. Spoglądając na Jarotę, wzdychała z zadowoleniem.

– Dlaczego tak naprawdę ją aresztowali? – zapytała Tycjana.

– Zatrzymali – sprecyzował Jarota.

– Ale dlaczego zatrzymali? – włączyła się ciotka. – To niedorzeczne. Przecież ona nic nie zrobiła.

– Może teraz nie, ale kiedyś tak – odpowiedział.

Ciotka zamarła, a Tycjana znieruchomiała. Bała się tego, co może zaraz usłyszeć.

– Czyli to prawda? – zmartwiła się Józefina. – Ma coś na sumieniu?

– Na pewno dużo różnych rzeczy, ale jeśli chodzi o sprawy karne, to niewiele jeszcze wiem – ciągnął. – Tylko dzwoniłem. Nie o wszystkim można rozmawiać przez telefon. Później jestem umówiony. Ale muszę mieć więcej danych. Co ona tam właściwie robiła? – zapytał, marszcząc brwi.

– Ty wyjaśnij – poprosiła Tycjana. – Śmiało – dodała, widząc minę ciotki.

– Nina sama ją poprosiła – zachnęła się ciotka lekko urażonym głosem. – Taka przysługa koleżeńska. Oczywiście to moja koleżanka. Lina miała tylko pomóc. Niby to teraz moja wina? Ale przecież mnie tam nie było! Ja byłam tutaj, czekałam na cykliniarza, choć to bez sensu...

– Jak miała pomóc? – Jarota pytał dalej.

– Podobno Nina chciała coś obwieścić dzieciom i chciała dać im do zrozumienia, że już to spisała u notariusza. Czy w jakiejś kancelarii. Lina miała tylko jej przytakiwać i robić poważne miny. Taka drobna, niegroźna inscenizacja. W czym problem? – skwitowała ciotka.

– W tym, że ją aresztowano – podsumowała Tycjana.

– Wiem, że od początku ci się to nie podobało. – Józefina miała taką minę, jakby nie zdecydowała jeszcze, czy się naburmuszyć, czy rozplakać. – Bardzo dobrze wiem i nie musisz mi tego przypominać. Mam jeszcze pamięć całkiem dobrą... Jestem wystarczająco zdenerwowana, a to nie jest dobre na moje nerwy. Poza tym tobie często się coś nie podoba... – oświadczyła.

– Dlaczego ci się to nie podobało? – przerwał Jarota, nie dając się ciotce rozwinąć, bo właśnie chyba zdecydowała, że się obrazi.

– Bo miałam przecucie, że jest tam jakiś większy problem. Jakaś poważna rozgrywka rodzinna, a do tej rodziny lepiej się nie mieszać.

– Dlaczego? – zapytał z jeszcze większym zainteresowaniem.

– Bo chodzi o bardzo duże pieniądze. Nazwisko powinno ci coś powiedzieć...

– Mówi mi.

– To bardzo dobre kremy – wtrąciła się Józefina. – Wszyscy je znają. Używasz?

– Tak, ale tylko na noc – odparł Jarota. Tycjana uśmiechnęła się i skrzywiła prawie jednocześnie, bo poczuła nos. – I ona poszła tam rano? – zapytał po chwili. – O której?

– Tak. Jakoś przed dziesiątą. Przebrana za sekretarkę – wyjaśniła Józefina. – Prawie jej nie poznałam – dodała z dumą. – Miała na sobie...

– Dlaczego jej nie poznałaś? – zapytał Jarota.

– Bo nie masz pojęcia, jak wyglądała. Sam byś jej nie poznał. – Ciotka przymrużyła oczy i kręciła głową. – Wypisz wymaluj pani z kancelarii. Jak z obrazka. Jak ona to robi? Jest taka zdolna. Fryzura, okulary, bucik... – wymieniała z satysfakcją.

– Tak. Bardzo zdolna. Do wszystkiego – powiedziała Tycjana i chciała się ugryźć w język, bo o ile Józefina nie zauważyła złośliwości, o tyle Jarota z ciekawością uniósł brew i spojrzał na nią z ukosa, zastanawiając się, skąd ta nagła jawowitość. – Ciocia się zachwyła, bo oczywiście dobrze wyglądała, a właściwie doskonale – szybko dodała – jak na rolę, którą miała odegrać, oczywiście.

– Oczywiście. – Jarota pokiwał głową i wyciągnął z kieszeni zmiętą kartkę oraz mały ołówek z marketu budowlanego.

– Zupełnie była niepodobna do siebie – potwierdziła Józefina. – Wolę ją na co dzień, ale wtedy...

– To może wyjaśnić, dlaczego kobieta na okazaniu jej nie rozpoznała. – Jarota zapisał coś na rozprostowanej dłonią kartce.

– Jaka kobieta? – zapytały obie jednocześnie.

– Jakiś świadek. Miała podobno ją widzieć na chwilę przed tym, jak się zjawiła w willi Niny Solis, ale nie potwierdziła tego. Sprawdzę to. Ale wróćmy do tego, dlaczego ci nie pasuje ta rodzina?

– Titi przesadza – Józefina zaczęła za nią. – Zna ich przecież od dziecka. Kiedyś bawiła się z Tamarą, a z tym Alekssem to się nawet całowała, pamiętam, jak przyłapałam ich w ogrodzie, za żywopłotem...

– Przestań, to było w przedszkolu – próbowała powstrzymać ją Tycjana.

– Co przestań? Nie pamiętasz?

– Całowałaś się już w przedszkolu? Taka byłaś kiedyś odważna? – zainteresował się Jarota, z wielkim zaciekawieniem unosząc brew.

– Nie całowałam, znaczy całowałam – zaczęła się płatać. – Przestańcie, to było w przedszkolu! Dawno, dawno temu. Już w podstawówce nasze drogi się rozeszły. Nie spodobało mi się co innego – szybko wróciła do wcześniejszego tematu. – Przede wszystkim to, że ktoś zbiera informacje na ich temat... – oświadczyła i przerwała na chwilę. Zdziwiła ją mina Jaroty, który automatycznie wyprostował się w fotelu, a potem się w nim rozparł.

– Skąd wiesz, że ktoś zbierał takie informacje? – zapytał poważnie.

– Dostałam od niej mejl. Właściwie Angelina dostała. Ja miałam go tylko wydrukować. Wydrukowałam i do tego niepotrzebnie przeczytałam. Dlatego mi się to nie podobało. Po co te informacje?

– Po to, żeby Lina wiedziała, kto jest kto – wtrąciła się Józefina z miną znawcy wielkiej polityki. – Przecież ona ich nie zna tak jak ty. A miała wyglądać na dobrze zorientowaną. Zawodowo oczywiście. Tak mi Nina powiedziała. Tam tylko zdjęcia były.

– Nie tylko – uświadomiła ją Tycjana. – Tam były szczegółowe informacje dotyczące ich życia osobistego. Nie mam pojęcia, po co chciała ją tak wtajemniczyć. Nie podobało mi się to wtedy i nie podoba mi się teraz – powiedziała, a Jarota słuchał bez słowa.

– Może chciała się jej zwierzyć? – wymyśliła Józefina, kręcąc głową. – Może była samotna, dawno się ze mną nie widziała. Mąż mężem, ale koleżanka...

– Serio? – przerwała jej Tycjana.

– To na pewno nic takiego. – Józefina machnęła ręką. – Sama przekonałam ją, że Lina pomoże jej odegrać każdą maskaradę. Opowiedziałam jej, co nam się przydarzyło wcześniej, przecież wiesz, jaka jest zdolna, i wtedy Nina zdecydowała się wysłać to, co tam miała. Powiedziała, że w takim razie, skoro

tak o niej mówię, to przyda się jeszcze bardziej. Obiecała, że wszystko mi później powie. Teraz to nie wiadomo, kiedy mi powie – dodała i zmartwiła się. – Kto mógł jej to zrobić? Przecież nie Angelina. Ona by nie potrafiła.

– O to chodzi, że potrafiła – stwierdził Jarota, rozkładając ręce. – I to dlatego ją zatrzymano.

– Ale co? Co potrafiła? – zapytały obie jednocześnie.

– Lina ma na swoim koncie pobicie z ciężkim obrażeniem ciała – oświadczył z poważną miną. Obie krzyknęły zaskoczone. Tycjana zasyczała, bo uniesiona brew zabołała ją mocno. – Dawno temu – wyjaśnił dalej. – We wczesnej młodości co prawda. Ale dostała za to wyrok. Poprawczak przeciągnięto jej o dwa lata dłużej...

– Poprawczak?! – znowu powtórzyły jednocześnie.

– Myślałem, że wiecie – zdziwił się.

– Nie – powiedziała Józefina.

Tycjana tylko pokręciła głową.

– Mniejsza o to, kiedyś wam opowie – skwitował Jarota, patrząc to na jedną, to na drugą. – Ważniejsze jest to, że jeśli kogoś z takim wyrokiem zastaje się nad rozbitą głową, do tego w kałuży krwi – tłumaczył – to ktoś taki staje się automatycznie podejrzany o pobicie. I dopóki tego nie wykluczą, to będą ją trzymać, ile mogą. A jeśli to dotyczy tak bogatej osoby, której rodzina uruchamia wszystkie znane jej kontakty, nie mają wyjścia, muszą ją wykluczyć w stu procentach. I dopiero wypuścić, oczywiście jeśli nie była w to zamieszana – zakończył.

– Ciężkie pobicie? – Tycjana powtórzyła jego słowa.

Skinął głową.

– Nie znam szczegółów tej sprawy. Dowiem się może później.

Na dłuższą chwilę zapanowała cisza. Tycjana nie mogła uwierzyć własnym uszom. Angelina była kłębna, pyskata, ale nie agresywna. Unikała raczej każdej konfrontacji, próbując najpierw wyśmiać problem, a nie z nim walczyć wręcz. Ale to były tylko jej przypuszczenia. Podobno w więzieniach siedzą sami niewinni. Jednak to niemożliwe. Naprawdę zdawało się jej, że trochę poznała siostrę.

– A jak ciężkie? – zapytała po chwili, przelękając głośno.

– Nie wiem. – Jarota zmarszczył czoło. – Mówiłem. Znam tylko paragraf. Nie widziałem tych akt, ale może po południu zobaczę.

– Tak. Chyba powinniśmy to wiedzieć – zaczęła głośno myśleć Tycjana. – Inaczej trudno będzie jej pomóc. Trzeba znać fakty – dodała, żeby samą siebie utwierdzić w tym przekonaniu. Angelina na pewno nie będzie zadowolona z grzebania w jej życiorysie. Ale okoliczności rysowały się tak, że jej tajemnice przestawały być tajemnicami, a ponadto teraz stały się problemem drugorzędny.

– To oczywiście, że trzeba jej pomóc – wtrąciła się Józefina. – Musimy, jesteśmy rodziną i to jest najważniejsze – podkreśliła, popijając ze szklanki. Chyba też zaschło jej w gardle i zrobiło się gorąco, bo zaczęła się wachlować ręką.

– Masz rację. – Tycjana rzadko tak bez zastrzeżeń zgadzała się z ciotką.

– Pomyśl, Titi, jakie ona musiała mieć trudne dzieciństwo. My z Tomaszem dobrze cię wychowaliśmy, nie musiałaś się po poprawczakach waleśać. A ją, trzeba przyznać, trochę twój ojciec zaniedbał. – Pokiwała głową z ubolewaniem. – Gdybym wcześniej o niej wiedziała...

– Dziękuję za dobre wychowanie – Tycjana przerwała dywagacje ciotki, i tak już za bardzo się rozgadała. – Skupmy się na tym, co jest teraz. Nie wiem, co zrobiła kiedyś, ale trudno mi uwierzyć, że dzień wcześniej wyciąga ze stawu sołackiego topiącego się człowieka, a nazajutrz przebiera się za sekretarkę i bije jego macochę. To jest zbyt pokręcone, nawet jak na nią, nawet z takim wyrokiem w przeszłości. Nie wierzę – zakończyła z pełnym przekonaniem.

– Ze stawu? Tego tutaj? On jest płytki. O co chodzi? – zainteresował się Jarota.

– Dla ciebie płytki, a dla niziutkiego mężczyzny, którego woda może zakryć... – zaczęła wyjaśniać Józefina.

– Jak niskiego? – zapytał, nachylając się w jej kierunku.

– Niedużego takiego. – Józefina pokazała ręką jego wzrost. – Dlatego mógł się w stawie utopić. Wyciągnęła go. Wiesz, że on chciał popełnić samobójstwo? Nie wiadomo dlaczego. Nina to w ogóle się tym nie przejęła...

– I kim on jest?

– Pasierbem Niny. Kacper Solis – wyjaśniła Józefina.

– Jak to się nie przejęła? – indagował coraz bardziej zdziwiony Jarota.

– Dłuższa historia – ucięła Tycjana. – Opowiem ci, ale teraz zastanówmy się, co jeszcze możemy zrobić dla Angeliny. Teraz, w tym momencie.

– Przede wszystkim musimy cały czas dowiadywać się, jaki jest stan zdrowia tej Niny. Bo jak do tej pory to mamy ciężkie pobicie z poważnym uszkodzeniem ciała.

– Ja będę dzwonić. Lucynka mówi, że jest na bieżąco – ciotka powiedziała to, gdy właśnie z głębi domu dobiegł dźwięk dzwonka jej telefonu. – O! Może akurat dzwoni. Może Nina się ocknęła i powiedziała, kto jej to zrobił, i wszystko stanie się jasne – wróżyła, idąc odebrać.

– Co to za historia z tym stawem? – zapytał Jarota, z ciekawością unosząc brew.

– To naprawdę długa historia – powtórzyła Tycjana. – Angelina wyjdzie, to sama ci opowie.

– Mamy czas – stwierdził Jarota, moszcząc się w fotelu. – Liny nie wypuszczą na pewno do jutra. Nawet jak Solis odzyska przytomność, to... – Nie dokończył, bo na tarasie stanęła Józefina, trzymając telefon w opuszczonej ręce.

– Nina zmarła pół godziny temu.

– To mamy pobicie ze skutkiem śmiertelnym – skwitował były policjant, opierając się łokciem o stół. Wziął szklankę z kompotem mirabelkowym. Popatrzył na nią pod słońce. Zamieszał. – Chyba to będzie mój ulubiony napój w najbliższym czasie. Kolor nawet pasuje...

Wizyta

TYCJANA PRZYKRYŁA CIOTKĘ KOCEM, potem jak najciszej zamknęła drzwi jej sypialni. Jarota też wychodził na palcach. Stała na korytarzu, opierając się o zwisającą z futryny cienką folię. Głęboko oddychała. Wiedziała, że żarty się skończyły. Oczywiście koniec zaczął się już wcześniej, gdy Angelina trafiła do aresztu, ale wtedy wydawało się jej, że za chwilę wszystko się wyjaśni. Ona wypowie kardynalne słowa „a nie mówiłam” i będzie można o wszystkim zapomnieć. Teraz sprawy znacznie się skomplikowały. Siostrę obciążała jakaś nieznama jej przeszłość, Nina Solis zmarła, nie odzyskawszy przytomności, a ciotka Józefina po otrzymaniu tej wiadomości zasłała.

Jarota chwycił ją w ostatniej chwili. Spłynęłaby na ziemię po ścianie, i nie było to teatralne omdlenie. Odprowadzili ją oboje do łóżka. Tycjana zaaplikowała jej lekarstwa i dodatkowo środek na uspokojenie. Józefina chwilę jeszcze pochlipała, poprosiła, by zajęli się Angeliną, po czym zasnęła.

– Przypominasz sobie, o co ona mnie jeszcze chciała poprosić? – zapytał Jarota, opierając się o ścianę przy drzwiach wyjściowych. – Powiedziała czy nie, bo nie pamiętam?

– Bzdura. – Tycjana machnęła ręką.

– Ale powiedz – poprosił.

– Cykliniarz ją zwozi od tygodni. Ciągle nowe wymówki. A tu widzisz, jak wygląda. – Pokazała na ogólczoną w mebli przestrzeń i zabezpieczone foliami drzwi. – Miała taki pomysł, żebyś pogroził mu zrzuceniem z wieżowca.

– To dość skuteczna metoda. – Zaśmiał się, marszcząc nos. – Masz do niego numer?

– Gdzieś mam. – Tycjana też próbowała się uśmiechnąć, ale to wszystko ją przytłoczyło. – Próbowałam dzwonić ze swojego telefonu również. Raz odebrał, coś poobiecował i tyle. To nie najważniejsze teraz.

– Prześlij mi. Mam jeszcze trochę czasu. Poćwiczę rwanie – oświadczył, otwierając drzwi.

– Dobrze. Chcesz zobaczyć ten mejl?

– Tak – powiedział. – Ale później – dodał bez zbytniego zaangażowania. – Rozdzielmy się. Jak długo twoja ciotka będzie spała, jak myślisz?

– Ze dwie, trzy godziny.

– To ja w tym czasie spróbuję pogadać z cykliniarzem, potem z... ze swoim kontaktem, a ty spróbuj się jak najwięcej dowiedzieć. Czegokolwiek od jej rodziny. Mieszkają blisko. Podejdz, zobacz. Zdązysz.

– Ja? – zapytała z niedowierzaniem Tycjana.

– Ty. Znasz ich, może mają swoją teorię na to, co się stało. Albo jakąś próbują forsować.

– Ale jak to sobie wyobrażasz? Ja ich prawie nie znam...

– Z jednym się całowałaś – stwierdził, odgarniając czarne kędziory z czoła.

– W przedszkolu! – próbowała protestować.

– Może to był jego pierwszy raz i pamięta do tej pory. – Jarota podrapał się po nosie. – Spróbuj. Tyle przecież możesz. Pomyśl, że to dla twojej siostry – dodał już z półpiętra.

– Czy ty widzisz, jak ja wyglądam? – Wyszła za nim na schody i pokazała na swoją twarz.

– Mów, że ten drugi wygląda gorzej.

– Zmarła im matka, a ty każesz mi tak do nich wpaść po latach i zagaić?

– Dla tego jednego to chyba macocha. Zacznij od niego. – Tycjana się zamyśliła. – O! Widzisz, już chwyciłaś. To do zobaczenia po południu albo wieczorem. Masz jeszcze te nalewki? – Odwrócił się na schodach. Tycjana wzдрыgnęła się na samo wspomnienie. – O, to znaczy, że pewnie jeszcze są. – Zaśmiał się i zniknął w korytarzu.

Tycjana przez chwilę stała na schodach bez ruchu. W końcu przypomniał się jej obraz leżący w pokoju na piętrze... Przesłała Jarocie numer cykliniarza, a sama stanęła przed płótnem.

Obraz był lepszym pretekstem niż wszystko inne, co przyszło jej do głowy. Wykonała kilka telefonów, by znaleźć numer Kacpra Solisa. Pomógł jej znajomy ciotki, antykwariusz, który, jak się okazało, pozostawał z nim w bliższym kontakcie. Trochę go okłamała. Powiedziała, że robi renowację obrazu,

który do niego należy, i nie może odnaleźć numeru w nowym telefonie, a pilnie musi właśnie w tej sprawie zadzwonić.

– Czy chodzi o portret dżentelmena sięgającego ledwo ponad stół? – zapytał.

Tycjana nie wiedziała, skąd Hermes Janicki wie, ale chyba wiedział o wszystkich obrazach i antykach, jakie były w sołackich willach. Przynajmniej tych, które należały do bardziej zasiedlonych mieszkańców starej dzielnicy i w bliższej mu grupie wiekowej.

– Tak – potwierdziła.

– Chciał go sprzedać ostatnio. Ale nie byłem zainteresowany. Powiedziałem mu ogólnie, że to dwudziestowieczny bohomas o niskiej wartości. – Przerwał na chwilę. – Pomyliłem się? – zapytał niepewnie.

– Tak – potwierdziła kolejny raz.

– Jak bardzo? – Tycjana słyszała, jak głos mu zadrażał.

Stary lis nie lubił tracić okazji.

– Jeszcze nie wiem... – odpowiedziała zgodnie z prawdą. – Dlatego muszę zadzwonić.

Najwyraźniej jeszcze nie dotarła do niego informacja o śmierci Niny Solis, a Tycjana nie chciała już przeciągać tej rozmowy.

Zadzwoniła do Kacpra Solisa. Miała nadzieję, że nie odbierze, ale odebrał. Długo i zawile tłumaczyła, dlaczego dzwoni: że obraz, że śmietnik, że jej siostra znalazła, że nie jest pewna co do właściciela, że uważa, iż ten obraz należy poddać renowacji, że nie chciałaby sama podejmować decyzji, że bardzo współczuje i składa kondolencje, potem znowu o renowacji, jakby obraz był najważniejszy w tym momencie... Mówiła i mówiła, a on o dziwo nie rzucił słuchawką. Gdy skończyła, milczał.

– Nie zaproszę pani do siebie – stwierdził po chwili. – Technicy policyjni jeszcze zabezpieczają ślady. Poza tym jest rodzina... Tak. Proszę dać mi adres. W tych okolicznościach spacer dobrze mi zrobi.

– Spiski 4, piętro. Proszę wejść na piętro – wydukała, nie wiedząc, co ma o tym myśleć.

– Jestem za kwadrans. Ukłony – powiedział i się rozłączył.

I rzeczywiście po piętnastu minutach rozległo się pukanie do drzwi. Ledwo zdążyła się przebrać. I odszukać w pokoju Angeliny jakiś korektor i puder. Zamaskowała naprędce sine placki pod i nad okiem. Raczej dosyć nieudolnie, bo gdy tylko otworzyła drzwi, stojący na progu niziutki mężczyzna przyjrzał się jej ze zmarszczonymi brwiami. Był po pięćdziesiątce, miał siwiejące włosy, zmarszczki na czole i kurze łapki wokół bystrzych oczu o dość świdrującym spojrzeniu. Miał na sobie marynarkę w kratę, w rękę trzymał kaszkiet, również w kratkę, tylko mniejszą.

– Dzień dobry, Kacper Solis. Co się pani stało? – zapytał, jeszcze bardziej marszcząc brwi.

– Tycjana Raj – przedstawiła się. – Wypadek, nieporozumienie. Tędy proszę, te drzwi po lewej. Zapraszam – próbowała pominąć pytanie, wskazując mu drogę do swego pokoju.

– Nie jestem wścibski, ale okoliczności są takie, że wolę spytać. – Nie ruszył się, stojąc w progu.

– Drzwi. Uderzyły we mnie drzwi – wyjaśniła. – Stałam z nimi, a ktoś o tym nie wiedział i otworzył...

– Z rozmachem? Przypadkowo? – dokończył za nią.

– Przędkowo... I z rozmachem – powtórzyła za nim.

– Dużo przypadków w tej rodzinie – burknął, dając do zrozumienia, że do końca nie wierzy, ale też nie zamierza drążyć tego tematu. – Ale może przejdźmy do sedna. Tam jest mój obraz? – zapytał i ruszył w kierunku jej pokoju.

Poszła za nim i po drodze domknęła drzwi do pokoju Angeliny, bo jakiś przeciąg wywiał niebieskiego węża boa i ten próbował wydostać się na korytarz. Pióra utkwily w szparze.

Tymczasem Kacper Solis bez oglądania się otworzył sobie drzwi. Wszedł do środka i po chwili stał już przy stole dublażowym.

– Tu jesteś. To dobrze – powiedział rzewnym głosem, dotykając palcami płótka.

Miała wrażenie, że przywitał się z dawno niewidzianym dobrym znajomym.

– Tak, myślę, że dobrze się stało, że ten obraz trafił do mnie. – To z pozoru nie najlepszej jakości portret – próbowała tłumaczyć, choć zdziwiła ją mina Kacpra Solisa, który rzucił w jej kierunku groźne spojrzenie i nie przestawał na nią patrzeć z ukosa. – Ale to tylko pozory... Nieudolny mał...

– O czym pani mówi! – wykrzyknął raptownie, unosząc rękę, jakby się komuś odgrażał. – Ten portret przedstawia hrabiego Józefa Boruwłaskiego. To kopia obrazu namalowanego przez Edwarda

Hastingsa w tysiąc osiemset dwudziestym roku. Oryginał znajduje się w ratuszu miasta Durham w północno-wschodniej Anglii – wygłosił podniesionym tonem. – Jako kopia może dla was, zawodowców od sztuki, nie ma żadnej wartości – znowu pogroził jej palcem – ale dla mnie ma!

– Nie to chciałam powiedzieć...

– On przedstawia niezwykłą i ważną dla mnie postać!

– Domyślam się, ja chciałam tylko... – próbowała się wytłumaczyć, ale nie dał jej dokończyć.

– To punkt za domyślność – rzucił. – Dziękuję za informację. Dla mnie ważne jest to, że się znalazł.

– Stała na palcach i zaczęła ściągać obraz ze stołu.

Tycjana odruchowo przytrzymała płótno ręką.

– Przepraszam, nie wiedziałam, że się zgubił – postanowiła wyjaśnić. – Angelina mówiła, że została wyrzucony do śmieci...

– A pani jej tak we wszystko wierzy? – znowu nie dał jej dokończyć. Patrzyli na siebie, a jednocześnie każde trzymało swój róg obrazu. Kacper Solis zmrużył oczy i kręcił głową, jakby chciał dać jej do zrozumienia „przemysł to, co chcesz powiedzieć”.

Myślała więc... Angelina miała na swoim koncie jakieś ciężkie przewinienie, ale Tycjana nie wierzyła, że zaatakowała starszą kobietę. Po co? Była narwana, złośliwa, pyskata, ale też miła, uważna, pomocna i altruistyczna, z różnych powodów. Czasami z nudy, czasami z ciekawości, czasami dla zabawy, a czasami, bo tak należy. Nie kłamała w ważnych sprawach. Może nie mówiła wszystkiego, miała wiele tajemnic, ale nie oszukiwała. Raczej! Tycjana wzięła głęboki oddech.

– Tak, wierzę jej – odpowiedziała z pełnym przekonaniem, wytrzymując jego spojrzenie. – I proszę dać mi dokończyć. Wiem, że dla pana ten obraz ma wartość sentymentalną. Chciałam tylko powiedzieć, że może mieć również wartość artystyczną. Proszę spojrzeć. I proszę mi nie przerywać – poleciła stanowczym głosem i postanowiła nie dać się zbić z tropu. – Stałam miejscowo stary werniks i lekko podważyłam wierzchnią warstwę farby, tam gdzie wydawała mi się za grubo nałożona, oczywiście zrobiłam to z boku, na skrawku dywanu. – Pokazała ręką i zobaczyła, że Kacper Solis, choć wspiął się na palce, i tak nie może tego dojrzeć. Patrzył pod światło. Zdecydowanym ruchem postawiła obraz na ziemi, oparła o stół, kucnęła obok i mówiła dalej: – Teraz proszę spojrzeć. Już ten mały fragment odsłonił znacznie wyraźniejszy wzór pod spodem. To dało mi do myślenia.

– Niby co to znaczy? – zapytał tym razem z zainteresowaniem.

– Że ten obraz jest znacznie lepszy, niż się zdaje na pierwszy rzut oka. Myślę, że został poddany, dawno temu, bardzo, ale to bardzo nieprofesjonalnej konserwacji.

– I chce pani powiedzieć, że robi lepszą?

– Tak – odpowiedziała. – Nie można zrobić gorszej – dodała po chwili. – Myślę nawet, że on nie ma zezą, mała operacja i mogę to usunąć. Więcej, jestem tego pewna – oświadczyła, dziwiąc się samej sobie. Pojęcia nie miała, jak to się dzieje, że na co dzień nie ma za grosz pewności siebie, a jeśli chodzi o pracę, to i owszem. Potrafi się przeciwstawić nawet tak nieprzyjaźnie nastawionej osobie, jak wpatrujący się w nią Kacper Solis.

– Zrobiłaby to pani lepiej? – zapytał. Kiwnęła głową. Uśmiechnął się, stanął przed obrazem i zasłonił swoim ciałem namalowaną postać. – Nie przekonała mnie pani – stwierdził i chwycił płótno w rozparte ręce.

– Zabiera go pan? – wykrzyknęła Tycjana, nie wiedząc, jak teraz powinna się zachować. – Nie może pan!

Kacper Solis postawił obraz na ziemi, ale trzymał blejtram w obu rękach.

– Niby dlaczego? Bo znalazła go pani siostra na śmietniku? W dwadzieścia minut znajdę dwadzieścia osób, które potwierdzą, że ten obraz od dwudziestu lat wisi u mnie na ścianie. Mam zadzwonić na policję i powiedzieć, że znalazła go na śmietniku niejaka Angelina Raj? Osoba, którą rano znaleziono przy rozbitej głowie mojej macochy? Że mogą ją zapytać, bo jest u nich w areszcie? Mają ją pod ręką, a właściwie pod kluczem. A obraz jest u niej w domu? – Słuchała go i teraz nie miała już za grosz odwagi mu przerwać. Cofnęła się o krok. – Mogę jeszcze dodać do mojej opowieści, że pokazała mi go siostra teźże Angeliny, i nie omieszkałam dodać – zadeklarował, celując w nią palcem wskazującym – że też ma pokiereszowaną twarz. Może ma to jakiś związek? Przypadkiem po mnie zadzwoniła? Czyżby? Bo mnie to wygląda na bardzo, bardzo podejrzane. Mam zadzwonić? Teraz czy z domu? – dopytywał się, świdrując ją wzrokiem.

Ledwo mogła złapać powietrze.

– Oddam go panu – wydukała.

– Nie wątpię – prychnął.

– Chciałam tylko powiedzieć, że wyjęłam go z ramy, żeby lepiej się przyjrzeć. Chce go pan tak zabrać bez ramy... – odpowiedziała Tycjana, wolno cedząc słowa.

– Ach tak... proszę mi ją donieść – zdecydował, chwytając obraz i bokiem wychodząc z pokoju.

Tycjana chwilę opierała się o stół, po czym wolno ruszyła za nim. Na korytarzu zobaczyła, że Kacper Solis zatrzymał się przed znowu otwartymi drzwiami do pokoju Angeliny. Przeciągł je otworzył, i to na oścież. Kolorowy bałagan zaprezentował się w całej okazałości. Gdy podeszła do niego, Kacper Solis niespodziewanie się odwrócił.

– Zmieniłem zdanie – powiedział odrobinę łagodniejszym tonem. – Proszę nałożyć ramę z powrotem.

Oddał jej płótno, wpakowując je w jej ręce. Chwilę patrzyła na niego zdziwiona, ale karnie wzięła obraz i odniosła do swojego pokoju. Musiała dojść do siebie, uznała, że nie będzie teraz tego robić, mowy nie ma. Jeszcze coś uszkodzi. Była wystarczająco zdenerwowana. Trzęsły jej się ręce. Gdy wyszła na korytarz, Kacpra nie było. Drzwi frontowe były zamknięte, nie słyszała też, żeby wychodził, ale otworzyła je i spojrzała na schody prowadzące do wyjścia. Cisza. Cofnęła się i zerknęła do pokoju Angeliny. Na początku go nie zauważyła. Dojrzała go dopiero po chwili. Stał za manekinem i głośkał jego mundur. Miała coś powiedzieć, ale utknęła w pół kroku z lekko otwartymi ustami. Przed oczami miała dziwną scenę. Obserwowała bez słowa, jak niziutki mężczyzna chodzi pośród porzucanych ubrań. Chodził i rozglądał się, jakby zwiedzał. Dotykał niektórych przedmiotów, macając je palcami, jakby chciał poczuć fakturę. Brał do ręki a to taftę, a to tiul, a to pióra z wachlarza. Podszedł niepewnym krokiem do teatralnej toaletki Angeliny i dotykał peruk naciągniętych na drewniane głowy. Obchodził je dookoła i głośkał co chwilę. Potem wpatrywał się w lustro, wokół którego rozmieszczone były w rzędzie żarówki. Wodził po nim wzrokiem, w końcu znalazł pstryczek i zapalił je. Podziwiał aureole, jaką wokół jego odbicia tworzyły okrągłe światełka. Spojrzał w lustro i pogłaskał się po głowie. Nie chodziło jednak o poprawienie fryzury. Robiąc to, zamknął oczy. Chwilę to trwało, a i tak miała wrażenie, że wszystko dzieje się jakby w zwolnionym tempie. Chciała już coś powiedzieć, zareagować jakoś, przecież nie powinien chodzić po pokoju jej siostry bez jej zgody, ale właściwie nie mogła wydusić ani słowa. Zaskoczyła ją kolejna scena, która dla kontrastu rozegrała się prawie błyskawicznie. Kacper Solis zobaczył stojącą w kącie za lakierami butelkę otwartego i zakorkowanego ponownie wina. Siegnął po nią, wyciągnął korek, powąchał, przyłożył butelkę do ust i przechylił głowę. Ale tak do końca. Pociągnął duży łyk. Albo kilka naraz. Odstawił butelkę i stał z odchyloną do tyłu głową i zaciśniętymi z całej siły powiekami.

– Co pan robi? – krzyknęła w końcu Tycjana, ciągle stojąc w progu.

– Od lat nie byłem w teatrze, od lat – odpowiedział, mrugając kilkakrotnie.

Wydało się

– I SIĘ ROZPŁAKAŁ. Mówię ci, jak strasznie płakał. Jak małe dziecko. Nie wiedziałam, co mam zrobić – opowiadała Tycjana słuchającemu z wielkim zainteresowaniem Jarocie.

– Płakał? – powtórzył, odgarniając z czoła czarne kędziory.

Przytaknęła.

Jarota wrócił ze spotkania ze znajomym policjantem. Nie miał za wiele do powiedzenia lub nie chciał tego zdradzić, ale rzekł, żeby się nie martwić, i to takim tonem, który jakoś ją uspokoił. Poza tym, przekonywała siebie, nie rozpierałby się wygodnie w fotelu, gdyby Angelina miała szczeznać w więzieniu. Bez względu na to, z jakiego powodu jej się „sprzykrzył”. Przynajmniej Tycjana miała taką nadzieję. No i ku jej zadowoleniu, popijał wodę.

– Szlochał nawet – zapewniła, siadając naprzeciwko. – Najpierw rozstawiał mnie po kątach, jak chciał, a chwilę potem zanosił się od płaczu. Bez pytania wszedł do jej pokoju i chodził po nim jak w amoku – opowiadała z przejęciem, bo niewiele czasu minęło od wyjścia Kacpra Solisa z willi przy placu Spiskim. – Chwytał niedopitą butelkę wina, przechylił i odstawił z hukiem jak kufel piwa na jakiejś biesiadzie, a potem siedział, chowając twarz w dłoniach.

– Rzucił się na resztkę wina?

– Tak. – Pokiwała głową.

– Zostało coś jeszcze?

– Nie! – syknęła przez zaciśnięte zęby. – Ale nie przerywaj mi. Nie miałam pojęcia, co się dzieje. Zapytałam w końcu. Popatrzył na mnie, jakby się zdziwił, że w ogóle tu jestem. Powiedział, że dawno nie był w teatrze, a potem wstał i dodał, ale już chyba tylko do siebie: „To bez znaczenia, i tak wszystko stracone”.

– Jak myślisz, o co mu chodziło? – zapytał Jarota, nie mniej zdziwiony niż ona przed chwilą.

– Pojęcia nie mam – odpowiedziała szczerze. – Ale chyba o tę sztukę, co ją spalił. Nie powiedziałam mu, że Angelina skserowała ją sobie. Wystarczy mi ta afera z obrazem. – Tycjana wzdrygnęła się na samo wspomnienie pretensji Solisa. – Resztę niech sama załatwia. Jeśli jeszcze będzie chciała.

– Tego nie odpuści. Zapewniam cię – zawyrokował Jarota, przeczesując palcami kudłate włosy. Mówiąc to, odwrócił głowę i nie patrzył w jej stronę.

Nie zdecydowała się, by zapytać, co ma na myśli. Ani o to, co się między nimi wydarzyło.

– Może ten Kacper pracował kiedyś w teatrze – wróciła do tematu – i ma jakiś sentyment, trzeba się dowiedzieć. Na pewno jest rozchwiany emocjonalnie, ale chyba nie ma co się dziwić.

– A ten obraz?

– Zapytałam, gdy był już w drzwiach, czy chce wziąć oddzielnie ramę i płótno, czy poczekać, aż wprawię obraz z powrotem. Nie odpowiadał, jakby nie rozumiał, co do niego mówię. W końcu machnął ręką, że niby jest mu wszystko jedno. Ja na to, że odniosę. Zgodził się. I tak by go nie wziął. Szedł jak pijany, a tyle nie wypił. W sumie nie mam pojęcia, co się stało. Jakby coś mu się przypomniało, coś z dalekiej przeszłości – stwierdziła w momencie, w którym usłyszeli niepewne i ciche puknięcie w sufit. Potem drugie.

– I tak tutaj się tego nie dowiemy. Trzeba znowu się ruszyć. – Jarota przeciągnął się w fotelu. Jedno było pewne, nie odzywał się zbyt dobrze ostatnio. Zapatrzyła się na fałdę na brzuchu, która wylewała się spod zaciśniętego paska. Jarota uchwycił jej spojrzenie i, o dziwo, spłoszył się. Wstał, wyprostował się i wciągnął brzuch. – Tak, zejdźmy do ciotki – zdecydował. – Na pewno jest ciekawa. – Ruszył w kierunku wyjścia. – A ty wstaw ten obraz w ramę i pójdziemy go odnieść. – Odwrócił się jeszcze w korytarzu.

– Ale jak... – próbowała coś wybąkać. – Przecież się z nim niedawno widziałam.

– I co z tego? To dalej jest doskonały pretekst. Jak wymyślisz lepszy, żeby złożyć wizytę Solisom... to nie wprawiaj – dodał, zamykając za sobą drzwi.

Po półgodzinie zesłała na dół. Postawiła na podłodze owinięty w papier pakunek i ruszyła do sypialni ciotki. Zobaczyła ich w otwartych drzwiach. Józefina siedziała na łóżku, a obok niej właśnie przysiadł Jarota. Musiał przed chwilą rozmawiać przez telefon, bo chował go do kieszeni.

– I co ci jeszcze powiedział? Będą ją musieli wypuścić? – dopytywała się ciotka z niecierpliwością, gdy Tycjana weszła do pokoju.

– W końcu tak – stwierdził Jarota. – A ty bądź gotowa na jutro. Od rana, myślę. Przyjdzie cykliniarz i powinien być punktualnie.

– A, to z nim rozmawiałeś – stwierdziła ciotka zawiedziona. – Palcem nie kiwnę – prychnęła. – I nawet nie mam ochoty wyobrażać sobie, co tym razem będzie wymyślać.

– Jak ma wyobraźnię, to nie będzie wymyślał – skwitował Jarota.

Ciotka uśmiechnęła się, ale po chwili znowu się nachmurzyła.

– Powtórz mi jeszcze raz, co tam na policji mówią. Że to mogła być naturalna przyczyna śmierci? – zapytała z niedowierzaniem.

Jarota kiwnął głową na potwierdzenie.

– Istnieje taka, powiedzmy, bardzo prawdopodobna hipoteza – wyjaśniał. – Krew znaleziono w sypialni, na żeliwnej ramie łóżka. Mogła się potknąć, wstając z niego, i niefortunnie uderzyć. Brała jakieś tabletki. Miała nogę w gipsie. To prawdopodobne. Jak do tej pory nie znaleziono tam odcisków palców należących do Liny. Ani na całym górnym piętrze. Byli tam wszyscy, tylko nie ona.

– To dlaczego jej nie wypuszczają?

– Bo mogą zatrzymać. Okoliczności nietypowe. Ona ma wyrok. Nikt nie chce podpaść – stwierdził, wzruszając ramionami. – Jej korona z głowy nie spadnie, a szef ze stołka może. Proste.

– Mam nadzieję, że jest tak, jak mówisz – odparła ciotka ze zrozumieniem. Po chwili jednak podniosła wysoko głowę. – Ale ja ci mówię, że to wszystko jest inaczej – dodała już ze zmarszczonym czołem.

– Niby co? – wtrąciła się Tycjana.

– To na pewno nie była naturalna śmierć – oświadczyła Józefina, mrużąc podejrzliwie oczy.

– O czym ty znowu mówisz? – jęknęła Tycjana.

– Titi, wiedz, że jestem tego pewna. Znasz mnie, to powinnaś wiedzieć, że jak mam rację, to ją zawsze mam.

– Nigdy w to nie wątpiłam. – Tycjana westchnęła.

– Być może dla ciebie nie ma znaczenia, co ja mówię – skwitowała Józefina z pretensją w głosie. – Ale to nieważne. Ważne jest to, co mówiła Nina. Wiem, bo mówiła do mnie, a ja słuchałam, bo umiem ludzi wysłuchać. – Zrobiła wymowną pauzę. – I nie oszukujemy się, mam wyjątkowo dobrą pamięć, i nie chodzi o moje lata, zawsze miałam. W szkole to...

– A co mówiła? – zainteresował się Jarota.

– Przecież mówię! Wczoraj mnie przekonywała, że ktoś chce ją zamordować... A dziś co? Nie żyje... I co ty na to? – zwróciła się do Tycjany, kręcąc głową. – Przypadek?

– Nie sądzisz zapewne.

– Nie sądzę – odparła kategorycznym tonem Józefina. – Nina to nie jest... nie była – poprawiła się, lekko pociągając nosem – taka babcia dziwaczka, co sobie ubarwia nudną codzienność! Co z nudów wymyśla historyjki niestworzone! Żeby tylko ktoś jej posłuchał – perorowała już mocno podniesionym tonem. – Nie muszę ci chyba przypominać, że to kobieta, która dorobiła się fortuny i umiała zarządzać dużą firmą. Nie dlatego, że gałała głupoty i żyła w wyimaginowanym świecie, tylko twardo po nim stąpała. Skoro powiedziała, że ktoś z najbliższej rodziny chce ją zabić... a teraz nie żyje – podkreśliła dosadnie ostatnie zdanie – ...to dla mnie znaczy jedno. – Wymierzyła w Tycjanę kościsty palec. – Że mu się udało!

Zapanowało milczenie. Palec Józefiny ciągle tkwił w górze.

– Jest to jakaś hipoteza – stwierdził Jarota po chwili.

– To nie żadna hipoteza – oburzyła się Józefina, energicznie potrząsając palcem wymierzonym teraz w niego. – Nawet jeśli to jest bez sensu, bo ja nie rozumiem, po co miałyby ją zabijać własne dzieci. Skoro już je wydziejczyła. Ja na ich miejscu czekałabym, aż jej złość przejdzie. Ale może to z zemsty? Kto wie? – gdybała. – A ja życzę sobie, żebyś ty... Żebyś ty – powtórzyła dobitnie, zwracając się do Jaroty – wziął się do tego i wyjaśnił! A ona niech ci pomoże – dodała, patrząc na Tycjanę.

– Ja? – zdziwił się Jarota.

– Ja? – Tycjana pokazała na siebie ręką.

– A niby kto? Nie kryguj się tak. Wiem, że potrafisz. Pracy też, zdaje się, żadnej innej nie masz. I coś mi mówić, że będziesz z tego zadowolona. – Józefina zmrużyła oczy. Tycjana odwróciła głowę, uciekając wzrokiem. – Ciebie też to się dotyczy – teraz ciotka zwróciła się do Jaroty.

– Nie wiem, czy mam czas...

– Masz. Skoro tu tak szybko dla mnie przyszedłeś – stwierdziła Józefina, wstając z łóżka. – No, może w pierwszym rzędzie dla Liny przyszedłeś...

– Nie – zaprzeczył i spojrzał na ścianę. – Dla niej na pewno nie – dodał.

Józefina popatrzyła jeszcze na Tycjanę, która zaczęła zbierać paproszki z koszuli.

– Nie wszystko muszę wiedzieć. – Józefina machnęła ręką. – Jak się pokłóciliście, to sobie wyjaśnicie. Nina już nic sama nie wyjaśni... – Zamyśliła się, ale po chwili znowu uniosła podbródek. – Macie niewiele osób do sprawdzenia – zakomenderowała, tupiąc nogą.

– Czyli kogo?

– Rodzinę. Może męża, choć mąż to chyba raczej nie. On taki miły jest. Bardzo szarmancki... – dodała niespodziewanie dziewczęcym głosem, poprawiając włosy.

– I pewnie teraz bogaty. – Jarota się zaśmiał.

– Już szybciej bym podejrzewała tych... no tych kabalistów. – Zamyśliła się, jakby właśnie teraz przyszło jej to do głowy. – Że też wcześniej o tym nie pomyślałam... – mruzczała pod nosem, zaglądając pod łóżko.

– Jakich kabalistów? – spytała Tycjana, szczerze zdziwiona. Co prawda Józefina wierzyła we wszystkie spiski i tajemne organizacje, o jakich udało się jej usłyszeć. Wcześniej na tapecie byli masoni, ci byli odpowiedzialni za wszystko, nawet za huragany. Ale o kabalistach jeszcze nie słyszała. Była to jakaś nowość.

– Nina jakieś dziwne nitki sobie na rękach wiązała – opowiadała ciotka, kręcąc się w kółko i czegoś szukając. – Myślałam, że to modne, a Lucynka mnie oświeciła, że to od tych uroków, co ktoś w nią nimi rzuca. Rzucali... – Stanęła, wznosząc oczy do sufitu, i zrobiła kolejne kółko. – O Boże! Ja nie mogę w to jeszcze uwierzyć, no nie mogę... – powtórzyła, załamując ręce, i zajrzała za drzwi. – Niby dla ochrony, ale co to za ochrona? Nic nie podziało. Co to za głupoty, ale tonący nitki się chwytą. To od dawna wiadomo. Sprawdź to – odwróciła się do Jaroty, znowu mierząc w niego palcem. – Może ktoś z rodziny jest kabalarzem, kabalistą, jak ich tam zwał. Bo żeby tak samo z siebie własne dziecko... Albo taki miły mąż. Nie wierzę, tu się schowały! – wykrzyknęła, znajdując pod krzesłem gumowe szare klapki z pierzastymi różowymi pomponami. – A wy na co jeszcze czekacie?

Jarota kazał Tycjanie minąć dom Solisów, przed którym stało kilka samochodów, i zatrzymać się ulicę dalej.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – powtórzyła po raz trzeci, choć wiedziała, że nie robi to na nim żadnego wrażenia. Bardzo, ale to bardzo nie miała ochoty tam iść. Uważała, że to wyjątkowo zły pomysł. Nie mówiąc już o tym, żeby razem zajmowali się wyjaśnianiem śmierci Niny Solis. Miała przeświadczenie, że nic dobrego z tego nie wyjdzie.

– Przekonamy się, czy taki zły – stwierdził Jarota, gdy wysiedli z samochodu. – Obraz – przypomniał i wyciągnął go z tylnego siedzenia. Wziął płótno pod pachę, a Tycjanę chwycił za rękę. – Pospacerujemy – dodał. – I postaraj się udawać zainteresowaną tym, co mówię.

Tycjana popatrzyła na swoją mocno ściśniętą dłoń, potem na niego. Obejrzała się za siebie, jakby chciała sprawdzić, czy ktoś ich nie widzi. Czy jej siostra ich nie widzi. Ale przecież się Angelinie sprzyrzyła, a oprócz tego nie mogła ich zobaczyć, bo siedzi w komisariacie! A przede wszystkim udają.

– A o czym mówimy? – zapytała, głośno chrząkając, gdy pociągnął ją na drugą stronę ulicy.

– O czymś naturalnym – zdecydował z uśmiechem.

– To może o miniaturze, która zaginęła z policyjnego depozytu i jakoś nie potrafi się znaleźć.

– Mam co do tego swoje podejrzenia, ale czy powinienem rzucać oskarżeniami w twoich bliskich? – zapytał z rozbawieniem, potrząsając kudłatą czupryną.

– Jakich bliskich?! – zapytała Tycjana z oburzeniem. – Kogo podejrzewasz?

– Tego, kto ją odebrał z komisariatu, ale zmieńmy temat, bo ten za bardzo cię bulwersuje. – Tycjana próbowała zaprotestować, chciała o tym dalej rozmawiać, ale ją powstrzymał. – Staniemy przy latarni za tym dużym drzewem i będziemy dalej sobie rozmawiać, ukradkiem obserwując dom Solisów. Na razie tam duży tłok. Poczekamy.

– Na co?

– Na odwiedzin. A konkretnie na odnosiny. – Zerknął na obraz i uśmiechnął się, marszcząc nos.

– Nie uważasz, że to zła pora? – zapytała Tycjana trochę zaskoczona tym nagłym szpiegowaniem. Szybko jednak stanęła tak, żeby się schować za drzewem. Właściwie przyłgnęła plecami do pnia. Uliczka była bardzo wąska, a drzewo i parę krzaków to nie była dobra kryjówka.

– Z natury nie jestem zbyt taktowny – oświadczył Jarota z rozbrajającą szczerością.

– Więc ci wytłumaczę – szeptąła, choć i tak najgłośniej i najdosadniej jak się da. – Każda rodzina potrzebuje spokoju, żeby ogarnąć to, co się zdarzyło. Nie należy im przeszkadzać w takiej chwili. Ludzie są przyciężbi, wyciszeni... – Przerwała, gdy pod domem Solisów rozległ się krzyk. Z początku niezrozumiała.

Tycjana wychyliła się zza drzewa, a Jarota przysunął się do niej jeszcze bliżej. Wstrzymała oddech, nie z powodu krzyków, lecz raczej bliskości między nimi. Nie mogła protestować, bo inaczej byłiby na widoku. Furtka się otworzyła, zapiknął otwierany zamek dużego samochodu terenowego. Kobieta w sportowych butach na koturnach, opiętych dżinsach ze złotymi aplikacjami na kieszeniach i pikowaną torebką na złotym łańcuchu jak torpeda zmierzała do samochodu z wyciągniętym przed siebie pilotem.

– Jak ja ją dorwe! Jak ja ją znajde! To ja jej wszystkie włosy z głowy powyrywam! – krzyczała. – Albo nie! Rzucę ją na chodnik i będę tą jej buziunią po płytach trzeć i krzyzcć SZORUJ! SZORUJ! – wrzeszczała, szarpiąc za klamkę. – Albo zwyczajnie ją uduszę gołymi rękami.

Za nią wybiegł mężczyzna w białej koszuli, która musiała przeżyć niezłą szamotaninę i teraz trzymała się tylko na dwóch guzikach.

– Poczekaj! – Próbował ją zatrzymać, chwytając za rękę. Miał potargane włosy, był roztrzęsiony i błądy, jeśli nie liczyć wyraźnej czerwonej plamy na policzku.

– Co poczekaj! Co poczekaj! – wykrzyczała mu w twarz. – Na co mam czekać! To ty czekaj! – wrzasnęła, otwierając drzwi samochodu. – Jak wróce, to się z tobą policzę! – dodała jeszcze głośniej.

Kłócąca się para była wyraźnie zaaferowana sobą i nie rozglądała się na boki. Po chwili dołączyła do nich kobieta, którą Tycjana rozpoznała.

Tamara Solis, jedyna córka Niny, miała krótkie zaczesane w czub włosy, krótką trapezową malinową sukienkę i baleriny. Stała obok i patrzyła z dystansu, kręcąc głową. Tycjana jeszcze bardziej, jeśli to możliwe, przyłgnęła do drzewa. Jarota też się przysunął, a właściwie przykleił do niej. Zabrakło jej tchu. Tym bardziej że nachylił się do jej ucha i zaczął mówić szeptem:

– Tycjano. – Zamarła. – Możesz przesunąć odrobinę głowę, bo twoje włosy włożą mi do nosa.

Rzeczywiście włosy miała gładko związane w kucyk, ale po jakimś czasie i tak nad głową tworzył się jej puch z cienkich wymykających się kosmyków i to one łaskotały go w nos.

– To się odsuń – zaproponowała, cicho szycąc.

– Wykluczone – szepnął jej do ucha. – Ciii... – Chuchnął na dokładkę.

Zacisnęła usta.

– No i co takiego się stało? – rzuciła Tamara Solis w kierunku awanturującej się kobiety.

– Ty się cieszysz! Przyznaj się! – wrzasnęła tamta.

Mężczyzna w porwanej koszuli próbował zatarasować jej wejście do samochodu.

– Z reguły, jak cię widzę w takim stanie, to tak. – Tamara przewróciła oczami. – Ale może nie dziś. To chyba nie czas na takie sceny. Nie sądzisz? Zmarła matka twojego męża.

– To powiedz mu, żeby zszedł mi z drogi – tym razem kobieta wrzasnęła mężczyźnie prosto w twarz. – Bo go zabiję! A nie! Najpierw tę jego kochanicę, potem jego.

– A to akurat sensowna propozycja – stwierdziła Tamara, nie kryjąc zadowolenia.

Tycjana, której udało się odrobinę wyłonić zza osłaniającego ją ramienia Jaroty, powoli rozpoznała resztę kłócącego się towarzystwa. Mężczyzna musiał być jej starszym bratem Wiktolem, choć daleko mu było do opanowanego biznesmena ze zdjęcia. Nie pamiętała go też z dzieciństwa, był starszy, a udawał jeszcze starszego od niej i Tamary. Próbował ją ustawić, ale wtedy mu się nie udawało i teraz też. Rozhisteryzowana kobieta była bez wątpienia jego żoną, Izabellą Fąferek. Znała ją tylko z wydrukowanych zdjęć.

– Proszę cię! – Tamara zwróciła się bezpośrednio do brata. – Zabierz stąd swoją żonę. Gdziekolwiek. Gdziekolwiek, daleko stąd – powiedziała spokojnie do mężczyzny, który odsunął się, przepuszczając małżonkę.

Izabella weszła do samochodu i zatrzęsła drzwiami z takim hukiem, że odskoczył metr dalej. Usłyszeli wściekły ryk silnika i zaraz potem opuściła się szyba.

– A ty jej pilnuj teraz – rozkazała mężowi, pokazując palcem na Tamarę. – Pojedziesz, a ona będzie szukać tego testamentu. Jak go znajdzie i nie będzie jej pasował, to go zniszczy. Zobaczysz! Znam tę twoją siostrunię. Wszyscy jesteście siebie warci!

– Jakich ona się filmów naoglądała. – Tamara Solis pokręciła głową z niedowierzaniem. – Naprawdę uwierzyła, że matka przepisała wszystko na ciebie i ukryła tę bezcenną informację w domu? Na kartce? Pod rękawikiem? – Szybka samochodu podjechała do góry. – Niewiarygodne, jaka ona jest głupia – dodała, patrząc, jak zakreśliły się w miejscu koła terenowego samochodu.

Żona Wiktora Solisa ruszyła tak, że przednie koła prawie oderwały się od jezdni.

– Jak to się stało? Skąd te kartki? – spytał zrezygnowany mąż, patrząc za odjeżdżającym samochodem.

– Wiesz co? Przynajmniej jedno się wyjaśniło.

– Co?

– Zawsze myślałam, że ty wszystko matce kablujesz, ale okazało się, że zatrudniała profesjonalistów. Powinam się domyślić... to były zawsze sprawdzone informacje.

– Ale po co? Dlaczego to zrobiła?

– Dla równowagi, żebyś nie był tylko pod jednym pantoflem. – Tamara się zaśmiała. – Też coś chciała mieć na ciebie.

– Zostajesz? – zapytał Wiktor Solis, próbując poprawić rozchełstaną koszulę.

– Nie, wyjeżdżam. Mam teraz wizytę – oznajmiła siostra, idąc w kierunku równie dużego samochodu. Tycjana patrzyła na nią zza drzewa i była prawie pewna, że mówiąc to, Tamara dotknęła ręką brzucha. – Później zajmę się resztą – oznajmiła, otwierając swoje auto.

Podszedł do niej i przytrzymał ręką drzwi.

– Wiesz, z tą Aldonką to jakoś tak samo wyszło... A właściwie to do niczego nie doszło...

– Poszalałeś, super! Mnie się nie musisz tłumaczyć – prychnęła, wzruszając ramionami. – Ale pojęcia nie mam, na co ty czekasz. – Pokręciła głową z politowaniem.

– To znaczy? – zapytał kompletnie zdezorientowany.

– Jedź za nią, idioto! I dzwoni do ochrony w firmie, i powiedz, że tornado nadciąga. A do tej Aldonki, niech szuka schronu. Dobrze, żeby był przeciwołamowy – dodała, zamykając drzwi SUV-a.

Oszołomiony całą sytuacją Wiktor Solis chwilę kręcił się w kółko, po czym wyciągnął z kieszeni kluczyki do auta. Otworzył bramę wjazdową. Wskoczył do zaparkowanego tuż za bramą samochodu i odjechał, jak tylko dostatecznie się rozwarła.

Przed willą należącą do Niny Solis nie stało już żadne auto.

– Ja tam się nie nudziłem – stwierdził Jarota, spoglądając na Tycjanę, która jeszcze nie ochłonęła po spektakularnej scenie, jaka rozegrała się przed domem. Domem, jak by nie było, żałobników. A od tego obściskiwania się miała pogniecioną koszulę. – Chodźmy, zanim brama się zamknie.

Pociągnął ją za rękę tak stanowczo, że nie miała czasu zaprotestować. Tym bardziej że brama rzeczywiście się domykała. Przebiegli w ostatnim momencie.

– A jak ktoś tu jest? – Tycjana popatrywała nerwowo to na ponownie otwierającą się bramę, to na rower oparty o ścianę willi.

– Dobry rower. Wartości małego samochodu – orzekł Jarota. – I mam nadzieję, że ktoś jest, przecież idziemy oddać obraz Kacprowi Solisowi. A on mieszka tam. – Pokazał na domek w głębi ogrodu.

– A ty skąd to wiesz? – zapytała.

– Józefina mi powiedziała. Obraz, idziemy oddać obraz. Mówiłaś, że przyniesiesz, tak?

Tycjana spojrzała na dźwigany przez niego pakunek i chcąc nie chcąc ruszyła za nim. Szła, ociągając się, a po drodze podziwiała szpaler rozkwitających słoneczników. Nadziwić się nie mogła, ile różnych odcieni żółci widzi w jednym momencie. Bursztynowy, kanarkowy, cytrynowy, słomkowy, żółtozielony i prawie pomarańczowy. Oglądała się, próbując wykręcać głowę, ale Jarota nie pozwolił jej się zatrzymać, tylko pociągnął ją za rękę i nie czekając, zapukał do drzwi domku w ogrodzie. Zostawił ją na środku wycieraczki, sam odskoczył na bok. Drzwi po chwili się otworzyły. Stał w nich Kacper Solis i podniósł wzrok.

– A, to pani. – Westchnął. – Saprzasam – dodał i odsunął się, przepuszczając ją w wejściu. Tycjana była prawie pewna, że się zachwiał, robiąc krok do tyłu. Raptem zobaczył Jarotę i przesadnie się wyprę-

żył. – A ten pan to hto? – zapytał.

Tycjana zapowietrzyła się. Tego nie ustalili, nie wiedziała, jak go przedstawić.

– Narzeczony – odpowiedział za nią Jarota.

Domek w ogrodzie

KACPER SOLIS WPUŚCIŁ ICH DO ŚRODKA. Ku rozbawieniu Jaroty poprosił:

– Szczekajcie tu. – I wyszedł chwiejnym krokiem.

Tycjana szybko weszła, zamknęła za nimi drzwi i dopiero po chwili zaczęła się spokojnie rozglądać. Nie tak sobie wyobrażała mieszkanie kogoś, kto usiłuje utopić się w stawie.

Uroczo tu, pomyślała. Salon wydał jej się cudny. Jasne wnętrza, tapety w złożone wzory, rokokowa tapicerka w kwiatki przenikające się ze słodkimi pasterskimi scenkami.

W małym domku w ogrodzie, w niewielkich rozmiarów salonie panował pałacowy wystrój.

Tycjana miała wrażenie, że jest w buduarze Madame de Pompadour i zaraz może wejść Ludwik XV. Na ścianach były jasne tapety ze złożonym wzorem z wijących się liści. Pod oknem stały dwa ludwиковskie fotele z jasnego drewna. Niskie, grube, wypchane siedziska na bardzo krótkich, giętych, rzeźbionych nóżkach. Oparcia miały linię skrzypiec, a tapicerka była rokokowa – na jasnym tle kiście drobnych, kolorowych bukietów, pomiędzy którymi płały pasterki. Obok stał mały stolik na równie frywolnych cienkich nogach wyglądających tak, jakby za chwilę miały sobie pójść. Szezlony z esowatym zagłówkiem był nie mniej wytworny. Pikowany z obiciem w miodowe wzorzyste pasy. Szafa miała bogato rzeźbione zwieńczenie w kształcie fal morskich albo stylizowanych muszli. Tu i ówdzie stały figurki z porcelany. Przeważnie jakieś damy w szerokich sukniach, raz z pieskiem, raz z kawalerem w pończochach i trzewikach. Porcelanowe były również dwa świeczniki i stojący zegar na fikuśnej podstawie. Falującego kształtu nie miały tylko półki na książki, które zajmowały całe dwie ściany, od podłogi do sufitu. Większość to jakieś serie, a ponad połowa oprawiona była w skórę.

– Przytulnie tu – stwierdził głośno Jarota, bawiąc się złotym chwestem, który spał mocno udrapowane, aksamitne, lśniące zasłony. – Jak w lodziarni.

– A mnie się tak podoba – odparował wchodzący właśnie do salonu Kacper Solis. Powiedział to, jakby dosłyszał. Nawet dość wyraźnie, choć z wysiłkiem trzymał się prosto. Koszula wysunęła mu się zza paska i cały róg sterczał na wierzchu. Spozstrzegł to i próbował wcisnąć go do środka, ale na próżno, bo w drugim ręku trzymał kryształową karafkę. – Napijecie się czegoś? – zapytał.

– Ja dziękuję, przynieśliśmy tylko... – zaczęła Tycjana.

– A ja poproszę – przerwał jej Jarota.

Gospodarz, nie pytając więcej, ruszył w stronę barku. Krok miał mniej więcej tak samo miękki i falisty jak kontury większości mebli. Za barek służyło biurko – sekretarzyk z rzędami małych szufladek i rozłożonym blatem. Stały tam szklanki z grubego, ciętego szkła. Zdjął szklany korek z karafki i zaczął nalewać.

– Nie będziemy przeszkadzać... – próbowała protestować Tycjana.

Kacper Solis odwrócił głowę w jej kierunku, zapomniał, że właśnie coś nalewa, i efekt był taki, że szklanka, którą podał Jarocie, była wypełniona po brzegi.

– A przepraszam – zobaczył to, dopiero węcząc mu ją.

– Nie szkodzi – odpowiedział Jarota, wączając zawartość. – Lubię whisky.

– Ja nie bardzo, ale dziś tak. – Gospodarz wskazał im fotele.

– Przynieśliśmy pański obraz – po raz kolejny zaczęła Tycjana, pokazując na zapakowane w papier płótno, które oparła o ścianę.

– Ach, tak – westchnął Kacper Solis. – Zapraszam, szatko mam gości – powiedział i znowu wykonał zamaszty gest w kierunku foteli. Usiedli, zapadając się w miękki środek. Jarota zdziwił się, jak są niskie. Nie mógł się usadowić. W końcu wyciągnął nogi przed siebie i oglądał stojącą na stoliku figurkę.

– Dlaczego powiedziałaś, że jesteś narzeczonym? – zapytała szeptem. – Po co?

– Bo to przełamuje lody. – Wzruszył ramionami. – Poza tym chyba cię to rozbawiło? – dodał, widząc minę Tycjany, i zaczął z podziwem gładzić wyżłobione w podstawie stolika esowate ornamenty.

Tycjana westchnęła. Fotel był wygodny, choć rzeczywiście miała dosyć wysoko kolana. Z reguły takie siedziska stały w jakichś zabytkowych wnętrzach z karteczką „nie siadać”. Wydało się jej, że meble są autentyczne, z jednej epoki. Miało to sens. Wtedy ludzie byli niżsi, poza tym urządzali niewielkie gabinetki z lekkimi, misternymi meblami o kobiecych kształtach. Może dlatego Jarota teraz dla odmiany gładził przyjemnie wygiętą nogę od stolika. Jedno było pewne, taki gust na pewno sprzyja ludziom niskiego wzrostu. Siadając, spostrzegła też inne udogodnienia – drabinę na stelażu przymocowanym do biblioteczki i wyjątkowo długi metalowy drążek do zasłaniania ciężkich zasłon, który wisiał na haku przy oknie, oraz dwa niskie stołeczki.

Tymczasem Kacper Solis odstawił szklankę, podszedł do zapakowanego obrazu i szarpnął za papier. Rozdarł go przez sam środek. Potem wykonał kilka nie mniej chaotycznych ruchów. W końcu ukazała się głowa portretowanego mężczyzny. Usiadł na podłodze przed obrazem, który był postawiony na boku. Ale Kacper Solis nie przestawił go, tylko patrzył mu w oczy, przekręcając na bok głowę.

– Wróciłeś, przyjacielu – stwierdził po chwili z wielką czułością w głosie. – Wyrzusiłem cie na śmieć, ale ty jak prafrddziwy psyjasiel wróciłeś do mnie. Siękuje ci. Nie wiesz, jak bardzo się dziękuję i przepraszam – mówił z przechyloną głową. – Wiecie, kto to jest? – zwrócił się po chwili do nich.

– Nie – odpowiedział Jarota.

– Józef Boruwłaski, najslynniejszy karzeł osiemnasssssstowiecznej Europy. Mój dobry przyjasiel. Mówiono na niego nawet hrabia Boruwła... wła... Wła ski.

– Trudne nazwisko – stwierdził Jarota.

– Może i trudne, ale nieeeee dla Anglików. – Kacper uśmiechnął się, spoglądając w ich stronę. – Kojarzyło im się z „barrel of whysky”. Tak, baryłka whysky. Nie taka mała karafka. Na zdroooowie – powiedział, podnosząc szklankę z ziemi.

Jarota też wznosił toast i wypił, i to dość solidny łyk, nie patrząc przy tym w stronę chrząkającej Tycjany, która usiłowała posłać mu zniesmaczone spojrzenie.

– Był aktorem? Bo pan, zdaje się, lubi teatr? – zapytał Jarota.

– Czy ja lubię? Jaaaaa? Tak samo jak nienawidzę! Ale on... – Spojrzała na portret, znów maksymalnie przechylając głowę. – Allllleee on występował, jak musiał, by zadbać o rodzinę. O zwoją żonę! Bo on miał zwa żonę. Booo... – Odwrócił się do nich. – Miał odwagę ją mieć! – wykrzyknął ostatnie słowo. – A ja nic nie mam. Nic! – wykrzyknął ponownie.

– Jak to nic? – zapytał Jarota.

– Nic nie mam i nic nie będę miał! Co ja najlepszego zrobiłem? – Kacper Solis patrzył na portret. Odstawił na bok szklankę i schował twarz w dłoniach. – To straszne, co zrobiłem – dodał, odwracając się do nich. – Zdrowie – powiedział, podnosząc pustą rękę. Sam się zddziwił.

– Zdrowie – odpowiedział Jarota, bacznie mu się przyglądając.

– Sztuki nie ma, bo spaliłem! So ja narobiłem... So ja narobiłem – powtórzył i wyglądał, jakby miał się zaraz rozpłakać.

Tycjanie zrobiło się go żal.

– Niech się pan nie martwi. Lina skserowała ją. To oczywiście nie rękopis. To nieodżałowana strata, ale treść, treść jest...

Kacper Solis patrzył na nią wybałuszonymi oczami, jak małe dziecko. Patrzył i coraz bardziej trzęsła mu się broda.

– To bessss snaszenia... I tak nie ma juszsz dla koho! – wykrzyknął, niemal już płacząc. – Zdrowie! – powiedział, znajdując szklankę.

Jarota nie czekał na zachętę. Uniósł swoją i wypił, wciąż nie patrząc w stronę Tycjany.

– Zdrowie!

– Pan to ma szczęście – stwierdził, zerkając na Tycjanę, która cały czas usiłowała ściągnąć spojrzeniem Jarotę, gdy ten ją ignorował, popijając ze szklanki.

– Z czym? – zapytał uprzejmie Jarota.

– Naszeszona taka wpatrzona – powiedział, a Tycjana aż podskoczyła w fotelu.

Jarota uniósł brew i puścił do niej oko. Kacper Solis przez dłuższą chwilę nic nie mówił.

– Ma pan fajny domek – stwierdził policjant.

– Domku też nie będzie. Pokłóć się, sprzedadzą, a ja ksiązzzkkę dostanę. Książąąszszszke.

– A skąd pan to wie?

– Sama powiedziała... I tak wszszysztko strasone. – Przez dłuższą chwilę nic nie mówił, siedząc po turecku przed obrazem. Jeszcze raz wypił i zaczął się chwiać na boki. – I so z tym obrazem. Po so tu narzeczony...? – wybąkał po chwili, próbując trzymać głowę prosto i patrzeć na Tycjanę. – On to srobił? – zapytał, usiłując pokazać palcem.

– Wracając do obrazu – chrząknęła.

– So tam jest? – Kacper Solis patrzył na nią spod coraz bardziej przymkniętych powiek i chwiał się jak drewniany bałwanek na wszystkie strony.

– Pod tą warstwą może być znacznie lepszy portret, to znaczy lepszej jakości. Nie ręczę, ale przypuszczam, że może to być efekt... – próbowała jeszcze raz mu wyjaśnić, choć po chwili uznała, że to bez sensu.

Kacper Solis w końcu zachwiał się już za mocno. Przechylił się i upadł twarzą na obraz. Nie ocknął się już, tylko tak został. Głowa w głowę, policzek w policzek z postacią z portretu.

Tycjana wstała z fotela. Podbiegła do karła i chwyciła go za bark jedną ręką, drugą włożyła pod głowę i odsunęła tak, żeby całym ciężarem nie wbiła się w płótno. Zachrapał głośno.

– Pomóż mi! – krzyknęła.

Jarota podszedł do niej, z lekka się ociągając. Popatrzył, odsapnął, nachylił się i chwycił go pod ramiona.

– Połóż go do łóżeczka – stwierdził i zaczął ciągnąć w kierunku szezlonga. Podniósł go tylko tyle, że mężczyzna i tak szurał nogami po ziemi. Ciągnął go i był mniej więcej w połowie pokoju, gdy zaskrzypiały drzwi wejściowe. Zatrzymał się, podniósł głowę.

Tycjanę sparaliżowało.

W drzwiach pojawił się trzydziestoparoletni mężczyzna. Miał na sobie czarną koszulę w żółte ananasy, związane w krótki kucyk potargane jasne włosy. Czarne szerokie spodnie do kostek, na nogach japonki, na szyi i rękach jakieś rzemyki. Patrzył na nich ze zdziwieniem, które powoli przeradzało się we wściekłość.

– Kim wy, do cholery, jesteście? – wrzasnął. – I co mu zrobiliście?!

– Nie my. A sam nie da rady dojść – oświadczył Jarota.

Ciągle trzymał Kacpra Solisa pod pachami. Ten ani drgnął. Ręce wisiały mu bezwładnie, broda opadała na pierś.

– Dzwonię po policję – oznajmił mężczyzna i zatrzymał wzrok na Tycjanie. Przyglądał się jej, mrużąc oczy.

– Tak, to ja, Tycjana Raj – przypomniała mu się. Nie chciała dłużej zwlekać ani się zastanawiać, czy Aleks Solis w ogóle ją rozpozna. Mogła się bardzo zmienić przez ostatnie lata.

– Titi? – zapytał z lekkim niedowierzaniem, obrzucając ją spojrzeniem z góry na dół. – Co ci się stało? – zapytał.

Tycjana dopiero sobie przypomniała, jak wygląda. Plaster na nosie i podbite oko.

– Zderzyłam się z drzwiami.

– Tak? – zapytał z niedowierzaniem.

– Tak – potwierdziła stanowczym głosem. Miała wrażenie, że jej nie uwierzył. – On otwierał, a ja byłam z nimi... – zaczęła się tłumaczyć i miała wrażenie, że niepotrzebnie. Aleks Solis skrzywił się, obrzucając Jarotę zniesmaczonym spojrzeniem. – Wypadek – zakończyła.

– Mniejsza z tym! – Machnął ręką. – Co wyście mu zrobili?! – zapytał.

– Nic. Sam się upił. – Jarota wrzruszył ramionami. – Ja nie zdążyłem nawet dokończyć drinka – skwitował z zawodem w głosie.

Kacper Solis zachrapał.

– Upił się? Przecież on nie pije. Co ty wymyślasz?

– A jednak – odparł Jarota i znowu zaczął go ciągnąć.

– Chyba że ma coś na sumieniu... Wtedy pije – stwierdził Aleks i założył ręce na piersiach. Nie ruszając się z miejsca, patrzył na rozgrywającą się przed nim scenę.

– Z sumieniem czy bez, trochę jednak waży – stwierdził Jarota, dociągając Kacpra do szezlonga. Położył go najpierw na plecach, potem przerzucił bezwładne nogi.

– Na pewno jest pijany? – zapytał Aleks, podejrzliwie mrużąc oczy.

– Można sprawdzić – zaproponował Jarota. – Dużo promili w wydychanym powietrzu. – Aleks podszedł do Kacpra, nachylił się nad nim, powąchał i wyjątkowo szybko odsunął się od niego ze zdziwioną

miną.

– Ale co wy tu robicie? – zapytał, patrząc teraz na nich.

– Obraz przyniosłam – wyjaśniła Tycjana, wskazując płótno.

Aleks Solis spojrział na głowę zerkającą zza rozerwanego papieru. Podeszedł, rozerwał jeszcze bardziej, rozpoznał portret.

– Wiesz, że dzisiaj zmarła nasza matka? – zapytał po chwili.

– Tak, wiem. Moje kondolencje, ale on prosił, żeby go odnieść. Nalegał – dodała, próbując jakoś się wytłumaczyć.

– No tak – prychnął Aleks. – Ten karzeł był dla niego ważniejszy od niej. Wiadomo. A ona go zawsze broniła. Niewdzięcznik jeden. Mogłem się tego po nim spodziewać – stwierdził, obrzucając Kacpra Solisa zniesmaczonym spojrzeniem.

– Czego? – zapytał Jarota, przyglądając mu się z uwagą.

– Że to było dziś najważniejsze. Niziołek z gitarą! Nie mógł bez niego wytrzymać! W dniu, kiedy zmarła nasza matka, kobieta, która opiekowała się nim całe życie... A on się zwyczajnie upił jak świnia.

– Solis spojrział z odrazą na szeszlony i leżącego na nim Kacpra.

– Zdarza się. – Jarota wzruszył ramionami.

– A ten kudłaty to kto? – Aleks zwrócił się do Tycjany, pokazując palcem Jarotę, na którego nawet nie spojrział.

– Narzeczony – odparł Jarota. Podeszedł do karcianego stolika. Chwycił szklanekę z resztką whisky i wypił. – A ten bahama to kto? – zapytał Tycjanę, wskazując młodego Solisa. Nawet na niego nie patrząc.

Wyjście

– NIE DZIWIĘ SIĘ, ŻE SIĘ Z NIM CAŁOWAŁAŚ. Multiwitamina – skwitował Jarota nie bez satysfakcji po tym, jak Aleks Solis wyprosił go z domku w ogrodzie. Wyprosił też Tycjanę, choć mniej obcesowo. Teraz szedł przed nimi, odprowadzając ich do samej furtki, chyba żeby nie zabłądzili po drodze. Tycjana udawała, że nie słyszy komentarzy Jaroty, i szła prosto do wyjścia, wpatrzona w klapiące przed nią japonki. Zatrzymała się, dopiero gdy przed furtką od strony ulicy ktoś głośno zawołał. Jarota stanął obok niej.

– Aleksik. Jak dobrze, że przyszedłeś – mówiła kobieta, której jeszcze nie widziała. W przerwach z wyciętym szlaczka w metalowych drzwiach furtki mogła tylko zobaczyć wystający baranek kręconych czerwonorudych włosów. – Bo mnie się tak ręce trzęsą, że kodu wbić nie mogę.

– Bo go zmieniłem – oświadczył spokojnie Aleks Solis, otwierając furtkę.

Do środka wparowała zasapana pulchna kobieta w obcisłych legginsach i nie mniej obcisłej koszulce z deseniem moro. Tycjana rozpoznała Lucynkę Kołodziej, która i u nich czasami myła okna. Kobieta była nieprawdopodobnie roztrzęsiona. Rękami trzymała się za rozdygotaną głowę.

– Ale dlaczego? – Nie czekała na odpowiedź. – To straszne wszystko. Jak tylko się dowiedziałam, to przybiegłam – powiedziała, próbując chwycić Aleksa Solisa za rękę.

– Długo pani biegła – burknął pod nosem, szybko robiąc krok do tyłu. Cofnął rękę.

Kobieta nie zauważyła tego gestu, tylko chwyciła się znowu za głowę.

– Widziałam policję tutaj. To straszne – powtarzała, głęboko oddychając. – Ja musiałam najpierw do kościoła. Księżda szukałam. Żeby jeszcze zdążyć na mszę dać. Żeby za zdrowie. Żeby jeszcze wszystko dobrze było. Najpierw. Bo myślałam, że mi serce pęknie. Ale teraz już po wszystkich – jęknęła głośno. – Nie zdążyłam. Ale teraz przyszłam. Posprzątam chociaż. Muszę posprzątać – mówiła, nie dając sobie przerwać. – Chociaż tyle – dodała, próbując przejść i minąć chłopaka.

– Nie trzeba – Aleks Solis zaprotestował stanowczo. – Przecież wczoraj pani sprzątała.

– Ale ja słyszałam, że tam... Ja muszę, ja chyba powinnam... to tam wyczyścić – powiedziała prawie z płaczem, zakrywając drżące usta.

– Odezwiemy się do pani – odparł Aleks Solis, chwycił za powoli domykającą się furtkę i ponownie otworzył ją na oścież.

Lucyna Kołodziej zamarła i przez chwilę patrzyła na niego, nie rozumiejąc, o co chodzi, po czym zrobiła krok w bok.

– Dlaczego mówisz do mnie pani? – zapytała niepewnym głosem. – Aleksik, znam cię od dziecka. Zawsze mówiłeś mi po imieniu. Co się stało? – zapytała z przerażeniem w głosie.

– Lucynko, mówiłem, gdy nie była pani w rodzinie. A teraz już pani jest. Zmieniamy formę naszych relacji na bardziej oficjalne. – Wzruszył ramionami. – Dużo się będzie musiało zmienić.

– Jakich relacji? Co zmienić? – zapytała Lucynka i odruchowo zaczęła szukać czegoś do podparcia.

– Proszę nie udawać, że pani nie wie. – Pokręcił głową.

– Czego nie wiem? – Zrobiła wielkie oczy.

– Mój siostrzeniec albo siostrzenica będzie pani kolejnym wnuczęciem – oświadczył, a Lucyna Kołodziej chwyciła się drążka ogrodzenia. – Witam w rodzinie. I na dziś mówię witam i do widzenia – dodał. – Państwa też poproszę. – Odwrócił się do Tycjany i Jaroty.

– To ci ananas – stwierdził Jarota i ruszył w kierunku wyjścia, za nim Tycjana.

Lucyna Kołodziej chwilę stała, patrzyła Aleksowi Solisowi w oczy, po czym zrobiła niepewny krok w tył. Ten zamachał jeszcze wypraszająco dłonią, jakby wycierał niewidzialny kurz, wtedy dopiero całkiem wyszła na chodnik. Szła z otwartymi ustami.

Chwilę później dołączyli do niej.

– Przyjemniaczek – stwierdził Jarota.

Lucyna Kołodziej na chwilę przystanęła, patrząc na zamykającą się powoli furtkę. Gdy blokada się zatrzasnęła, bez słowa odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie. Po dziesięciu metrach stanęła,

oparła się ręką o drzewo, oddychała, po czym znowu ruszyła w miarę prosto.

– Zobacz, wszyscy dowiedzieli się wszystkiego w jeden poranek – zauważył i uśmiechnął się pod nosem.

– Musieli znaleźć informacje, które Angelina dostała od Niny Solis. Pewnie te kartki gdzieś została. Ciekawe, kto ich tak wszystkich rozpracował.

– Ciekawe – powtórzył Jarota, patrząc na willę. – Musisz prowadzić – oświadczył Tycjanie, która właśnie na niego spojrzała. Tak jak wcześniej się trzymał, tak teraz zrobił się czerwony, miał lekko przymknięte oczy i dość głupkowaty uśmiech na twarzy. Szklanka whisky nalana do pełna zaczęła działać.

– W tę stronę też prowadziłam – mruknęła. – Musiałeś pić?

– Nie, ale częstowali... Nie chciałem być nieuprzejmy – dodał z kpiarskim uśmiechem, gdy przeszedł na drugą stronę ulicy. – Czekaj, ktoś tam chyba jeszcze podjechał. – Chwyć Tycjanę za rękę. – Poczekajmy. Miło się czekało – dodał, marszcząc nos.

Przed domem zatrzymała się taksówka. Wsiadł z niej wysoki mężczyzna o siwych, zaczesanych do tyłu włosach. Z bagażnika wyjął małą walizkę na kółkach.

– Wiesz, kto to? – zapytał Jarota.

Pokręciła głową. Pierwszy raz go widziała. A raczej by nie zapomniała. Jarota się nie mylił. Mężczyzna zmierzał pewnym krokiem do furtki, przez którą oni przed chwilą wyszli. Stał i zaczął wystukiwać kod w bramie. Powtórzył uparcie próbę kilka razy, w końcu zadzwonił, powiedział coś do domofonu. Po chwili furtka się otworzyła. Mężczyzna próbował wejść, ale Aleks Solis całym ciałem zataraśował mu przejście.

– Czekałem. Czekałem i się doczekałem – stwierdził z satysfakcją w głosie. – Nie chciałem przegapić tego momentu.

– Co się stało? Co jej się stało?! – krzyczał mężczyzna.

– To się stało, że już tu nie mieszkasz. I to wszystko, co mam ci do powiedzenia.

– Ale...

– Ale to dom człowieka, którego nazwisko noszę. Stał tu, zanim się pojawiłeś i omamiliś matkę. I od teraz nie masz tu wstępu. Zrozumiałeś?

– Ale tam są moje rzeczy – powiedział mężczyzna, robiąc krok w tył.

– Z jedną walizką przyszedłeś i z jedną wychodzisz. Bilans się zgadza. Resztę z przyjemnością spakuję. Zdaje się, opróżnili kubły na śmieci. Będą stały przed domem rano – odparł Aleks Solis. – Pełne. Niepotrzebnie zwolniłeś taksówkę – dodał z wielką satysfakcją.

Mężczyzna przez chwilę się nie odzywał.

– Jeszcze się zobaczymy – odpowiedział i odwrócił się na pięcie. Wyciągnął z kieszeni telefon.

– *Hasta la vista bebe* – rzucił w jego kierunku Aleks Solis i zamknął furtkę.

Taksówka rzeczywiście nie odjechała zbyt daleko. Po chwili wróciła. Mężczyzna wsiadł i już go nie było.

– To jej mąż?

– Tak – potwierdził Jarota.

– A ty skąd to wiesz?

– Tajemnica służbowa. – Zaśmiał się. Chciał coś jeszcze dodać, ale zadzwonił jego telefon. Wyciągnął starą komórkę z tylnej kieszeni spodni. Spojrzał, odszedł na bok, odebrał i właściwie nic nie mówił, tylko słuchał i kiwał głową. – Dobra – powiedział na koniec i włożył telefon z powrotem do kieszeni. – Zaraz odzyskasz swoją siostrę – poinformował Tycjanę, która aż kucnęła z wrażenia.

Po chwili wstała i odetchnęła, patrząc w niebo. I z radości uściskała Jarotę. Zrobiła to tak niespodziewanie, że uchylił się i niechcący uderzył ją w okolice skroni. Jęknęła z bólu, ale nie przestała się uśmiechać.

– Przepraszam – powiedział z wyraźnym zakłopotaniem.

Tycjana tylko machnęła ręką.

– Już mogę jechać? – zapytała.

– Nie już. Najpierw mnie odwieziesz.

– To idziemy – zarządziła radośnie, kierując się w stronę samochodu. – Nie masz pojęcia, jak się cieszę. Co za ulga. Wszystko się wyjaśniło, i to szybciej, niż myślałam – paplała, nie zwracając uwagi na próbującego dotrzymywać jej kroku Jarotę. – Nie wiem, o co się tam pokłóciliście, ale to bez znaczenia.

– Jak dla kogo – odburknął. Powiedział to takim tonem, że odwróciła się do niego.

– Czyli o co poszło? – Może to był dobry moment, żeby to wyjaśnić.

– O nic. Moja wina. – Wzruszył ramionami, prychnąwszy. – Niepotrzebnie się tak dałem. – Zaśmiał się i mówił dalej już lekko bełkotliwym głosem. – Lina szukała nowej zabawki. Znalazła sobie mnie. – Pokazał na siebie obiema rękami. – Wzięła, a ja przez chwilę udawałem, że radośnie podskakuję – powiedział i podskoczył parę razy w miejscu. Tycjana rozejrzała się dookoła, zastanawiając się, czy ktoś na nich nie patrzy. Pora była już mocno popołudniowa. Spacerowało parę osób, ale nikt tak wstawiony. Przypieszyła kroku. Już z daleka otworzyła samochód. A Jarota ku jej zaskoczeniu paplał dalej. – Sprzężna przestała działać. Drugi raz się nie nakręć. Ot, i cała moja kolejna historia. Chyba się średnio na pajaca nadaję. Nawet podskakiwać mi się nie chce. Wiesz co... – powiedział, podchodząc do samochodu i otwierając drzwi. – ...Lina mówiła, że ją rozczarowałem, bo tak naprawdę to jestem nudny, i że bardziej do ciebie pasuję... – Słuchając, Tycjana z wrażenia stanęła po drugiej stronie samochodu i patrzyła... – ale ty mnie nie chciałaś – dokończył, rozkładając ręce, i wsiadł do środka.

– Skąd wiesz? – szepnęła zdziwiona, gdy zniknął jej z oczu. Nie zauważyła, że wychyla się w jej kierunku, opierając się łokciem o siedzenie kierowcy, a ręką o kierownicę.

– Co powiedziałaś? – zapytał z zaciekawieniem.

– Nic – odpowiedziała szybko. Za szybko.

Wsiadła, natychmiast odpaliła silnik, włączyło się radio, pogłośniła i ruszyła. Jarota patrzył na nią z lekkim uśmiechem na twarzy. Na przemian unosił brew i marszczył nos. Widziała to kątem oka, ale nie odwróciła się w jego stronę. Jechała bez słowa. Na szczęście było niedaleko. Poza tym, gdy tylko podjeżdżała do kolejnego skrzyżowania, czerwone światło gasło jak na życzenie.

– To teraz masz zielone światło. – Jarota uśmiechnął się, patrząc na nią.

Nie bardzo wiedziała, czy stwierdza fakt drogowy, czy chce powiedzieć coś zupełnie innego. Nie zapytała, udając, że skupia się na prowadzeniu. Pod samym komisariatem na Jeźcach było wolne miejsce, jakby na nich czekało.

– Miałaś mnie odwieźć do domu – powiedział i otworzył drzwi, nie czekając na komentarz.

– O, przepraszam – zreфлекtowała się. – Rzeczywiście. Może jeszcze zdążę...

– Nie trzeba – oświadczył. – To na razie – dodał. – Nie lubię stać pod taką firmą. Wiesz... sentymentalny jestem. – Znowu zmarszczył nos, zaśmiał się ni to wesoło, ni to smutno, i wysiadł.

Do komisariatu na Kochanowskiego prowadziły wysokie, szerokie schody. Jarota stanął na chodniku w momencie, gdy uchyliły się szklane drzwi i pojawiła się w nich Angelina Raj. Z koszulą niedbale wyciągniętą na wierzch wąskiej spódnicy, z podwiniętymi nierówno rękawami i potarganymi włosami, które chaotycznie przegarniała ręką. Patrzyła przed siebie, choć to nie było pewne, bo większość twarzy przysłaniały granatowo-różowe strąki. Nie zauważyła samochodu Tycjany. Ta już chciała zatrzeć klaksonem, gdy Angelina zaczęła pędem zbiegać ze stopni. Ciągle miała na stopach wysokie szpilki. W połowie schodów podwinęła jej się noga.

– Czekaj! – krzyknęła na Jarotę, który zdążył już wejść na ulicę i próbował szybko przejść na drugą stronę. – Czekaj! – powtórzyła, ściągając buty. Chwyliła je w rękę. Resztę drogi pokonała boso, przykuwając wzrok kilku przechodniów, którzy patrzyli zafascynowani na dziewczynę zbiegającą boso ze schodów komisariatu. Angelina nie zwracała na to uwagi. Dobiegła do Jaroty i rzuciła mu się na szyję.

– Wiedziałam, że przyjdiesz. Wiedziałam, że mi pomożesz. Wiedziałam, wiedziałam, wiedziałam – powtarzała i zaczęła go obcałowywać.

Tycjana została z ręką na klaksonie.

Chwilę trwało, nim zamknęła okno, odwróciła głowę i przestała patrzeć na rozmawiającą parę. Po jakimś czasie Angelina wsiadła do samochodu.

– Dzięki, że przyjechałaś – powiedziała i odwróciła się.

– Nie ma sprawy – odpowiedziała Tycjana, ruszając. – Chcesz pogadać? – zapytała po przejechaniu kilku przecznic.

– Nie! Chcę się umyć. Teraz to dopiero czuję się brudna.

Tamara

TYCJANA OBUDZIŁA SIĘ I WYSTARCZYŁO, że ziewnęła, a wraz z bólem naciąganej skóry przypomniała sobie cały wczorajszy dzień. Błyskawicznie zerwała się z łóżka i pobiegła do lustra. Fiolet, przechodzący w mocną czerwień i żółcień na obrzeżach, wypełniał przestrzeń od kącika oka do skroni. Nawet brew nie wyglądała tak źle jak siniak, który rozlewał się najpewniej od przygniecenia nosa. Dużo czasu spędziła w łazience, próbując to zamalować, a potem zatuszować zaschłe już rozcięcie na brwi i obolały grzbiet nosa. Gdyby to robiła farbami olejnymi, poszłoby jej znacznie lepiej. Z fluidem i pudrem nie poradziła sobie zbyt dobrze. Efekt był ledwo znośny. Angeliny nie chciała na razie budzić. Snuła się po mieszkaniu, raz po raz zerkając na zamknięte drzwi do jej pokoju. Raz przystawiła nawet ucho, ale nie dochodziły stamtąd żadne dźwięki. Nie zamierzała przeszkadzać siostrze, jeśli spała, a jeśli nie chce rozmawiać, to też nie będzie jej zmuszać.

Ku zaskoczeniu Tycjany wieczór nie był zbyt miły. Myślała, że będą świętować szybkie uwolnienie, ale okazało się, że Angelina straciła humor, gdy tylko rozstała się z Jarotą, który nie dał się przekonać, by wrócić z nimi na plac Spiski. Tycjana nie wiedziała, co jej powiedział ani o czym rozmawiali. Odeszli na bok i chyba się kłócili. Na wszelkie jej pytania Angelina reagowała odburknięciami. Mówiła, że jest zmęczona, że nie ma siły, że jutro. Nie przejęła się również podbitym okiem Tycjany, usłyszała, że to przez drzwi, i nie zainteresowały jej szczegóły. Przed samym domem krzyknęła nawet, że chce świętego spokoju i ma dosyć tłumaczenia się. Ciotka Józefina, która wyszła jej na spotkanie, była wyjątkowo wyrozumiała, Tycjana znacznie mniej, choć próbowała to tłumić.

Zamierzała pogadać z Józefiną, gdy tylko ciotka wstanie. Nie musiała czekać. Ktoś dzwonił do drzwi wejściowych. Zbiegła po schodach.

– Cykliniarz? – zdziwiła się Józefina, wylaniając się ze swojego korytarza. – Nie wierzę, że przyszedł – dodała, patrząc, jak Tycjana przekręca klucz.

Gdy drzwi się otworzyły, obie odruchowo zrobiły krok do tyłu. Natomiast Tamara Solis, która pojawiła się przed nimi, postąpiła krok do przodu.

– Dzień dobry. Widzę, że nie za wcześnie – oświadczyła i nie czekając na zaproszenie, weszła do środka. Ubrana była w strój sportowy, na szyi miała słuchawki i klikała coś w umocowanym na ramieniu urządzeniu.

– To poproszę może na taras, do ogrodu. Jest ciepło, a tu remont – zaproponowała Józefina, której bardzo szybko przeszło zdziwienie niespodziewaną wizytą i była wyraźnie podekscytowana spotkaniem.

– Może być ogród. Nie zajmę dużo czasu. – Tamara spojrzała na wielki wyświetlacz elektronicznego zegarka, który miała na ręku. – Mam przerwę w treningu. Bardzo szczegółowo rozpisany. To ważne, zważywszy na okoliczności... – chrząknęła – ...ale do rzeczy. Tam? – zapytała, pokazując na okno balkonowe w głębi salonu.

Tycjana kiwnęła głową.

– Może kawy albo kompotu z mirabelek? – zapytała Józefina.

– Nie. – Dziewczyna pokazała na przypięty na biodrach pasek. – Mam tu izotonik witaminowy – oświadczyła, kierując się w stronę ogrodu.

Poszły za nią, wymieniając niepewne spojrzenia. Tuż przed wyjściem na taras Józefina stanęła, jakby zahamowała, wlepiła wzrok w Tycjanę i szarpnęła ją za ramię.

– Titi, pomóż mi przynieść szklanki – zakomunikowała oficjalnym tonem.

– Naprawdę dziękuję – powtórzyła Tamara.

– Ale my zawsze o tej porze pijemy kompot z mirabelek – stwierdziła Józefina, ciągnąc Tycjanę za rękaw. – Lekarz mi rozpiął – podkreśliła, patrząc na bratanicę i jednocześnie kiwając głową w kierunku kuchni. – Jej też – dodała, widząc wzrok Tycjany.

– Kompot? – zdziwiła się Tamara.

– Zaraz wracamy. Usiądź – poprosiła Tycjana i ruszyła za ciotką, której nie zdołałaby teraz powstrzymać.

Józefina, gdy tylko znalazły się w kuchni, od razu przymknęła drzwi i przyłożyła do nich ucho. Po czym odciągnęła Tycjanę i wspięła się na palce, by zbliżyć się do jej głowy.

– Przesłuchaj ją – wyszeptwała z niezwykle poważną miną.

– Co? – Tycjana nachyliła się nad nią. Nie była pewna, czy dobrze rozumiała.

– Przesłuchaj ją – powtórzyła Józefina, mocno mrużąc oczy. – Jest przecież podejrzana – wyjaśniła szeptem. – No co? Jest dzieckiem Niny.

– I co z tego?

– Może to właśnie ona się jej pozbyła. Któreś musiało...

– Przestań. – Tycjana skrzywiła się, patrząc z przestachem na drzwi.

– Mowy nie ma. Jak ty tego nie zrobisz, ja to zrobię – zapamiętała szeptwała Józefina. – Ale wy się lepiej znacie. Kiedyś się chyba przyjaźniłyście.

– Ale jak ja mam ją przesłuchać? – syknęła Tycjana przez zacisnięte zęby.

– No, spytaj, czy ma alibi. Muszę ci to tłumaczyć? Filmów nie oglądasz? Od tego trzeba zacząć! – naciskała Józefina, ale coraz głośniejszym szeptem. – Nina mówiła przecież, że wydziedziczyła dzieci. Może się zdenerwowała. To nie mogło się im spodobać. A na przykład jej najbardziej! Przesłuchaj ją – zakończyła, pokazując palcem na ścianę, za którą był ogród.

– Dobre, ale musisz nas zostawić same – odpowiedziała Tycjana najbardziej poważnym tonem, na jaki było ją stać. To był teraz jedyny sposób na spacyfikowanie ciotki.

– O widzisz! Teraz rozumiałaś. – Józefina mrugnęła porozumiewawczo.

– Ale nie przeszkadzaj...

– Tak. Tak. Oczywiście. – Ciotka pokiwała głową. – Potem dołączę. Dasz mi znak?

– Dam.

Tycjana zostawiła ciotkę w kuchni i odetchnęła z ulgą. Wychodząc na ogród, zamknęła za sobą drzwi. Odczekała chwilę z obawy, że ciotka nie wytrzyma i przyklei nos do szyby. Odwróciła się.

– Nie masz kompotu – zauważyła Tamara, która już zajęła bujany wiklinowy fotel.

– Wypiłam – odpowiedziała, przyglądając włosy.

– Dobrze wyglądasz – oświadczyła Tamara, kołuszając się. – Próbowalaś naszego ostatniego produktu? – Tycjana zaprzeczyła. Zupełnie nie miała pojęcia, o czym ona mówi. – Nazywa się „Niewidzialny dotyk”. To fluid matujący. Podeślę ci. Dobrze kryje i nie zostawia takiej warstwy. Chyba że ktoś lubi mocny makijaż. Ale mniejsza z tym. – Machnęła ręką. – Twoja sprawa.

– Moje kondolencje – zaczęła Tycjana, siadając po przeciwnej stronie i odsuwając krzesło jak najdalej, a potem jeszcze przesunęła je bardziej w cień, jaki rzucała gałąź wielkiej lipy.

– Dziękuję. Chcę, żebyś wiedziała, że jeszcze w to nie wierzę i wiem, że to do mnie nie dotarło. Zamierzam wykorzystać więc ten moment na działanie. Rozumiesz? Bo chciałabym, żebyś dobrze rozumiała. Nie jestem nieczuła. Mój mózg nie przyswoił jeszcze tej informacji...

– Tak. Każdy inaczej przeżywa... – Tycjana chciała jeszcze coś dodać, przecież niedawno sama pochowała ojca, ale nie zdążyła.

– Otóż to – przerwała jej Tamara. – Poza tym to już nie tajemnica, że spodziewam się dziecka. Te hormony też chyba jakoś tak działają... Mniejsza z tym...

– Moje gratulacje...

– Dziękuję, choć nie o powinszowania mi chodzi. Muszę kupić sobie taki fotel – stwierdziła córka Niny, odpychając się mocniej nogami. – Chcę podkreślić, że nie powinnam się denerwować, a przede wszystkim utrzymać umysł i ciało w dobrej kondycji. A więc do sedna. Nie mam czasu na owijanie meritum w cokolwiek. Wybacz mi.

– Zawsze byłaś bepośrednia – stwierdziła Tycjana, która podziwiała tę cechę, choć parę razy odczuła to dosyć boleśnie na własnej skórze.

– Tak? – Tamara zdziwiła się uprzejmie. – Chyba masz rację. Czyli zaczynam – oświadczyła, bujając się rytmicznie. – Po pierwsze, nie wnikać już w to, co robiła twoja szczęśliwie odnaleziona siostra w moim domu – powiedziała wyraźnie pod adresem Tycjany. – Nad zwłokami mojej matki, dodam. Po drugie, ani w to, co ty robiłaś w domku u mojego przyrodniego brata. Ze swoim narzeczonym.

– Ja... – Tycjana próbowała jednak coś powiedzieć.

– Nie musisz mi się teraz tłumaczyć. Szkoda minut. – Biegaczka zerknęła na zegarek, który zaczął pikać pulsującym światelkiem. – Domyślam się, że minęło wystarczająco dużo czasu, by przygotować jakieś wymówki. Kacper coś tłumaczył, mówił o jakimś obrazie. Niby o konserwacji... powiedzmy. Moim zdaniem grubymi nićmi szyte, ale dajmy spokój. – Machnęła ręką i dalej bujała się na wiklinowym fotelu. – Policja ma swoją wersję... Patolog swoją. Niby nie było udziału osób trzecich. Nie do końca w to wierzę. Tyle zbiegów okoliczności.

– Jakich zbiegów okoliczności? – powtórzyła bezwiednie i raczej bez sensu Tycjana.

– Wy dwie, twój narzeczony i taka Aldonka, co akurat się pokłóciła i nie spała u matki. Ta to mnie najbardziej irytuje. Pewnie Wiktor napisał jej usprawiedliwienie. I będzie miał za swoje. Nie chciała-bym być teraz w jego skórze. – Tamara uśmiechnęła się i bujnęła na fotelu. – Dużo tu nie pasuje, ale teraz nie mam głowy do wykrywania kłamstw.

– Czyli czego ode mnie chcesz? – zapytała zdezorientowana Tycjana.

– Zamierzam to zlecić. Czyli potrzebuję numer telefonu tego detektywa.

– Jakiego detektywa?

– Tego, co na życzenie mamy tak skutecznie nas rozpracował. Nie mów, że nie wiedziałaś. Błagam cię.

– Detektywa? – powtórzyła lekko oszołomiona Tycjana.

– Chodzi o tego syna czy wnuka wspólnej znajomej, mojej matki i twojej ciotki. Tego, co zastał kochanka w swoich kapiach. Nie pamiętam, jak on się nazywał, Jarek, Jaro czy jakoś tak.

– Po co chcesz jego numer? – Tycjana ledwo wycedziła pytanie.

– Bez obaw. Nie zamierzam zrobić mu nic złego. – Tamara się zaśmiała, widząc popłoch na twarzy dawnej koleżanki, która nie wiedziała, co zrobić z oczami. – Co innego moja bratowa – ciągnęła.

Fotel trzeszczał, miarowo się kołyszając.

– Ale po co chcesz jego numer?

– Może warto go ostrzec? – Tamara znów się zaśmiała. – Jestem pewna, że mój brat i ta jego Fąferek najchętniej by go odstrzelili. Żartuję – dodała, podnosząc się z fotela. Odsunęła go na bok i zaczęła rozciągać mięśnie nóg. Wysuwając i napinając to jedną, to drugą. – Mnie chodzi tylko o rozmowę z nim. Jeśli chcesz wiedzieć i musisz być poinformowana.

– Ale skąd wiesz, że to on zbierał te... te, o których mówiłaś, te materiały... mówiłaś, że były jakieś materiały... – Tycjana próbowała się otrząsnąć, a jednocześnie nie wiedziała, czy przyznać się do tego, co wie. Czy zataić.

– Nie kryguy się tak. – Tamara wzruszyła ramionami. – Skoro twojej siostrze wypadły poufne informacje na nasz temat z teczki konserwatorskiej, na której było twoje nazwisko, to domyślam się, że czytałaś – oświadczyła, rozprostowując ramiona.

Tycjana o mało nie udławiła się własną śliną, której nie była w stanie przełknąć. Nie wiedziała, że Angelina wzięła jednak jej teczkę i Tamara nie ma wątpliwości, że ona też jest wplątana w całą tę sytuację. I to bezpośrednio. Wstęp, od którego Solis zaczęła spotkanie, miał teraz sens. Było jej głupio i wiedziała, że cokolwiek nałożyła na twarz, na pewno nie zakryło czerwonych plam, które musiały pojawić się na policzkach i szyi. Czuli, jak gorące fale uderzają jej do głowy. Jak u dziecka przyłapanego na kłamstwie lub próbie oszustwa. Tamara zdążyła zrobić dwa skłony.

– Te opisy trafiły w moje ręce, ponieważ... – zaczęła, próbując opanować drżenie głosu.

– Nie wiem, po co matka je do was przysłała – przerwała jej Tamara, patrząc na zegarek.

Nawet jeśli to było pytanie, Tycjana nie wiedziała, co teraz powiedzieć. Siedziała i żałowała, że jej nie kryje jeszcze większy cień.

– Nie martw się, reszta rodziny tego nie wie – oświadczyła Tamara i zaczęła truchtać w miejscu.

– Czego?

– Właśnie tego, o czym powiedziałam. Teczke zabrałam, nawet nie zauważyli, bo wrywali sobie pojedyncze kartki z rąk. Tak na marginesie dodam, że Wiktor to chyba żałuje, że swojej nie zjadł. – Tamara roześmiała się. Przystanęła i zaczęła kręcić biodrami. – Ja to długo bym się nie ukryła. Zaraz i tak będzie widać. – Dotknęła brzucha. – A hasło do mamy poczty podejrzalam już dawno temu i znam je tylko ja. Szkoda, że wcześniej nie zajrzałam. Cóż, poszło i widziałam, w jakim kierunku. Mam nadzieję, że jak ochłoniesz, to sama mi powiesz, o co w tym chodzi. Jeszcze się spotkamy. Dobrze? – Tycjana pokornie kiwnęła głową. – Teraz daj mi, proszę, telefon tego Jaro, bo niestety nie ogłasza się

nigdzie. Jest tajny przez poufny. Ale słyszałam, że może sobie na to pozwolić – dodała, podciągając kolanو pod brodę. Najpierw jedno, potem drugie. – Tylko nie mów, że nie masz, proszę cię...

– Nie mówię.

– To dobrze. Widziałam, jak pod komendą wysiadał z twojego samochodu... – jęknęła ze znużeniem, ponownie patrząc na zegarek.

– Mam. – Tycjana poddała się i próbowała zacząć myśleć jakoś bardziej logicznie.

– I bardzo dobrze.

– Ale powiedz, dlaczego uważasz, że to on zbierał te... informacje. – Ton głosu Tycjany musiał zaciekać Tamarę, która przestała truchtać i spojrzała na nią jakoś inaczej.

– Nie wiedziałaś? – zapytała.

Tycjana pokręciła głową. Tamarę wyraźnie to zaintrygowało, chyba założyła zupełnie inny scenariusz.

– Widziałam, jak matka odprowadza kudłacza w skórzanych spodniach do drzwi, już jakiś czas temu. Zainteresowałam się, zapamiętałam, a teraz połączyłam kropki – oświadczyła, wykonując wymach ręką.

– Ale po co ci on?

– Bo jestem ciekawa, czy to zlecenie dotyczyło jeszcze kogoś... – powiedziała, robiąc skłon.

– Czyli kogo? – zapytała Tycjana ze zdziwieniem. Nie liczyła na odpowiedź.

– Jej szanownego małżonka. A kogoż by innego? Może zachowała resztki zdrowego instynktu samozachowawczego i nie podejrzewała tylko nas o wszystko, co najgorsze. Przynajmniej mam taką nadzieję.

– Chcesz go sprawdzić?

Tamara pogładziła się po pępku.

– To oczywiście. Czeka nas batalia sądowa, tego jestem pewna. Im szybciej to ogarnę, tym lepiej. Wszyscy mówią, że zmiękne za chwilę. – Ponownie dotknęła brzucha i spojrzała w dół. – A nie zamierzam – rzuciła szybko. – Na moich braci nie mam co liczyć. Jeden słucha żony, a drugi tylko siebie. Nie wiadomo, co gorsze – dodała, kręcąc głową.

– Podejrzewasz go o coś? Jej męża?

– Uwierz mi, jeśli prawie siedemdziesięcioletnia kobieta zaczyna zachowywać się jak podłotek, zapomina, że ma dzieci, to można się spodziewać najgorszego. Zawsze prowadziła politykę „dziel i rządź”. Zawsze kogoś faworyzowała, a kogoś odsuwała. Jedno i drugie nie wiadomo dlaczego ani z jakiej okazji. Oczywiście wiem, o co chodziło. Wszystko, by podtrzymać stan niepewności. By nikt nie był pewny swojej pozycji, by zaskoczyć i uderzyć w najmniej spodziewanym momencie. Taka zwyczajna polityka imperium – stwierdziła Tamara, rozciągając wysuniętą do przodu nogę. – Ale zawsze to dotyczyło naszej trójki... A teraz mogę się zdziwić. Tym bardziej że zapowiedziała niespodziankę. Tylko nie wiem, dla kogo i z czym mam się zmierzyć.

– Mogła was wydziedziczyć? – zapytała nieśmiało Tycjana.

– Ze wszystkiego nie. Ale nie wyobrażam sobie, że w firmie będzie rządził ktoś, kto zamienia litery na liczby, dodaje je, a potem uważa, że wie, jak świat jest poukładany. Do tego nie dopuszcza. Choćby nie wiem czego próbował.

– Jest numerologiem? – zapytała Tycjana.

– O nie. To by było za proste. – Tamara zaśmiała się pod nosem. – Zajmuje się gematrią i kabałą. Przedstawia się jako tłumacz.

– Z hebrajskiego? – zapytała Tycjana. O ile pamiętała, chodziło o jakiś mistyczny związek liter i liczb. Próbowała przypomnieć sobie dokładnie, o co w tym chodzi.

Tamara spojrzała na nią i prychnęła.

– Z angielskiego. Nie sądzę, żeby znał jeszcze jakiś język. Ten też raczej słabo. Jakieś pseudonaukowe teksty. Wmówił matce, że jej nazwisko coś znaczy i nie ma problemu, że to nazwisko jej męża, bo przecież stanęła na jej drodze i połączyło się z nią. Ciekawe, co teraz powie. – Machnęła ręką i nie było to ćwiczenie.

– O czym?

– Nieważne. Tak tylko chciałam zaznaczyć, że według mnie to popkulturowy bełkot. Poza tym już niemodny. Trend sprzed dziesięciu lat. Nawet Madonnie chyba się ta kabała już znudziła. – Tamara się wyprężyła, wyciągając ręce do góry. – Naprawdę nie mam teraz czasu, kiedyś ci opowiem. Prześlij mi ten numer. Mój prywatny telefon masz?

– Ten sam?

– Nie używałaś, ale nie zmienił się od lat. Dzięki – powiedziała i zaczęła truchtać w kierunku wyjścia, lecz nie zdążyła chwycić klamki.

Drzwi otworzyły się z drugiej strony i na taras weszła Józefina.

– Może jednak kompotu? – zapytała, podając szklanke. – Samo zdrowie. Nie to... co to – ruchem podbródka wskazała butelkę – w tych plastikach. Ja mam prawdziwe witaminy z samego drzewa.

– Może za chwilę. Ja chyba... – Tamara zastanowiła się i skrzywiła. – Jeśli mogę, to skorzystam jeszcze z toalety. Teraz co chwilę chodzę.

– Ależ proszę. Proszę bardzo. – Józefina odprowadziła gościa na korytarz, pokazała drzwi, po czym błyskawicznie wróciła do ogrodu i dopadła bratanicę.

Tycjana nie mogła się nadziwić, jak to się dzieje, że Józefina czasami drepcze ciężale z nogi na nogę, a czasami zasuwa jak na wrotkach, bo inaczej nie można było określić tej prędkości.

– Pytałaś? Pytałaś? Gdzie była? Ma alibi? – dopytywała się ciotka, co chwilę odwracając głowę w kierunku domu.

– Nie.

– To o czym tyle gadałaś? – Józefina była zdegustowana. – Jak nie umiałaś, to trzeba było dać mi jakiś znak. Dobrze z ciebie dziecko, ale niezbyt sprytnie – dodała z ubolewaniem w głosie.

Tycjana nie wiedziała, co powiedzieć, nie musiała się jednak wysilać. Pokazała palcem na drzwi i przyłożyła go do ust. Zadziałało.

Czekały.

Tamara wróciła po dłuższej chwili dziwnie zaczerwieniona, chrząkając i trzymając się za gardło.

– Tamaro – zaczęła Józefina, nim Tycjana zdążyła się odezwać, by ją powstrzymać. – Ja nadal nie mogę uwierzyć w to, co się stało. Nina była taka pełna życia. Jeszcze przedwczoraj z nią rozmawiałam.

– Ja też. – Tamara spojrzała na wyświetlacz zegarka i zaczęła coś tam ustawiać.

– Wiesz – zagaiła Józefina, a Tycjana przeczuwała, że już w tej sekundzie powinna jej przerwać, nie miała jednak możliwości. – Wiesz – powtórzyła poważnym tonem ciotka – to ważne, żeby pamiętać, gdzie się było, jak ktoś bliski umiera. – Pokiwała dobrotliwie głową. – To bardzo ważne. A ty gdzie byłaś tej nocy, kiedy Nina rozbiła głowę?

– Słucham? – Tamara spojrzała na nią z niezrozumieniem.

– No wiesz... to się później latami pamięta. Na przykład. Wyjaśnij ci to – oznajmiła Józefina, słodko się uśmiechając i składając ręce na piersi. – Jak zmarła księżna Diana, straszny wypadek, to ja do tej pory pamiętam, gdzie byłam. Jak się o tym dowiedziałam, to akurat byłam...

– Tak! Rozumiem – przerwała jej Tamara, marszcząc brwi. – Ja się dowiedziałam, jak zobaczyłam pani bratanicę nad moją matką leżącą na podłodze, dodam, w kałuży krwi – wyjaśniła, bardzo podobnie układając ręce.

Józefina pozostała z otwartymi ustami, nie dokończyła już zdania.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– Masz kompot. – Józefina otrząsnęła się, pośpiesznie podała jej szklanke i prawie podskoczyła z radości na dźwięk pukania do drzwi. – Cykliniarz! – wykrzyknęła. – Proszę! Proszę! – powtarzała, idąc do drzwi.

– Ja też już pójde. – Tamara ruszyła w kierunku wyjścia, a Tycjana za nią.

– Pani Józefino, ja nie mogłam w domu wytrzymać – dobiegło z korytarza.

Tycjana rozpoznała znajomy głos i się zdziwiła, ale Tamara stanęła jak wryta, zatrzymując się przed prowizoryczną firanką z folii.

– Ale Lucyno...

– To ja już dziś wolę te okna umyć. Przynajmniej się czymś zajmę. Bo ja mam nerwy zszarpane. Ja się bić z myślami już nie mam siły. Te Solisy to one serca nie mają... Brzydzą się ludźmi.

Tycjana patrzyła na Tamare, która wzięła głęboki wdech, chciała się też napić, ale jak tylko przyłożyła szklanke z kompotem do ust i powąchała, to musiała ją odsunąć i ledwo powstrzymała odruch wymiotny. Spojrzała na Tycjanę.

– Też tak miałam w ciąży. Na śliwki – przypomniała sobie i uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

– Odstawię to. – Tamara uniosła szklanke i weszła do środka. – Dzień dobry – zwróciła się do onieśmiałej Lucyny Kołodziej, która na jej widok z wrażenia zakryła usta.

Wyglądała, jakby prędszej ducha spodziewała się zobaczyć niż kogoś z rodziny Niny Solis. Tamara nie mniej zakłopotana ze szklanką w ręku szukała jakiegoś stolika w pustym korytarzu. Zamachała niechcianym kompotem i to wystarczyło, żeby uwolnił się kwaśno-słodki zapach mirabelek. Zdążyła jeszcze spojrzeć na Lucynę i znowu zebrało jej się na torsje. Oddała jej szklankę i pobiegła do łazienki.

Wszystkie trzy bez słowa wpatrywały się w drzwi, dopóki znów nie ukazała się w nich Tamara.

Tomaszek

PO WYJŚCIU TAMARY SOLIS i długiej rozmowie z ciotką, której nie usatysfakcjonowało przeprowadzone przesłuchanie, Tycjana poszła do siebie na górę. Już na schodach słyszała ruch w korytarzu. Gdy jednak otworzyła drzwi na piętro, zatrzasnęły się te od pokoju Angeliny. Siostra wyraźnie nie miała ochoty na spotkanie czy opowieści dotyczące ostatnich wydarzeń. Tycjana jeszcze dla własnego spokoju zapukała, ale w odpowiedzi usłyszała:

– Śpię!

– O której cię obudzić? – zapytała jeszcze.

– Jak chcesz mi prawić morały, to za rok. Jak chcesz się mądrzyć, to za dwa.

– Kolorowych snów – życzyła siostrze i zateśkniła za synem, który wstawał z łóżka z podobnym entuzjazmem. Zadzwoniłaby do niego, ale to nie był dobry przedział czasowy. Z braku naglących zajęć postanowiła coś zjeść, a potem wrócić na dół do Józefiny.

Tam była świadkiem innej bezsensownej demonstracji. Ciotka zdążyła przekonać Lucynę, ją i nawet siebie, że musi przed remontem umyć okna, bo przez folię malarską widzi, jakie są brudne, i nic to, że trzeba będzie tę czynność wkrótce powtórzyć. Zgodzić się mogła, tylko że nie wiadomo, kiedy to nastąpi. Jarota może wystawił cykliniarza przez balkon z dziesiątego piętra, ale chyba go upuścił, bo ten mimo zapewnień znowu nie przyszedł. Bez względu na bezzasadność podejmowanych działań Tycjana postanowiła pomóc w sprzątanu. Był też inny powód. Nie chciała przegapić momentu, w którym nad wyraz płodny Tomaszek przyjedzie po matkę, bo tak wynikało z rozmowy, jaką przeprowadziła Lucyna Kołodziej przez telefon. Rozmowy, którą obie chcąc nie chcąc podsłuchały. Lucyna lamentowała nad spotkaniem z Tamarą i własnymi nerwami niezwykle głośno. Wszystko sprowadzało się do tego, żeby „w końcu znalazł sobie normalną dziewczynę, bo inaczej to ją do grobu wpędzi”, a ona już „z tych nerwów nie wytrzyma”.

Zbliżało się południe. Lucyna niezwykle sprawnie myła okna, nie dając się zagadywać Józefinie, mimo iż ciotka usilnie próbowała, przemieszczając się za nią z pokoju do pokoju. W końcu sprzątaczką spojrziała na mały zegarek, którego pasek ścisnął pulchny nadgarstek, i zarządziła koniec.

– Tych tarasowych nie zdążyć dziś – stwierdziła, wyjęła telefon i wystukała esemes.

– Dlaczego? – zapytała Józefina, bardziej dla kolejnej próby zagajenia rozmowy niż z żalu, że pozostaną nieumyte. Nawet nie spojrziała w ich kierunku.

– Jak Solisowej mam tłumaczyć? – zdenerwowała się nękana Lucyna Kołodziej. – Słońce w herbie, co na tym loko mają, a nie wiedzą, że się okien w słońcu nie myje. Pani też mam tłumaczyć, że choćby nie wiem jak trzeć, to smugi zostają?

– Tak. Tak. Dobrze. Przecież wiem – wycofywała się Józefina. – Wiadomo, ale powiedz mi, bo ja tak w głowę zachodzę... – potarła czoło – ...mniej się wydawało, że z Niną to się lubicie nawet. Tyle lat...

– Tak, jak dzieci były małe... Ale ja tu źle o zmarłych mówić nie będę – stwierdziła Lucyna, patrząc na wyświetlacz telefonu. Mrugnął światełkiem. – O, przyjechał. Już czeka – stwierdziła i ruszyła w kierunku drzwi.

Ciotka z bratanicą jak na komendę poszły za nią.

– Ja też muszę wyjść – oznajmiła Tycjana, przekładając torebkę przez ramię. Wymyśliła to już wcześniej. Założyła wielkie ciemne okulary i wyglądającą wyjściowo długą, wąską lnianą sukienkę z wielkimi kieszeniami po bokach. Uznała, że sugeruje tym oficjalnym strojem zaplanowane spotkanie. Przy najmniej taki miał być przekaz.

– To ja pójde się przywitać – dołączyła się Józefina. – Chcę zobaczyć, jak wygląda twój syn – oświadczyła bez ogródek.

– Przystojny, po dziadku – z dumą stwierdziła Lucyna, o dziwo zadowolona z zainteresowania Józefiny.

– I po tobie – dodała Józefina.

– Naprawdę? – ucieszyła się rozpromieniona Lucyna, gładząc się po pulchnym policzku.

Rzeczywiście, dziadek zapewne prezentował się dobrze. Syn Lucyny musiał to po kimś odziedziczyć. Wystarczył rzut oka. Tomasz Kołodziej stał przy złotym maluchu. Wiekowy samochód miał świetny lakier i naklejki z płomieniami przy tylnych kołach. Właściciel dumnie opierał się o karoserię auta, które mogło mieć ze trzydzieści lat, czyli prawie tyle co on sam. Pokiwał rozanielonej na jego widok matce.

Józefina natomiast klasnęła w ręce z uciechy na widok pojazdu, jakim, jak wielokrotnie wspominała, przejechała całą Europę chyba ze swoim drugim mężem. Głośno się zachwycała, nie wierząc, że ktoś takim jeszcze jeździ.

– I co to za niezwykły przypadek, że to właśnie syn znajomej ma takie чудо!

Tycjana natomiast wiedziała, że samochód na pewno przypadkowy nie jest. Właściciel miał wszystko przemyślane. Począwszy od tramppek, przez spodenki w pepitkę, rozciągniętą koszulkę z kilkoma przepalonymi fabrycznie dziurkami i wyjątkowo dobrze odszytym dekoltem. Pasował do dużego zegarka na bardzo szerokiej, oldskulowej srebrnej bransolecie i pozornie niedbale ściętych jasnych włosów, które właściciel przykuwającego oko auta co chwilę przegarniał. Był rzeczywiście urodziwy i niezwykłe z tej urody zadowolony. Na pewno z wrazenia, jakie robił na kobietach, nawet jeśli zachwycała się nim siedemdziesięcioletnia babcia, nie krył satysfakcji. Z lekkością rzucił uradowanej Józefinie kilka komplementów, i to w jednym zdaniu.

Tycjana kiwnęła tylko głową na przywitanie i szybkim krokiem, bez oglądania się za siebie ruszyła w dół ulicy. Przystanąła dopiero za zakrętem.

Już wiedziała, o co mogło chodzić Tamarze. Na pewno nie liczyła na założenie zgodnego stadła z hipsterem, który miał już niewielkie szanse, że kiedykolwiek dorośnie. Była na to za mądra. Ale jeśli poszukiwała dobrych genów, przynajmniej jeśli chodzi o aparycję, tu prawdopodobieństwo było wysokie.

Maluch, hałasując silnikiem, w końcu odpałi, ruszył i po chwili ją minął. Zastanawiała się, czy wrócić do domu, czy przejść się jeszcze do sklepu, gdy zobaczyła ruszający za małym fiatem inny samochód. Zastygła. Ten znała doskonale. Stary, terenowy, ubłocony rzęch. Chwilę patrzyła, dla pewności, ale nie mogła się mylić. Z bramy kilka domów dalej wyjeżdżał samochód. Maluch kurtuazyjnie się zatrzymał, a za nim rzęch. Nie czekała, rzuciła się przed siebie. Odjechali kawałek, ale miała szansę. Udało się. Zdążyła chwycić za klamkę, nim terenowe auto ruszyło. Zaskoczony kierowca odwrócił kudłatą czarną głowę. Widząc ją w otwartej szybie, uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Podwieź cię? – zapytał Jarota. – Czy po prostu chcesz mi wyrwać drzwi? – Przycisnął jakiś guzik, by przestała się szarpać z klamką.

– A dokąd jedziesz? – wydukała zasapana, szybko sadwając się w fotelu pasażera. Zapięła pasy i dopiero teraz zaczęła wyciągać spod pupy papierki po orzeszkach i, jak się okazało, nadgrzyzione ciastko w papierku, na szczęście nie czekoladowe.

– W nieznanym kierunku. – Dagonił złotego malucha i nie zwracając uwagi na pomarańczowe światło, skręcił za nim.

– Śledzisz go? Po co?

– A jak powiem, że dla zabawy, to mi uwierzysz? – prawie odburknął.

– Nie – oświadczyła i spojrzała na niego. Jego wieczór nie skończył się wraz ze szklanką whisky wypitą u Kacpra Solisa. Wyglądał na spożycie znacznie większej ilości. Był zmęczony i trochę przybity. Nie przypominał Jaroty z wczoraj, który doskonale się bawił, wprowadzając ją niejednokrotnie w zakłopotanie. – Dzwoniła do ciebie Tamara Solis? – zapytała po chwili, przyjmując jak najbardziej rzeczowy ton.

– Skoro dałaś jej mój numer, to dzwoniła. Masz jeszcze tam to ciastko? – zapytał, patrząc na papierek ze zgniecionym w środku ciastkiem w ręku Tycjany.

– Już chyba nie – stwierdziła, spoglądając do środka na kawałki i rozkruszony pył. – Przykro mi. Odkupię ci. Tamara była u mnie i chciała wiedzieć, czy rozpracowywałeś również męża jej matki. Tego Gopło – dodała.

– Chciała – potwierdził, zabierając jej z ręki opakowanie z okruszkami.

– I co jej powiedziałeś?

– Że go nie śledziłem – odparł, wsypując sobie zawartość z papierka prosto do ust.

– A to prawda?

– Nieprawda – poinformował, zmieniając wraz z maluchem pas ruchu. – Ale zostaw to dla siebie, jeśli mogę cię prosić.

Tycjana spojrzała na niego z niedowierzaniem. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek powierzył jej jakiś sekret.

– Możesz. Ale dlaczego mi to mówisz? – zapytała, zastanawiając się, dlaczego powiedział jej, że okłamał Tamarę.

– Bo mogę cię potrzebować.

– Aha... A teraz mnie potrzebujesz? – indagowała, wpatrując się w jadący przed nimi samochód.

– Teraz nie – odparł, śmieśnie marszcząc nos. I pierwszy raz się uśmiechnął.

– To po co z tobą jadę?

– Nie wierzę... – Pokręcił głową ze śmiechem. – Przecież sama wsiadłaś. Powiedziałbym nawet, że wtargnęłaś. Zobacz, czy nie ma tam z tyłu wody.

Odrzuciła się i podała mu butelkę. Pił łączywie.

– To co z tą Tamarą? – zapytała po chwili, pokazując na jadący przed nimi pojazd.

– Zleciła mi przyjrzenie się doktorowi od kabały. Zlecenie przyjąłem.

– To dlaczego jedziemy za Kołodziejami?

– Bo mam wcześniejsze zobowiązania – odpowiedział, wzruszając ramionami, i ku jej zaskoczeniu wyprzedził malucha, wciskając się dwa samochody przed nim.

Nic z tego nie rozumiała.

– A od kogo? – zapytała. Nina Solis przecież nie żyła.

– A od twojej ciotki.

– Żartujesz? – Spojrzała na niego, otwierając usta ze zdziwienia.

– Nie żartuję. Ona chce sprawdzić, czy ktoś nie przyczynił się do śmierci jej koleżanki. To sprawdzam. – Zerknął w lusterko wsteczne.

– I ty chcesz ją uspokoić. Żeby nie posłała do innego detektywa, który naciągnie ją na pieniądze – odgadła, przypominając sobie odbytą już kiedyś rozmowę.

– Nie. Uważam, że może mieć rację. A reszta to zboczenie zawodowe – odpowiedział, zatrzymując się na chodniku przed małym sklepem w starym bloku.

Tycjana obserwowała go w milczeniu, a on tylko na nią zerknął i zajrzał jeszcze do środka papierka, jakby szukał, czy coś tam jeszcze zostało.

– Mam ci odkupić ciastka? – Popatrzyła na sklep i na niego.

– Wysiadamy – rzucił.

Wychodząc, zobaczyła parkującego przed ich samochodem malucha.

Pojęcia nie miała, skąd wiedział, gdzie się zatrzymać.

– A jak mnie zobaczy?

– Może nie zobaczy. – Jarota chwycił ją za rękę i pociągnął w kierunku sklepu.

Stanął za otwartymi szklanymi drzwiami. Były pooklejane informacjami i reklamami, dawało się więc patrzeć przez szpary między naklejkami. Stanął bardzo blisko i zasłonił ją swoim ciałem. Dosyć sztywno utrzymując jednak niewielki dystans. Zza jego pleców i przez szybę zobaczyła Lucynę, która właśnie próbowała się wygramolić z małego auta. Na wszelki wypadek spuściła głowę, tak że czołem prawie opierała się o ramię Jaroty. Zrobiło się trochę niezręcznie, gdy zmarszczył nos i nachylił się, jakby coś szeptał jej do ucha. Nic nie mówił, ale czuła jego oddech i miała wrażenie, że słycać, jak jej bije serce. Postanowiła, że ostatni raz tak się zbliża. Jak chce coś podsłuchiwać, to niech idzie sam! Na szczęście nie zapowiadało się na długie stanie. Tomasz Kołodziej odprowadzał matkę do drzwi, ale widać było, że chce jak najszybciej wrócić do auta.

– Synu, co teraz będzie? – zapytała Lucyna, ciągnąc go za rękę.

– Nic, mamo, zachowuj się zwyczajnie. Trzeba żyć dalej.

– Ale ja z nerwów spać nie mogę.

– Nic już się na to nie poradzi. Pa.

– Ale czy coś mi grozi?

– Nic ci nie grozi. Bądź w domu. Przyjadę, ale teraz muszę lecieć. Pa – dodał, pocałował ją w policzek i zostawił stojącą przed klatką schodową.

Stała, dopóki samochód syna nie skręcił za róg. Wkrótce weszła do klatki schodowej i całe szczęście, bo ze sklepu wyszła sprzedawczyni.

– Nie migdalić mi się tu! – krzyknęła. – Piją, palą i co jeszcze będą tu robić!

– Czas pokaże! – krzyknął Jarota i chwycił Tycjanę za rękę. – Lecimy – zdecydował.

Nawet po wejściu do samochodu nie mogła się uspokoić. Na szczęście na nią nie patrzył. Starał się tak zmieniać pasy, by dogonić malucha, który zdążył już daleko odjechać.

– O co jej chodziło? – zapytała po chwili.

– Nie wiem, nie lubi ludzi całujących się pod sklepem, chyba o to chodziło?

– Ale nie o to pytam. Tylko o to, co mówiła Lucyna – odpowiedziała speszona Tycjana.

– Tego jeszcze nie wiem. – Jarota wzruszył ramionami.

Już tylko jedne światła i pasy dzieliły go od auta Tomasza Kołodzieja. Później był dłuższy odcinek, na którym mógł go dogonić albo niestety zgubić. Maluch jednak stanął przed pasami, które mógł spokojnie przejechać, co znacznie zmniejszyło dystans między nimi i pozwoliło Jarocie zdecydowanie się odprężyć. Okazało się, że Tomasz Kołodziej szarmancko przepuścił dwie roześmiane kobiety zbliżające się do pasów. Powoli kroczyły tuż przed maluchem, pokazując go sobie palcami i chichocząc jak nastolatki. Gdy zeszyły z drogi, właściciel auta przygazował demonstracyjnie, by jeszcze raz obejrzały się za nim.

– Angelina jest nadal podejrzana? – zapytała Tycjana najbardziej obojętnym tonem, na jaki było ją stać. Miała przecucie, że zły humor siostry da się bezpośrednio połączyć z wyglądem i nastrojem Jaroty. Musieli powiedzieć sobie coś, co się obojgu nie spodobało.

– Nie. Raczej nie jest o nic podejrzana, choć policja nie zamknęła jeszcze śledztwa. Są jednak przeświadczeni, że nie było w tym wypadku udziału osób trzecich. Nie znaleziono śladów przemocy. Nie znaleziono żadnych obcych odcisków palców na górze. A na parterze żadnych, których nie dałoby się zidentyfikować. Angelina była tylko na parterze. Poza tym rodzina, o czym wszyscy z rodziny wiedzą. I jeszcze notariusz, o czym oni na razie nie wiedzą.

– A kto wie?

– Notariusz, policja i teraz ty.

– Ja? – Tycjanę po raz kolejny zdziwiło to niezrozumiałe wyróżnienie. – To jak ona zmarła? – zapytała po chwili.

– Ucierpiała od upadku, który skończył się niebezpiecznym wewnętrznym wylewem. Doszło do niego w nocy. I to była bezpośrednia przyczyna śmierci. Są ślady krwi na kancie łóżka. Musiała wstać po coś. Podobno zawsze to robiła, ale teraz miała nogę w gipsie, niefortunnie stąpnęła, zachwiała się, kto wie? Przynajmniej tak podejrzewają. Potem tylko doczłapała do schodów, najprawdopodobniej nad ranem, spadła z nich, rozcięła skroń. Stąd tyle krwi. Ale nie to było przyczyną jej śmierci, tylko ten wcześniejszy wylew.

– To dlatego Angelinę wykluczyli.

– Tak. Gdy spięła włosy i trochę się ogarnęła, kobieta, którą spotkała na ulicy przed dziesiątą, rozpoznała ją.

– Mogli zapytać nas. Przecież ja wiedziałam, że była całą noc w domu.

– A była?

– Jak możesz pytać?

– Z przyzwyczajenia. – Wzruszył ramionami.

Nie zamierzała już pytać dalej o siostrę.

– To co ty podejrzewasz? – zapytała po chwili.

– Jeszcze nie wiem.

– Ale kogo?

– Na razie nikogo ostatecznie i po trochu wszystkich. To mógł być każdy. Prawie każdy ma alibi, ale za dużo tu przypadków – stwierdził Jarota. – Przypadkiem była sama. Ta Aldonka, która miała z nią być, rzuciła pracę właśnie tego dnia. Podobno się pokłócili.

– Może miała randkę? – Tycjana powiedziała to, co zasugerowała Tamara.

– Kto wie? Poza tym mąż akurat wyjechał.

– A to wygodne...

– Bardzo... – potwierdził, marszcząc czoło.

– Podejrzewasz go?

– Nie było go tam... – powiedział Jarota, rozkładając ręce. – Nie wiem, jak mógłby to zrobić. Może jeszcze na to nie wpadłem, a może to nie on. Poza tym monitoring nie zadziałał. Kamery zachłapano

blotem. Wcześniej gaz się ulatniał, czajnik się spalił... Noga w gipsie. Niby wszystko takie zwyczajne... Ale coś mi się tu nie podoba. Jak mówiłem, dla mnie za dużo tych zbiegów okoliczności. A skoro sama śmiertelnie poszkodowana uważała, że ktoś chce się jej pozbyć, to warto się temu przyrzec – powiedział, skręcając w wąską uliczkę na tyłach opery.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że to ty zbierałaś dla Niny Solis te informacje o jej rodzinie? Wiesz przecież, że przeczytałam to wszystko, zanim przekazałam Angelinie. – Dawno już chciała o to zapytać. Był to dość poważnym i rzeczowym nastroju. Była więc szansa, że jej nie zbędzie.

– Nie pytałaś – odpowiedział jednak swoim zwyczajem.

Było to słabe wytłumaczenie, ale robienie mu wymówek nie mniej dziecinne. Zrezygnowała.

– To kto mógł to zrobić? Kto ją zabił? – zapytała konkretnie. – Tak z twojego doświadczenia. Kogo podejrzewasz?

– Ktoś, kto miał z tego korzyść. To z reguły najlepsze wytłumaczenie.

– Dlatego jedziemy za tym Kołodziejem? – zdziwiła się. – Podejrzewasz go?

Jarota nie odpowiedział. Niespodziewanie skręcili. Następną ulicą była ślepa. Zatrzymał się prawie przy samym wlocie, na jednym z pierwszych wolnych miejsc. Spojrzał na nazwę ulicy, po czym szybko wpisał ją do telefonu. Prychnął, kręcąc głową.

– Nie. – Zaśmiał się, odkładając telefon. – To leszczyk taki. Naiwny. Sprawdzam go z innego powodu. I zobacz. Pudło – powiedział.

W głębi parkingu stał duży złoty lexus. Wysiadła z niego Tamara Solis. Wyraźnie czekała na Tomasa Kołodzieja. Podeszła do niego i razem poszli w kierunku bramy, z której właśnie wyszła kobieta w zaawansowanej ciąży.

– Dlaczego pudło? Myślałaś, że ją zdradza? – zapytała Tycjana, nie rozumiejąc sytuacji.

– Nie sądzę, że to on ją zdradza.

– A wiesz, że on ma już trójkę dzieci? Każde z inną.

– Wiem – odpowiedział Jarota i gdy tylko zamknęła się furka domu, w którym przyjmował ginekolog, odpalił silnik i zaczął się wycofywać z ulicy.

– Biedne kobiety – skwitowała Tycjana.

– Uwierz mi, żadna z nich nie jest biedna. – Jarota się zaśmiał, wyjeżdżając ze ślepej uliczki.

Aldona

JAROTA NIE CZEKAŁ, AŻ PARA WYJDZIE OD GINEKOLOGA. Podjechał tylko pod szyld i zawrócił. Zaproponował Tycjanie odwiezienie pod sam dom. Nie wiedziała, czy chce się jej pozbyć, czy zataić dalsze działania. A może rzeczywiście zakończył obserwowanie Tomasza Kołodzieja. Po drodze dość lakonicznie wyjaśnił sytuację poczwórnego wkrótce ojca. Tomasz Kołodziej miał bardzo sprecyzowany gust, jeśli chodzi o kobiety. Wszystkie były majątne, na wysokich stanowiskach i w wieku, kiedy to zegar biologiczny zaczyna tykać z intensywną częstotliwością. Jedna była zamężna, tylko bezdzietna, mąż natychmiast dziecko usynowił. Pozostałe dwie były na tyle mądre i obeznane z rzeczywistością, że nie spodziewały się po nim zbyt wiele i, zdaje się, tego nie oczekiwały. Mężczyźni gdzieś po drodze w życiu zawiedli, więc bez większych złudzeń zdecydowały się na ładne dziecko z przynajmniej miłym chłopakiem.

– A gdyby się zakochały? – zapytała Tycjana.

– Gorzej, jak on by się zakochał – odpowiedział Jarota z cynicznym uśmiechem. – Co ma robić pani analityczka giełdowa wielkiego funduszu inwestycyjnego, sędzia sądu wojewódzkiego, członek zarządu wielkiej firmy farmaceutycznej z... trochę piekarzem, trochę drukarzem, a najdłużej to sprzedawcą kłapek na termach maltańskich? Pospotyka się, ale nie porozmawia dłużej. Najwyżej zorganizuje wyjazd z tatą na narty albo wakacje w Egipcie. Sama też pojedzie i poczyta gazetę, jak ojciec się będzie bawił na zjeżdżalni.

– A dzieci? – zapytała bezradnie Tycjana.

– Przecież mówiłem, że się z nimi bawi. – Jarota wzruszył ramionami. – I czy mają gorzej od tych, których rodzice warczą na siebie od rana albo rozwodzą się w sposób tak obrzydliwy, że już rozmawiać z sobą nie mogą?

Tycjana nie była w zbyt polemicznym nastroju. Tak oceniał Jarota. Sama nie wiedziała, co myśleć. Pozostałych kobiet nie знаła, ale to wszystko trochę pasowało do Tamary, nie znalazła argumentów, żeby zaprzeczyć. Minęli lodziarnię na Kościelnej, przed którą ciągnęła się kolejka, i za chwilę miała być w domu.

– Wejdiesz? – zapytała.

– Nie – odpowiedział zdecydowanie.

– Ale Angelina jest... Nie wiem, co wydarzyło się na tej komendzie. Może odżyły jakieś niedobre wspomnienia...

– Wiem tylko, że przesłuchujący ją policjant do tej pory nie wie, czy został obrażony czy nie. – Zaśmiała się szczerze. – Pewnie jeszcze rozmyśla, czy z niego drwiła, czy go podrywała – dodał, o dziwo z rozbawieniem.

– Mogę sobie to wyobrazić. – Tycjana pokiwała głową. – Ale czy wiesz coś o tej sprawie sprzed lat? Kogo ona tak pobiła... Z tym ciężkim obrażeniem ciała... Nie daje mi to spokoju.

– Niewiele się dowiedziałem. Z tego, co udało mi się ustalić, to poszkodowanemu raczej się należało.

– Naprawdę?! – ucieszyła się Tycjana.

– Tak przypuszczam.

– Ale pobiła go? – zapytała już z ciekawością.

Jarota śmiesznie zmarszczył nos i wyduł usta, kiwając głową jakby z uznaniem.

– Powiedzmy, że jego ciężki uszczerbek na zdrowiu był... nie taki ciężki. Miała tylko pecha.

– Pecha?

– Poważnego. Wiem coś o tym. Ale lepiej będzie, jak ci sama powie – zaproponował, kończąc temat. Wjechał w ulicę prowadzącą do ich domu.

– Tylko że ona nie chce rozmawiać. Naprawdę jest przybita – pożaliła się jeszcze Tycjana.

Jarota lekceważąco wzruszył ramionami.

– Przecież wiesz, że to taki typ, który nie rozpacza zbyt długo. Wystarczy, że zajmie się czymś, co ją interesuje albo na czym jej zależy. I zapomni bardzo szybko.

– Chyba na tobie jej zależy – powiedziała Tycjana, przełykając ślinę i udając, że patrzy na panią z pieskiem przechodzącą na pasach.

– Nie. Nie na mnie. – Jarota sprawdził, czy w wyrzuconym papierku nie ma jednak jakichś okruszków.

– Skąd wiesz?

– Bo wiem! Ja jestem atrakcyjny, jak mnie nie ma. Poza tym naprawdę nie mam czasu na odwiedziny – stwierdził, wjeżdżając już na plac Spiski. – Przypomnij sobie, co ją ostatnio tak naprawdę zafascynowało, a potem przypomnij to jej. Myślę, że wystarczy.

– Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to ta sztuka – myślała głośno. – I Kacper Solis...

– I już masz! – ucieszył się. – To nawet dobry pomysł.

– Jaki pomysł? – zdziwiła się. Nie sądziła, że coś wymyśliła. – Co mam zrobić?

– Porozmawiać z autorem i zachęcić do współpracy. Znacie się już, a pod dom Solisów mogę cię powieźć nawet teraz... Chcesz?

Przytaknęła, choć niepewnie. Przede wszystkim dlatego, że nie chciała jeszcze wysiadać ani wracać do domu, potem pukać w zamknięte drzwi i na dokładkę przejmować się tym, że Lina nie otwiera. Było jeszcze tak pięknie. Momentami zrywał się wiatr i szumiał w gałęziach drzew, niebo jednak miało ciągle kolor lazuru przecinanego smugami rozmytych chmur. Gdzieś w oddali czysty błękit stawał się bardziej błękitem paryskim, ale burze i przelotne deszcze zapowiadano dopiero pod wieczór. Pomyślała, że najwyższe wróci spacerem przez mostek nad stawami, to tylko z piętnaście minut.

Z Jarotą już nie porozmawiała, bo odebrał jakiś telefon. Więcej słuchał, niż mówił, a efekt był taki, że pożegnał się pospiesznie, informując zdawkowo, że będzie w kontakcie. Poprosiła, żeby wysadził ją ulicę wcześniej. Tak zrobił. Nie miała planu i nie była pewna, czy w ogóle będzie pukać do domku w ogrodzie.

Szła niespiesznie pod dom Solisów chodnikiem po przeciwnej stronie ulicy. Udając, że ogląda przydomowe ogródki. Gdy tylko zobaczyła podjeżdżający samochód, natychmiast schowała się za parkujące na jezdni auto. Z okazałych rozmiarów pojazdu wysiadł Wiktor Solis, długo rozglądał się wokół, po czym otworzył drzwi pasażera. Ukazała się dziewczyna w ołówkowej sukience, rogowych okularach i rudych lokach. Też się nerwowo oglądała. Tycjana skuliła się bardziej. W końcu kucnęła, strasząc grubego czarnego kota, który przemknął jej pod nogami. O mało sama nie zapiszczała.

– Myślisz, Aldonko, że to jest dobry pomysł? – Wiktor nerwowo wstukiwał kod w metalowej furcie ze słonecznym szlaczkiem.

– A gdzie mam się podziać, skoro twoja żona zna mój adres i czeka pod moim blokiem! – syknęła dziewczyna. – Ja tam mam sąsiadów! Ja tam mieszkam.

– Tak, tak, rozumiem – odpowiedział pospiesznie.

– Ciekawe, kto jej powiedział.

– Jesteś legalnie zatrudniona... w firmie... Pewnie zajrzała...

– Nie kłam! – przerwała mu. – Sam jej powiedziałeś. Przyznaj się! W papierach podałam inny adres! – wykrzyknęła.

– Ach tak. Nie wiedziałem... – Chwycił się za brodę.

– Otworzysz w końcu czy nie?! – warknęła dziewczyna, potrząsając rudymi kędziorami. – Zaraz ktoś z sąsiadów mnie zobaczy.

Tycjana skuliła się jeszcze bardziej.

– Tak. Tak – powtórzył, po raz kolejny wstukując kod. Wyraźnie bez sukcesu. Furtka się nie otwierała. Bezradnie szarpnęła za klamkę. Nic to nie dało.

– Do hotelu nie pójde! Z torebką mam pójść jako kto? Jak myślisz? – Chwyciła się pod boki. – Miałeś jej powiedzieć już dawno temu!

– Tak. Tak. Nie wiem, chyba coś się popsło – stwierdził, rozglądając się dookoła, jakby szukał ratunku. – Nie wiem, co się stało.

– Twój brat zmienił kod – oznajmiła, z politowaniem kręcąc głową.

– Racja! – wykrzyknął Wiktor i palnął się w czoło. – Jego dzień urodzin. Na pewno. Mówił mi – powiedział z ulgą i rozglądając się to w lewo, to w prawo, wstukał cyfry.

– Komuś jeszcze mówił? – zapytała, wciąż trzymając się pod boki.

– Izabella nie ma pojęcia, kiedy są moje urodziny, a co dopiero jego – oświadczył radośnie, otwierając furtkę.

– Mam nadzieję – prychnęła Aldonka.
– Nie, nie. Tutaj nie przyjedzie – przekonywał sam siebie. – Nie będzie chciała się widzieć z resztą. Przede wszystkim z Tamarą. Poradzisz sobie już? Tak? – zapytał, przepuszczając ją w wejściu.

– Raczej – odparła z nadąsaną miną.

– To ja jadę pod twoje mieszkanie – oświadczył, głośno wypuszczając powietrze z płuc.

Aldonka odwróciła się i zrobiła krok w jego stronę.

– Czyli chcesz się jednak zdradzić, że dobrze wiesz, gdzie mieszkam, tak? Chcesz ją jeszcze bardziej rozjuszyć?! Chcesz awantury na oczach sześcioro klatek schodowych. Na pewno? – zapytała, wysuwając długą chudą szyję w jego kierunku.

Tycjana miała wrażenie, że jak kobra przed atakiem.

– To co mam robić? Zostać tu z tobą? – zapytał zdezorientowany.

– Jasne, że nie! Jedź do domu i tam na nią czekaj! Przynajmniej będziesz u siebie! Na swoim terenie. Będziesz wiedział, gdzie uciekać i gdzie się chować – prychnęła i odwróciła się na pięcie, zatraskując za sobą furtkę.

Wiktor chwilę postął pod zamkniętymi drzwiami, w końcu wziął kilka głębokich oddechów, postukał się pięścią w klatkę piersiową, wznosił oczy do nieba, po czym wsiadł do auta i odjechał. Tycjana już miała wyjść zza samochodu, za którym się ukryła, ale się wstrzymała. I miała rację. Gdy tylko SUV Wiktora zniknął za rogiem, pod ten sam adres podjechała taksówka. Czekala, zastanawiając się, kogo zobaczy. Z taksówki wysiadł znany jej już doktor Gopło. Też się rozejrzył, po czym przegarnął palcami fale siwiejących na skroniach włosów i zadzwonił przyciskiem w bramie.

Aldonka, która nie mogła za daleko odejść, pojawiła się po chwili. Otworzyła z zaciętą miną, ale uśmiechnęła się na widok nowo przybyłego gościa.

– Dzień dobry – powiedziała, kiwając głową, i wpuściła go do środka.

Stanowczo za dużo się działo, by Tycjana odważyła się zadzwonić do tej samej furtki i pytać o lokatora z ogródka. Mogła też użyć telefonu, miała numer do Kacpra Solisa, ale nie uśmiechało jej się paradowanie ogrodową ścieżką przed nosem tejże Aldonki, która na pewno o jej wizycie powie Wiktorowi. A on reszcie. I znowu ktoś będzie pytał, co tam robiła. Co gorsza mogła trafić w sam środek jakiejś kolejnej awantury, już raz widziała Aleksa wypraszającego doktora Gopło spod furtki. Mimo że się z nim całowała w przedszkolu, teraz wolała go nie spotkać. Widok małżonka matki w ich domu mógł go rozjuszyć. Postanowiła wrócić do siebie i spróbować rozebrać to inaczej. Tym bardziej że zadzwoniła Józefina, skarżąc się, że nie ma kontaktu z Liną, która zamknęła się w pokoju i nie chce z niego wychodzić. Bardzo się tym martwiła, ponieważ od stukania miotłą w sufit boli ją ręka i na dobitkę odpadła farba. Tycjana długo musiała jej perswadować, żeby przestała. Zapewniła ją, że wieczorem Lina będzie u niej w ogródku. Pomyślała, że Jarota może mieć rację. Cokolwiek wydarzyło się w komisariacie, jakiegokolwiek wspomnienia ożyły, teraz jest w domu i powinna znowu się czymś zająć. Lubiła pracować. Bez wątplenia była zachwycona tą sztuką. Prawdopodobnie nie bez powodu uratowała treść rękopisu. Były to wystarczające argumenty, by odszukać Solisa i poważnie o tym z nim porozmawiać.

Minęła położony nad sołackim stawem hotel Meridian i rozmyślając o roli przypadku w sztuce, zbliżała się powoli do drewnianego mostka. Niebo dosyć raptownie spochmurniało i nieoczekiwanie błękit paryski zmieniał się w pruski, a potem atramentowy, ale burza była jeszcze gdzieś daleko, a promienie słońca znajdowały ciasne luki, by od czasu do czasu paść na ziemię. Zatrzymała się na chwilę, zsunęła z nosa okulary słoneczne, podziwiając refleksy na wodzie i kolor zieleni w zmieniającym się oświetleniu, gdy jej wzrok zatrzymał się na trawie przy wierzbie płaczącej. Rosła dosyć daleko od ścieżek i ławeczek. Miejsce było osłonięte przez krzaki i kładące się prawie na ziemi gałęzie. Dobrze było je widać akurat z mostka, na którym stała. I wtedy to zobaczyła: niewielką samotną postać tuż nad brzegiem stawu. Patrzyła, coraz bardziej wyciągając szyję, i po chwili była już pewna, że nie patrzy na dziecko, choć postać była bardzo niewielkiego wzrostu. Rozpoznała lekkie przygarbienie, powolne ruchy, kolor włosów... Po chwili była już pewna, że widzi Kacpra Solisa. Odłożył jakąś książkę, nachylił się i ściągał but. Nie czekała już i zbiegła z mostka. Ruszyła pędem w jego kierunku po trawie wzdłuż stawu. Musiała omijać zagradzające drogę krzaki. Traciła go z oczu. Gdy go w końcu zobaczyła, dojrzała, jak odstawia drugi but na bok, chodzi boso po trawie, kręcąc się w kółko, po czym idzie w kierunku wody. Podciągnęła długą sukienkę i biegła, trzymając ją w rękach. Biegła ile sił w nogach.

– Niech pan tego nie robi! – krzyknęła, widząc, jak Kacper Solis zbliża się do wody. Dzielił ją jednak jeszcze od niego spory dystans, on się nie obejrzał. Za to obejrzało się kilka osób. Rowerzysta na

ścieżce zatrzymał rower, kobieta z wózkiem przystanąła. Nie widziała ich. Patrzyła tylko na postać bez butów drepczącą przed siebie. – Proszę! Niech pan się zatrzyma! – krzyknęła raz jeszcze.

Kacper Solis chyba coś usłyszał, stanął i zaczął się rozglądać. Tycjana potknęła się i ledwo złapała równowagę, sandał zsunął jej się z nogi. Rowerzysta jechał po trawie w ich kierunku, kobieta z wózkiem też skręciła, z wysiłkiem pchając kółka po nierównej powierzchni. Tycjana puściła podciągniętą sukienkę. Dopadła Kacpra Solisa i chwyciła go za ramiona, szarpnęła, o mało go nie wywróciła, długa sukienka ograniczyła jej ostatni krok. Zachwiali się oboje i przewrócili na trawę.

– Co pani robi! – krzyknął przestraszony Kacper Solis, wstając i otrzepując się.

– Nie wiem – wysapała zziębnięta Tycjana, łapiąc oddech. – Chyba pana ratuję – dodała i powoli zaczęła się podnosić.

– Ale przed czym? – zapytał, poprawiając rękawy koszuli.

– Coś pomóc? – wtrącił się rowerzysta, który wyrwijąc kępki trawy, z impetem zaparkował obok nich.

Kobieta z wózkiem zatrzymała się, patrząc z ciekawością, wyjrzało nawet dziecko z lizakiem w rękę.

– Jeszcze nie wiem – odparł Kacper Solis, patrząc na Tycjanę, która dopiero teraz dostrzegła rozłożony obok kocyk w zieloną kratę i słomkowy koszyk piknikowy.

– Widziałem, jak ta pani na pana napadła, mogę być świadkiem – zadeklarował rowerzysta. – Zrobiła coś panu? Źle jej z oczu patrzy – skwitował, gapiąc się na jej podbite oko.

– Przepraszam, myślałam... – zaczęła tłumaczyć. – Pan zdjął buty, szedł w kierunku wody... I ja. Ja... Ja chyba to opacznie zrozumiałam – wyjaśniała, robiąc krok do tyłu.

Rowerzysta jej się przyglądał, nasunęła więc okulary, wyrwijając sobie kilka włosów.

– Chciałem pochodzić boso po trawie. Nie wolno? – zapytał Kacper Solis.

– Nie powinno się – odezwała się kobieta, wykręcając wózek z powrotem w kierunku ścieżki rowerowej. – Tu wszędzie są kleszcze – dodała.

– Siusiuuu – krzyknęło dziecko, czym przykuło uwagę matki.

– Wszystko w porządku? – zapytał jeszcze rowerzysta.

– Znam tę panią – odpowiedział Kacper.

– Mój kolega też znał żonę... Teraz na L4 siedzi. A jest większy od pana.

– Poradzę sobie – zapewnił Kacper Solis, wypinając pierś. – Znam sztuki walki – dodał.

Rowerzysta popatrzył na Tycjanę.

– Mam tu jeszcze parę kółek do zrobienia. Będę miał pana na oku – dodał i pojechał, oglądając się za siebie.

– Przepraszam, myślałam... – zaczęła Tycjana, gdy zostali już sami. Nie miała siły stać. Usiadła na trawie.

– Wiem, co pani myślała. – Kacper Solis usiadł na rozłożonym kocu.

– Szukałam pana, a potem widzę... źle to zinterpretowałam – wyjaśniała zawstydzona. – Nie wiem, co mi strzeliło do głowy.

– Skoro mnie pani znalazła, to proszę usiąść. – Kacper Solis chwilę na nią patrzył, po czym wskazał miejsce na kocu. – Jak się pani domyśla, bolała mnie głowa. Sporo wczoraj wypilem. Nie jestem przyzwyczajony albo już odwykłem. – Uśmiechnął się krzywo, przykładając dłoń do czoła.

– Nie dziwię się.

– I nie chciałem być w domu, ale to już inna sprawa. Przyszedłem tu posiedzieć. Porozmyślać. – Popatrzył na leżącą obok książkę. Tycjana przesiadła się na koc. W tym momencie zaświeciło słońce i zaiskrzyły złote litery tytułu na oprawionej w skórę okładce. – Póki ładna pogoda – dodał.

Przeczytała złocący się tytuł: PAMIĘTNIK KARŁA.

Józef

TYCJANA PRZEPROSIŁA JESZCZE PARĘ RAZY, choć to już nie było konieczne. Wzburzenie, jakie wywołała nagłym atakiem na Kacpra Solisa, minęło. Nikt już nie zwracał uwagi na siedzącą pod drzewem parę. A sam zaatakowany miał pogodną minę, choć po bliższych oględzinach widziała dość przekrwione oczy, opuchnięte powieki i zaczerwienione policzki. Mimo to wydawał się bardziej spokojny i pogodzony. Nie miała już też żadnych wątpliwości: nie zamierzał się topić. Rzeczywiście przyszedł posiedzieć na trawie, a nie zanurzyć się pod wodę. W piknikowym koszyku miał kanapki w folii aluminiowej, mały termos z kawą i dużą butlę z wodą. Na kocu w zieloną kratę leżała książka. Książka, na którą nie sposób było nie patrzeć. Na okładce mieniły się wyłożony tytuł oraz firmowy emblemat firmy Solis – Słońce otoczone promieniami i wpisany w okrąg Księżyc. Krawędzie obwodził szlaczek z powtarzających się maleńkich słoneczek. Okładka była niezwykle piękna, a tytuł, szczególnie w bezpośredniej bliskości właściciela książki, wyjątkowo intrygujący. Nawet jeśli już go znała.

– *Pamiętnik Karla*, czyli wspomnienia samego Boruwlaskiego – oświadczył Kacper Solis, unosząc podbródek. – Proszę – dodał, podając Tycjanie książkę. – Jak się pani domyśla, oprawa współczesna. Ale w środku oryginalne angielskie wydanie z tysiąc osiemset dwudziestego roku.

Tycjana zdjęła z nosa okulary słoneczne.

– Drzwi – wyjaśniła, widząc, jak patrzy na jej oko, spod którego już pewnie osypał się puder. – Dostałam drzwiami. Już pan widział, ale przypominam...

– Pamiętam. Ja zwykle dostaję klamkę. – Pokiwał głową. – Czasami w oko, a czasami w czoło. Zależy od wysokości klamki – dodał, rozkładając ręce.

Tycjana uśmiechnęła się. Wzięła książkę. Długo się jej przyglądała, wążąc ją w rękach. Tak, żeby poczuć jej ciężar. Przypomniła jej się ojciec, pracownik bibliotek całe życie obcujący ze starodrukami. Zawsze tak robił, gdy brał jakiś cenny egzemplarz do ręki. Waga oczywiście nie miała znaczenia, prawdopodobnie celebrował moment, który miał nastąpić później. Uwielbiała stare książki i tak jak on nie chciała otwierać jej od razu. Najpierw pogładziła palcami pergamin, później wklęsłości, jakie tworzyły włożone złote litery.

– Tak – stwierdziła, oglądając grzbiet z bardzo bliska. Gdy na niego patrzyła, na chwilę słońce znów wyłoniło się zza chmur, aż zaiskrzyło. Prawdziwe płatki złota – pomyślała, patrząc pod światło. – Pięknie wykonane – powiedziała już głośno.

– To trzeba Ninie przyznać. Wiedziała, w czyje ręce ją oddać. Postarała się. – Opuścił głowę, po czym znalazł na brzegu zielonej kratki prującą się nitkę. Zaczął ją skubać. – Poza tym oryginalnego wydania z tego roku nie posiadałem. Powinienem to docenić.

– Słyszałam, że miał ją pan dostać. – Tycjana przypomniała sobie utyskiwania Józefiny na niesprawiedliwy podział majątku, który zarządziła Nina. Kacper Solis miał otrzymać książkę w spadku. Uzmówiła sobie, że zawsze chodziło o tę właśnie.

– Zapowiedziała to na swoich urodzinach. Cóż! Widocznie na tyle zasłużyłem. Rodzeństwo już mi ją dało, martwiąc się, że Gopło i to zabierze. Podobno była w pokoju przy jej łóżku. Do samego końca – powiedział i zamilkł. – Ciągłe nie mogę uwierzyć, że zmarła pierwsza. I mówię to ja – dodał po chwili, patrząc na staw.

– Straszny wypadek.

– Co najmniej niezrozumiały – stwierdził Kacper Solis i znów się zamyślił. – Słyszała pani?

– Słyszałam, że wstawała w nocy z łóżka i się niefortunnie przewróciła.

– Podobno.

– A po co wstawała w nocy?

– Dlaczego miała taki rwany sen, to nie wiem, ale wiem, że ukradkiem paliła papierosy. I jak nie mogła zasnąć, to schodziła do kuchni, parzyła jakieś ziółka, a przy okazji wypalała jednego albo dwa i wracała do łóżka. Dzieci nie pozwalały jej palić i ten jej małżonek też. Robiła to w ukryciu.

– Tak, ale chyba nie udało jej się zejść. Dopiero nad ranem...

– Z tym, że ta noc była inna – powiedział w zamyśleniu. – Według mnie nie poszła spać wcale albo bardzo późno. Światło paliło się długo w noc. Poszedłem nawet sprawdzić, czy wszystko w porządku. Wiedziałem, że jest sama. Mam klucz do jej domu. Ale tylko krzyknęła z góry, żebym sobie poszedł, że później ze mną porozmawia.

– Mówił pan o tym komuś?

– Tak, policji, rodzeństwu...

– Czy oni kogoś podejrzewają?

– Dopóki się nie okaże, co jest w testamencie, nikomu się nie oplaca przeciągać sprawy. Później może być różnie – powiedział. – Może gdybym był bardziej natarczywy... – dodał. – Cóż, nie byłem.

– A ten Gopło kim właściwie jest? – zapytała Tycjana, żeby przerwać dłużącą się ciszę. – Tak pytam, z ciekawości – dodała.

– Zdaje się następnym właścicielem domu Solisów. – Wzruszył ramionami. – Nie tylko domu oczywiście, może i większości firmy, tego nie wiem, mogę tylko przypuszczać. Ale na pewno całej posesji i to mnie dotyczy najbardziej. Jak pani wie, ogród jest na tej samej działce. Nie mam złudzeń. Bez sentymentu się ze mną rozstanie. Wyrzuca wszystko, co stare. Też się kwalifikuję do takiej selekcji.

– Nie jest pan taki stary. – Tycjana się zaśmiała. – Gopło jest chyba znacznie starszy?

– Ale też znacznie przystojniejszy. – Z kolei zaśmiał się Kacper Solis. – Oprócz tego bardzo się różni. On, jak tylko wprowadził się do Niny, zarządził remont. Żadnych antyków. Żadnych staroci. Żadnej historii. Tylko teraźniejszość. Przekonał do tego Ninę. Wyrzuciła z domu przedmioty, które były z nią prawie pół wieku. Serce mi się krajało.

– I co z nimi zrobił?

– Pojęcia nie mam. Trzeba by było zapytać Hermesa Janickiego, antykwarusza. On powinien wiedzieć. A Gopło wstawił wszystko, co nowoczesne i podobno z lepszą energią.

– Jak mu się to udało?

– Bardzo prosto, rozkochał ją w sobie. Ciągle jej powtarzał, że ma moc. Co nie było trudne, bo Nina i tak ją miała. Muszę pani powiedzieć, że zawsze ją za to podziwiałem. Niezwykła kobieta, ze zmysłem do strategii zaplanowanej w najdrobniejszych szczegółach. – Pokiwał głową z uznaniem. – Potrafiła dobrze wpływać na ludzi. Od kiedy się pojawiła, poprawiły się moje relacje z ojcem. A gdy on zmarł, dalej było między nami dobrze. Potrafiłiśmy całymi wieczorami przesiadywać u mnie albo u niej. Rozmawiać o wszystkim. Oczywiście do czasu, kiedy pojawił się on. Nie było już dla mnie miejsca. Zaczęła zachowywać się tak, że jej nie poznawałem. Jak rozhisteryzowana nastolatka. Zaczęła wszystkim robić na złość. Nawet obróciła się przeciwko swoim dzieciom. Pewnie dlatego, że go nie polubiły. Najbardziej najmłodszy Aleks, Wiktor oczywiście też. Może tylko Tamara próbowała się z nim dogadać, widziałem, jak parę razy rozmawiali. Ale chyba bez rezultatu. Ja też go nie lubię, i raczej z wzajemnością. Teraz będę patrzył, jak wyrzuca mnie z domu.

– Postępowanie spadkowe może trwać latami – próbowała go pocieszyć Tycjana.

– Rodzina przeciągnie to, jak długo się da, nie mam wątpliwości, ale w końcu to nastąpi. Istnieje jeszcze szansa, że nie doczekam. – Znowu popatrzył na staw i zakole, pod które przyplłynął łabędź i zatrzepotał potężnymi skrzydłami.

Nie wiedziała, czy patrzy na „ostateczne rozwiązanie”, czy zwyczajnie podziwia łabędzia. Po tym, jak się na niego rzuciła, teraz wołała nie pytać.

– Niech pan tak nie mówi. – Otworzyła książkę i szybko zmieniła temat. – O, tytuł jest inny. *Memoirs of Count Boruwlaski* – przeczytała, patrząc na rycinę obok strony tytułowej. Przedstawiała mężczyznę w angielskim stroju o wesołych, żywych oczach, kędzierzawej czuprynie, który wyciągał palec wskazujący, jakby coś właśnie opowiadał i na coś chciał zwrócić uwagę.

– Tak, to drugie wydanie pamiętników Boruwlaskiego – przytaknęła Kacper Solis, znowu pogodniejąc. – Ma już inny tytuł.

– A pierwsze kiedy się ukazało? – zapytała, przewracając kolejne kartki. Jedna za drugą.

– Trzydzieści lat wcześniej – wyjaśnił. – W tysiąc siedemset osiemdziesiątym ósmym. Od razu dwujęzyczne – oświadczył z dumą. – Bestseller w tamtym czasie. Ukazało się po angielsku i po francusku. Później po niemiecku. Tam tytuł w tłumaczeniu na polski brzmiał mniej więcej tak. – Uniósł palec jak postać z ryciny, teatralnie zadarł brodę i recytował, z uśmiechem patrząc w niebo: – *Wspomnienia słynnego Karła celebryty tamtych czasów. Polskiego szlachcica. Zawierające w sobie i ciekawą opowieść o jego narodzinach, wychowaniu, małżeństwie i podróżach. Przez niego samego spisane.* – Lekkość,

z jaką przywołał z pamięci kilka linijek tekstu, świadczyła o tym, że od lat powtarzał ten tytuł. – Ale wtedy, gdy spisywał swe wspomnienia po raz pierwszy, był zmierzch wykwintego rokoka. Co za czasy – dodał, spoglądając na niebo. – Miał jednak trochę szczęścia, że nie urodził się wcześniej.

– Dlaczego? – Tycjana zamknęła książkę. Znała francuski, ale nie mogła się teraz skupić. Poza tym trochę niegrzecznie byłoby czytać, gdy ktoś obok mówił. Usiadła wygodniej. Wyciągnęła przed siebie nogi i podparła się ręką. Mina Kacpra Solisa też zapowiadała ciekawą opowieść. Zamierzała mu teraz pozwolić mówić i nie przerywać. Tylko dopytywać, by dowiedzieć się jak najwięcej.

– Bo w baroku dworskie karły zwane niziołkami, łokietkami, niedorostkami – rozprawiał Kacper z miną znawcy, w co nie mogła wątpić – wyglądały, jak chciały. Liczył się niskawy wzrost, a nie uroda. Bardziej spryt niż inteligencja. Rubasność, nie elegancja. Natomiast w epoce wykwinnych salonów tak spektakularny sukces towarzyski mógł odnieść tylko on, Józef Boruwlaski. – Pokazał palcem na pamiętnik. – Dlatego w pierwszym wydaniu zaznaczył, że jest jedynym i niepowtarzalnym karłem celebrytą. Mógł nim być, bo miał szczęście w swym nieszczęściu. Był przede wszystkim wyjątkowo proporcjonalnie zbudowany. Mówię: przede wszystkim, bo od tego się zaczęło.

– To tak jak pan – stwierdziła Tycjana.

– Tak, łączą nas podobne przyczyny niskiego wzrostu, ale wolałbym nad tym się teraz nie rozwodzić. Poza tym jestem wyższy.

– Oczywiście – przytaknęła w momencie, gdy oboje spostrzegli turlającą się w kierunku koca kolorową piłeczkę.

Za piłką prawie pod sam koc podbiegła mała dziewczynka. Złapała ją w obie ręce, a na widok Kacpra otworzyła oczy z wrażenia.

– Mama! Mama! Patrz, krasnal! – krzyknęła, uciekając z piłką w rękach.

Tycjana zamarła. Nie wiedziała, co powiedzieć i jak się zachować.

– Dzieci mi nie przeszkadzają – oznajmił, jakby chciał ją wyręczyć w czymkolwiek, co próbowała powiedzieć. – Dorośli są gorsi – dodał.

Matka, dobiegłszy do małej, chwyciła ją za rękę i mało nie wyrwała jej ze stawu, ciągnąc ją w swoją stronę. Dziewczynka chciała się obejrzeć, a kobieta na siłę odwracała jej głowę. Jakby chciała ją ustrzec przed samym widokiem.

– Tak – chrząknął Kacper, już na nią nie patrząc. – Boruwlaski był ode mnie ładniejszy i szczuplejszy, nie miał w sobie nic z krasnala. – Zaśmiał się, patrząc na guziki koszuli, która napinała się na brzuchu. – Chyba przytyłem ostatnio i dobrze się dziecku skojarzyłem – dodał. – Wracając. Nasz celebryta odebrał staranne jak na swe czasy wykształcenie. Trafił pod skrzydła zamożnej rodziny. Miał poza tym ujmującą powierzchowność, jak to wtedy nazywano. Do tego potrafił prowadzić piękną rozmowę. Pełną zręcznych komplementów i dowcipnych replik. A tego wówczas oczekiwano najbardziej.

– Dlatego odniósł sukces?

– Tak, bardzo wielki jak na tak niewielki wzrost. – Zaśmiał się. – A właściwie dzięki niemu. Dlatego w pierwszym wydaniu pamiętników wspominał dokładniej swoje lata młodości. Gdy w wieku dwudziestu lat miał tylko siedemdziesiąt siedem centymetrów wzrostu i jako cudowny wybrzek natury był obwożony po salonach.

– Urósł jeszcze? – zapytała z ciekawością, skoro mówiąc o centymetrach, podkreślił wiek.

– Tak. Rósł do trzydziestego roku życia i osiągnął ledwie niecały metr, dokładnie dziewięćdziesiąt dziewięć centymetrów. Mógłbym popatrzeć na niego z góry. Ja mam metr trzydzieści dwa – dodał z udawaną dumą i rozbawieniem.

Tycjana też się uśmiechnęła.

– Niech mi pan coś więcej o nim opowie – poprosiła, widząc rozpozgodzoną twarz Kacpra Solisa. Po raz pierwszy.

Czolo mu się wygładziło, policzki zarumieniły, szczeka rozluźniła. W kącikach oczu pokazały się zmarszczki od śmiechu. Wcześniej był zasadniczy, mocno przygarbiony, przesadnie wyprostowany lub, co gorsza, na smutno pijany. Teraz, gdy zaczął mówić o Boruwlaskim, usiadł swobodnie, podpierając łokieć na zgiętym kolanie. Jak jakiś bajarz. Brakowało mu tylko fajeczki, z której ulatywałby dym. Aż chciało się słuchać.

– Nie nudzę pani? – zapytał. – Bo to mój konik. Uwielbiam o nim mówić.

– Ani trochę – odpowiedziała szczerze. Słońce całkiem zaszło za chmury i zerwał się wiatr. W zatoczce znalazł się już nie tylko jeden duży łabędź, ale cała rodzina, która podpłynęła do przybrzeż-

nych zarości. Nie chciała jednak przerywać. Po raz drugi taki wyjątkowy nastrój Kacpra Solisa mógł się szybko nie zdarzyć, jak do tej pory był przeważnie naburmuszony i niechętny do rozmowy. Poza tym była bardzo ciekawa.

– To zaczęło od początku. Józef Boruwłaski urodził się na Pokuciu, to na dzisiejszej Ukrainie. Pod koniec lat trzydziestych XVIII wieku. I nie, jak to często przedstawiano, w hrabiowskiej rodzinie. Była to raczej uboga szaraczkowa szlachta. Do czego sam się przyznawał, ale zaprzeczać damom, koronowanym głowom lub późniejszym wydawcom pamiętników zwyczajnie nie wypadało. Powiedzmy, nie wyprowadzał nikogo z błędu. Miał jeszcze pięcioro rodzeństwa, z czego trójka była mniejsza ode mnie o głowę – pokazał dłonią w powietrzu – a trójka pani wzrostu. Przekorny los. Nie do końca wiadomo, jak potoczyło się życie reszty. Starszy niziutki brat podobno został zarządcą jakiegoś majątku ziemskiego. Jeszcze mniejsza od niego siostra przebywała na dworze majątnej pani w charakterze damy do towarzystwa, ale to właśnie Józefowi przypadło najbardziej barwne życie. Jako nastolatek trafił pod skrzydła *grande dame* całej epoki. – Zamachał ręką, podkreślając słowa. – Wypatrzyła go bowiem Anna Humiecka, wdowa po mieczniku wielkim koronnym. To był kiedyś ważny tytuł, zaraz przy królu. A ona sama to niezwykła postać. Dozorczyni łoża masońskiej i bywalczyni najprzedniejszych salonów. Wpływowa dama, która nie tylko wiedziała, jak się ubrać, ale i jak się pokazać. Co nie mniej ważne. Wiedziała też, że wybierając się w ponaddwuletnią podróż, taki „grand tour” po liczących się dworach europejskich – wyjaśnił – musi się jakoś spektakularnie przedstawić i zaanonsować. Zabrała kilka wozów strojów, pełno służby i doskonały rokokowy bibelot, jakim był nasz Józef.

– Słyszałam, że mówili na niego Joujou, zabawczka. – Tycjana się uśmiechnęła.

Trochę się wystraszyła swoich słów, martwiąc się, czy nie są jakoś obraźliwe, ale Kacper kontynuował:

– Nie bez powodu tak na niego mówili – przytaknął. – Humiecka miała specjalnie dla niego coś w stylu domku dla lalek. W swoim saloniku miał sofkę, stolik, stołeczek, bilarek i inne zabawki. I stroiła go również nad wyraz efektownie.

– W co? – zapytała, chcąc to sobie lepiej wyobrazić.

– W małej kopie wojskowych uniformów. Na przykład miał szyty specjalnie dla niego mundur „porucznika wielkiej buławy”, z szablą przy boku.

– Zabawa w sam raz dla Angeliny. – Zaśmiała się. – Wystarczyłoby zmniejszyć ten mundur na manekinie w przedpokoju – powiedziała i zobaczyła, że Kacper zmarszczył czoło, jakby przypomniał sobie o bólu głowy. Zmieniła temat. – Zabrała te wszystkie mebelki w wielką podróż po europejskich dworach? – zapytała szybko.

– Niektóre zapewne tak. – Zaśmiał się, wróciwszy do opowieści. – Zamierzała się przecież chwalić swoim cudefniem w wytwornym towarzystwie. I starannie go do tego przygotowała. Uczyla go gry na gitarze, śpiewu i tańca u najlepszych nauczycieli epoki.

– Chyba polubił grę, bo na portrecie gitara leży obok niego.

– Tak. Grał bardzo dobrze. Tańczył również. Potrafił elegancko i dowcipnie odpowiedzieć na każde pytanie. A to już była wyłącznie jego zasługa. Podobno swoimi odpowiedziami zachwycił samego Woltera. Jego celne riposty chętnie cytowano. Okazał się więc światowcem doskonałym! – stwierdził Kacper Solis nie bez dumy w głosie. – W dwóch słowach: naturalny urok i wdzięk. Właśnie te cechy pozwoliły mu zdobyć przychyłność władców i całych dworów. Poloneza i kozaka odtńczył przed Stanisławem Leszczyńskim i jego córką Marią, królową Francji. To jeszcze nie koniec – dodał, widząc zaciekawienie Tycjany. – Rozmawiał z cesarzą Niemiec, królową Czech i Węgier Marią Teresą. Spotkał się z królami Anglii Jerzym III i Jerzym IV...

– To znaczy, że był szalenie modny. – Przypomniała sobie, jak Angelina czytała, że swego czasu „był modny jak suknie sprowadzane dla dam”.

– Tak. Wyjątkowo – potwierdził Kacper Solis. – A to otwierało drzwi wszystkim salonów. Tak samo jak teraz... kto był w modzie, był w centrum zainteresowania wszystkich. Wszyscy chcieli go zobaczyć. Wszyscy, którzy się z nim spotykali, wspominali o tym w swoich listach. Za sprawą hrabiego de Tresana, członka Akademii Francuskiej, znalazł się nawet w Wielkiej Encyklopedii.

– Naprawdę?

– Tak. Został hasłem! A de Tressant napisał o nim: „O tajemnicza naturo, kto pojmie twe dzieła, oglądając dziecko wzrostem, umysłem mężczyzną” – wyrecytował ze wznieśionymi rękami, po czym

zamilkł na chwilę, patrząc na koc w zieloną kratę. – Sama pani widzi, że stał się naprawdę niezwykle popularny.

– To się pani Humieckiej poszczęściło. Wysokie progi, nawet jak na taką damę – stwierdziła Tycjana, patrząc na wychodzące z wody łabędzie.

Kacper Solis też spojrział na ptaki i poprawił róg koca, który podwiewał wiatr, po czym wrócił do opowieści.

– Powiem więcej, była nawet ofiarą własnego, jeśli można tak powiedzieć, sukcesu. Zapraszano ją wszędzie, o jej przyjeździe do Paryża czy Wiednia pisały gazety, ale to nie ona, lecz Boruwlaski był prawdziwą sensacją sezonu. O pani Humieckiej zaczęto mówić „pani z karzełkiem”, dosłownie „la dame avec le nain”. Zapominając o jej nazwisku. Była też wielka afera w Wersalu. Księżna Modeny zapraszała ją wraz z podopiecznym, dopytując się, czy na pewno z nim przyjedzie, właściwie nakazując jego zabranie. Pani Humiecka obraziła się bardzo i w awanturę musiała wkroczyć nasza królowa Francji, Maria, by je jakoś pogodzić. Bo po takiej zniewadze pani Humiecka uparła się, że go księżnej nie pokaże. Dopiero królowa Maria ukartowała niby to przypadkowe spotkanie.

– A to rzeczywiście poszczęściło się jej aż nadto. – Tycjana westchnęła i objęła się ramionami, próbując osłonić się od wiatru. Na rękach miała już gęsią skórę.

– Tak. Chłodno się zrobiło – stwierdził Kacper, patrząc w niebo.

– Jeszcze chwilę – poprosiła, widząc, jak jej bajarz Solis wyciąga z kosza aksamitny czerwony worek z ozdobnym sznurkiem i wkłada do niego książkę. Musiał być szyty na miarę, bo pasował idealnie.

– Cóż, długo by jeszcze opowiadać. – Zaciągnął sznurek. – Jak zabawiając towarzystwo, Joujou musiał wyskakiwać z wniesionej na stół wazy. Tańczyć, wycinając hołubce, lub walczyć z innym karłem... to na inną opowieść. Na koniec – dodał, pakując sakiewkę do koszyka – to, od czego zaczęliśmy. Drugie wydanie pamiętników ukazało się trzydzieści lat później. Treść jest zmieniona, wiele dodane. I nie ma się czemu dziwić – skwitował, wstając z koca. Tycjana chcąc nie chcąc też się podniosła. – Redagował je już starszy człowiek, patrzący z dystansu na swoje bogate życie, a Boruwlaski, muszę pani powiedzieć, żył prawie tyle lat, ile miał centymetrów.

– Dziewięćdziesiąt dziewięć? – zapytała, pomagając otrzepać koc z trawy. Szkoda jej było iść, lecz wiatr zerwał się już na dobre, niebo pociemniało i zaczęły padać pierwsze, niepokojąco wielkie krople deszczu.

– Nie tylko dlatego to już *Wspomnienia hrabiego Boruwlaskiego*, już nie pamiętnik karła, rokokowego celebryty, ale... – zrobił pauzę i znowu uniósł palec wskazujący – ...ale też zaczęła się inna epoka, z innymi wymaganiami i podejściem do świata. Dlatego mamy w drugim wydaniu coś na kształt wspomnień niezwyklego podróżnika obdarzonego wyjątkowo niskim wzrostem. Dokładnie coś takiego jak podróż Guliwera po świecie olbrzymów. Bo muszę pani jeszcze powiedzieć, że nasz Boruwlaski odbył wiele podróży, spotkał inne koronowane głowy, przeżył wielką miłość, sam Stanisław August Poniatowski był świadkiem na jego ślubie, ale to już kolejna opowieść – oświadczył, patrząc w niebo i obrywając solidną kroplą wody w sam nos. Przełożył koc przez rączkę kosza i podniósł.

– A może przyjdzie pan do nas? Teraz – zaproponowała Tycjana, ocierając lekko wilgotne policzki. – Angelina bardzo by się ucieszyła. Na pewno – dodała, widząc minę Kacpra Solisa, który wyglądał, jakby rozważał tę propozycję, choć z twarzą zachmurzoną nie mniej niż niebo. – Ona też jest bardzo tą opowieścią zafascynowana, właściwie ona pierwsza... – Chciała powiedzieć o entuzjajmie Angeliny wobec postaci, a przede wszystkim sztuki napisanej przez Kacpra, ale zamilkła.

Kacper Solis spojrział na nią, mocno zadzierając głowę. Nie mrugał. Nie reagował, gdy kolejne krople rozbryzgiwały mu się po twarzy i oczach. A coraz bardziej porywisty wiatr targał siwiejącymi kosmykami włosów.

– Proszę mi powiedzieć... – wycedził. – Odwlekam ten moment, ale muszę w końcu zapytać. Czy dobrze zapamiętałem, że ta sztuka nie spaliła się do końca? Że udało się ją uratować? Czy tylko mi się śniło?

Tycjana przełknęła głośno. Miała nadzieję, że nie pamiętał, co mówiła wieczorem. Ale teraz nie chciała kłamać w żywe oczy. Nie miała też pewności, czy po policzkach płyną mu łzy, czy tylko krople coraz intensywniejszego deszczu.

– Prawda – potwierdziła. – Angelina skserowała ją, zanim panu oddała. – Kacper Solis ani drgnął. – Przepraszam – dodała, odgarniając z twarzy coraz bardziej mokre pasemka włosów. – Ja się wczoraj

wygadałam. Szczercze mówiąc, nie powinnam. Nie wracałam teraz do tego, bo... bo byłam przekonana, że pan nie pamięta. Był pan, oględnie mówiąc...

– Pijany, tak? – podpowiedział, a Tycjana kiwnęła głową. – Niestety mam ten feler, że zawsze wszystko pamiętam. Zawsze – podkreślił. – A czasami wolałbym nie pamiętać – dodał, opuszczając głowę.

– Myślałam, że Angelina sama panu powie. Gdy tylko będzie mogła. Ale od wczoraj nie chce wyjść z pokoju – wyjaśniła, powoli już szczękając zębami.

Wiatr zerwał się taki, że na stawie pojawiły się marszczące tafle fale, przemieszczając się w niezwykłym tempie. Gałęzie wierzy, które zwisały do samej ziemi, teraz układały się prawie w poziomie. Łabędzie tuliły się do siebie. Kacper Solis, któremu deszcz padał na szyję, podniósł w końcu głowę.

– To idźmy do niej. Niech mi to powie – oświadczył, odgarniając mokre włosy z twarzy.

– Biegnijmy. – Tycjana kiwnęła głową. Nie było już czasu, by się zastanawiać, czy Kacper Solis się cieszy czy nie z uratowanej treści. Do domu mieli pięć, dziesięć minut. Niebo pociemniało, granatowo-atramentowe, gdzieś tam ultramaryna z grafitem, po stawie widać było falę nadciągającej ulewy. Zagrzmiało, i to bardzo blisko. Tycjana uparła się, żeby nieść koszyk. Wyjęła z niego koc i rozłożyła nad ich głowami. Nic to nie pomogło: nim dotarli na Spiski 4, byli przemoczeni do nitki. Wchodzili na górę, zostawiając na schodach mokre ślady.

Tycjana otworzyła drzwi. Przepuściła gościa. Kacper Solis wszedł do środka i stanął w korytarzu, ociekając wodą. Za nim stanęła Tycjana. W tym momencie otworzyły się drzwi do pokoju Angeliny. Wyszła w jedwabnym szlafroku, ziewając, i na ich widok, zatrzymała się w pół kroku. Stanęła z niedomkniętymi jeszcze ustami. Obrzuciła Kacpra Solisa wzrokiem z góry na dół. Kręcąc głową z niedowierzaniem, spojrzała na Tycjanę.

– Znowu to zrobił? – zapytała.

Słońce

TYCJANA OCIEKAŁA WODĄ. Mokra sukienka kleiła się jej do pleców. Biegając, starała się kocem osłaniać głowę, ale też przede wszystkim Kacpra Solisa, który wyjął książkę z koszyka i trzymał ją pod ubraniem. Gdy wszedł już do środka i przełknął dowcipne pytanie Angeliny, od razu sprawdził, czy aksamitny woreczek nie przemókł. Tycjana miała pewność, że nawet jeśli nowo oprawiony starodruk nadawał się bardziej na prezent z okazji okrągłych urodzin, a nie pośmiertną spuściznę, to i tak był dla obdarowanego niezwykle cenny i ważny. Po zdjęciu materiałowego opakowania okazało się, że pergaminowa okładka jest tylko odrobinę wilgotna, w przeciwieństwie do właściciela, który mimo usilnych starań Tycjany nie zawsze dotrzymywał jej kroku. Złośliwośćka Angeliny, że chwilę wcześniej był cały w wodzie, dobrze obrazowała sytuację. Nie tylko miał mokre włosy, ale gdy trochę zdenerwowany przestępował z nogi na nogę, chlupało mu też w butach. W pierwszym odruchu powiedział, że już sobie pójdzie, ale nim wymówił to zdanie do końca, za oknem zagrzmiało, i to bardzo blisko.

Angelina przewróciła oczami jak ktoś, kto ma zrobić coś, na co raczej nie ma ochoty.

– Ty idź się przebierz – zwróciła się do siostry. – A dla pana coś znajduję – oświadczyła, mierząc go wzrokiem. – Na metr trzydzieści? Tak? – zapytała, ale nie czekała na odpowiedź. – Mam gdzieś na pewno koszulę z żabotem. Grała w Piotrusiu Panie – dodała, a Tycjana zastęła w pół kroku.

– Powiniennem się obrazić? – zapytał Kacper Solis, mrużąc oczy.

– Nie – stwierdziła kategorycznym, nieznoszącym sprzeciwu tonem. – To bardzo piękna koszula. Gorzej będzie ze spodniami – dorzuciła, gdy na zewnątrz znowu zagrzmiało.

Kacper z lekkim przestraszonym spojrzałem za okno. Niebo przecięła błyskawica. A gdy piorun uderzył w staw, prawie podskoczył.

– To może ja poczekam, aż wyschnę...

– Ale stojąc w misce, bo się pod panem robi kałuża – oznajmiła Angelina, wskazując podłogę. – Dobrze, mam japońskie kimono i coś jeszcze, albo sam ręcznik. Naprawdę chcecie się przeziębici? – zapytała, patrząc to na jedno, to na drugie.

Tycjana pomyślała, że przysłuchiwanie się kolejnym propozycjom Angeliny może niespodziewanego gościa krępować jeszcze bardziej. A prawdopodobieństwo, że ucieknie, było niewielkie. Zdaje się, że bardzo się boi burzy.

Przebrała się dosyć szybko, a gdy wyszła z pokoju, na korytarzu nie było już nikogo. Poszła do kuchni zrobić herbatę. Po chwili dołączyła do niej Angelina. Też zdążyła się przebrać w asymetryczną sukienkę z celowo pogniecionego jedwabiu w kolorze indygo. Weszła i zamknęła za sobą drzwi.

– Powiedziałaś mi?

– Co?

– Że mam tę jego sztukę.

Tycjana kiwnęła głową. Angelina zmarszczyła czoło, wydeła usta i przez chwilę nic nie mówiła.

– Tak wyszło... – próbowała się wytłumaczyć. – Powinnam cię spytać, ale wymknęło mi się...

– I dobrze, niech wie – przerwała jej Angelina. – To znaczy niedobrze, że decydujesz za mnie. Na przyszłość konsultuj ze mną moje sprawy. Nie zawsze masz rację – dodała ze złośliwością.

– Nie zawsze. Herbaty? – zapytała pojednawczo, gdy woda w czajniku zaczęła bulgotać.

– Jemu zrób.

– Wszystko w porządku? – zapytała Tycjana, wyciągając kubki.

– Z czym?

– Chwilę cię nie było – stwierdziła Tycjana, siląc się na jak najbardziej obojętny ton.

– A, o to ci chodzi? – prychnęła Angelina, odwracając głowę. – Ochłonęłam już, jeśli chcesz wiedzieć.

– Opowiesz mi kiedyś?

– To nie był przyjemny widok. Ona jeszcze żyła... – zaczęła mówić, podpinając wsuwką zaplecione na czubku głowy włosy. Robiła to tak, że kosmyki opadały jej na twarz i nie było widać oczu.

– Nie o tym mówię – weszła jej w słowo Tycjana. – Wiesz dobrze. O szczegółach z twojej przeszłości...

– Nie teraz... – Angelina przerwała, przystawiając ucho do drzwi. – Ale kiedyś tak – rzuciła, otwierając je i wychodząc z kuchni. – I mówiłam, że będzie w sam raz! – krzyknęła w stronę korytarza.

Tycjana wyszła z kubkami w rękę i stanęła jak wryta. Kacper Solis miał na sobie białą koszulę z dużym, mocno udrapowanym żabotem i zielone spodnie z podwiniętymi nogawkami. Wyglądał trochę komicznie, zważywszy na okoliczności. Bardziej pasowałby na bal karnawałowy, ale o dziwo wydawał się zadowolony. I to bardzo.

– To zapraszam. – Angelina pokazała drzwi swojego pokoju.

Kacper Solis ruszył pierwszy i – co mocno zaczęło zastanawiać Tycjanę – od razu usadowił się przy toalecie charakterystycznej. Oparł się łokciami, przesuwając dwie drewniane głowy z perukami, po czym wcisnął pstryczek do włączania okrążających garderobiane lustro żarówek. Burza jeszcze trwała, w pokoju było ciemniej niż zwykle o tej porze, tak więc rozświetlona lustrzana przestrzeń stworzyła niezwykły nastrój. Kacper Solis wyjątkowo pasował do otaczającej go scenarii. Zaczął się przeglądać w lustrze. Zmierzył palcami wilgotne jeszcze włosy i poprawiał żabot, równając fałdki udrapowanego materiału, a przy tym machał bezwiednie nogami jak dziecko bawiące się ulubioną zabawką. Kogoś jej przypominał, nie mogła się zdecydować, czy szukać w pamięci czy nie. Ze swoją posturą wyglądał trochę bajkowo, pasował do wielu postaci. Nie zamierzała iść tropem Angeliny i szukać w bajkach.

– Pracował pan w teatrze? – zapytała Angelina, choć tonem, który bardziej był stwierdzeniem niż pytaniem.

Tycjana spojrzała na nią z wdzięcznością. Też to podejrzewała, obserwując jego zachowanie, ale jak zwykle brakowało jej odwagi, by zapytać wprost.

– Nie. Nigdy nie pracowałem – odpowiedział Kacper Solis, z czułością gładząc białe włosy do połowy zrobionej peruki.

– A wygląda pan, jakby się w nim urodził – nie ustępowała Angelina.

– Naprawdę? – ucieszył się, macając harcapy drugiej męskiej peruki. – Ale niestety nie.

– Titi, widzisz to co ja? Potwierdź.

– Już wiem! – wykrzyknęła Tycjana i zdziwiła się, że wybrzmiało to tak głośno. – Wygląda pan jak ten Boruwlaski. Identycznie!

– Ten z obrazu? – Angelina się skrzywiła. – On był stary.

– Nie. Ten z książki – wyjaśniła, wskazując koszyk piknikowy, na którego wierzchu leżał czerwony aksamitny pokrowiec.

– Naprawdę? – zapytał Kacper Solis tym razem już bardzo wzruszonym głosem. – Naprawdę tak pani myśli? Tak się pani skojarzyłem?

Tycjana przytaknęła.

– To ta? – zapytała zniecierpliwiona Angelina, pokazując wystającą z sakiewki książkę.

– Może pani ją wyjąć i zobaczyć.

Angelina szybko wyciągnęła książkę z woreczka. Zerknęła na okładkę, skrzywiła się na widok Słońca z wpisanym Księżyccem.

– Tak. Świeżo oprawiona. Dostałem w spadku – oznajmił.

– Po kim?

– Jak to po kim?! – zdziwił się. – Nina mi ją zostawiła, ba, nawet zapowiedziała wcześniej, że mi ją sprezentuje... i właśnie tak się stało.

– Jest taka cenna? – Angelina patrzyła na okładkę z lekko zniesmaczoną miną.

– Tak. Ale przede wszystkim dla mnie.

– A dla reszty? – drążyła Angelina.

Tycjana chrząknęła, ale siostra ją zlekceważyła.

– To starodruk – zaczął tłumaczyć Kacper. – Ma dwieście lat. Uczciwie muszę powiedzieć, że biały kruk to nie jest. Można ją zdobyć na aukcjach. Ale jej wartość jest, jak by to powiedzieć... Oprawa była droga, choć kawalerki za to nie kupię.

– A jest pan kawalerem? – zapytała Angelina.

– Lino... – syknęła Tycjana. Zaczęła się już zastanawiać, w którym momencie Kacper Solis obrazi się nieodwołalnie. Wyjdzie i zacznie szukać schronienia pod drzewem.

– A czy to tajemnica? – zachnęła się Angelina. – Kolekcjonuję kawalerów. Mam wiele samotnych koleżanek w teatrze. Trochę garderobianych, parę aktorów... Lubię wiedzieć... – stwierdziła, sama już jednak bez napominania zatrzymała się w pół słowa, bo Kacper Solis przestał machać nogami i patrzył z przerażeniem. – Ale nie musi pan mówić, skoro...

– Jestem kawalerem – wybąkał.

– I bardzo dobrze. – Klasnęła w ręce. – A wracając do tej książki... Nic więcej panu zła macocha nie zostawiła?

Tycjana poszła usiąść na stojący pod oknem szeszlony. Zastanawiała się, czy nie przykryć się jakimś kocem i nie przeczeekać tych żenujących pytań. Ewentualnie zatrzymać Solisa, jak będzie uciekał, ale ku jej zaskoczeniu nawet się trochę rozchmurzył.

– Nie była taka zła – powiedział po chwili. – Ale nic więcej. Tak zapowiedziała. Nie wiem do końca, jak to rozumieć. Nie spodziewałem się tego. Choć ta książka jest wspaniałym prezentem... Cóż, nie zdążyła mi tego wyjaśnić, została mi tylko dedykacja na pierwszej stronie... *Słońce też jest karłem*.

– Słucham?! – wykrzyknęła Angelina. – Może pan powtórzyć?

– Słońce też jest karłem.

– I co to znaczy? – zapytała, przysuwając sobie stołeczek. Usiadła naprzeciwko Kacpra Solisa i patrzyła w skupieniu, czekając na odpowiedź.

– To fakt astronomiczny. Słońce jako gwiazda jest tak zwany żółty karłem – zaczęła tłumaczyć. – Za jakieś miliardy lat wybuchnie i będzie czerwonym olbrzymem, a potem zostanie białym karłem. Takim punkcikiem na niebie. Jak dla mnie ma to jeszcze jedno znaczenie. Kiedyś, pewnie ze dwadzieścia lat temu, po pewnej kłótni z ojcem tak mnie pocieszała. Mówiąc, że Słońce też jest karłem.

– Ach tak... – Westchnęła.

– Myślę, że to taki rodzaj kodu... Znanego nam...

– I nic więcej nie było napisane? – Angelina zaczęła nerwowo kartkować książkę. – Wierzyć mi się nie chce, nie była aż tak małowówna. – Chwyciła książkę, próbując z niej coś wytrząsnąć.

Tycjana zamarła.

– Tak się nie robi. – Podeszła, chcąc zabrać jej książkę z ręki.

Angelina odwzięczyła się jej pełnym politowania spojrzeniem. Dość podobnym do tego, jakie miał jej syn, gdy go karciała.

– Może pani to sobie darować. – Kacper Solis machnął ręką. – Aleks, jak mi ją dawał, robił to samo. Tylko jeszcze bardziej energicznie. Zapewniam. Nic nie wypadło. Żaden liścik. Sprawdził to dokładnie.

Angelina położyła książkę lekko rozczarowana. Otworzyła ją na pierwszej kartce. Po wewnętrznej stronie był wizerunek kędzierzawego Boruwlaskiego w koszuli, z uniesionym palcem. Patrzyła to na obrazek, to na siedzącego przed lustrem Kacpra.

– Rzeczywiście jesteście podobni – stwierdziła. – Z tym że ten pan nie ma żabotu, tylko fular z kokardką zawiązaną pod szyją na angielską modłę. A poza tym... Nie uważacie, że ten od *Hobbita* musiał czytać te pamiętniki? – dodała, przeglądając książkę w poszukiwaniu innych ilustracji.

– Słucham?! – Kacper Solis wyprężył się nerwowo.

– To jest wypisz wymaluj wizerunek tego starszego... jak on tam się nazywał? Bilbo? No, spójrz, Titi. Ten jego strój nawet – mówiła dalej, nie patrząc na Kacpra Solisa, który usztywnił się już cały. – Nie wierzę, że Tolkien tego nie czytał. – Angelina machnęła książką, po czym popatrzyła nierozumiejąco na zastępych w bezruchu Tycjanę i Kacpra.

– To chyba niezbyt grzeczne z pani strony – Kacper odezwał się pierwszy.

– Dlaczego? – zapytała zdziwiona.

– Wyglądam, jak wyglądam... ale to nie powód...

Tycjana myślała, że Angelina zaraz przeprosi, a ona jakby tylko czekała na taki moment.

– Zaraz, zaraz – obruszyła się dwa razy bardziej od Solisa. – Nie czytał pan *Władcy pierścieni*? Albo chociaż nie oglądał filmu? Według mnie to uniwersalny bohater. Cieszący się popularnością od stu lat! A dlaczego? – kontynuowała, stukając palcem w książkową rycinę. – Bo jest dzielną, niewielkiej postury istotą, która z powodzeniem walczy u boku królów i elfów, czyli sto razy sprawniejszych od niego wojowników. Wykorzystuje swoje zalety i stawia czoło przeszkodom, które napotyka w życiu. Nie załamuje się! A do ognia wrzuca co najwyżej pierścieni o złej mocy... a nie rękopis – dodała, patrząc już prosto w oczy osłupiałego Kacpra Solisa. – Rękopis skądinąd bardzo dobrej sztuki – nie przedstawiała mówić – co ośobiście dla mnie jest świętokradztwem. I jeszcze mnie pan oszukuje...

– Ja? – wydukał Kacper Solis.

– Tak, pan! Mówiąc, że nie miał do czynienia z teatrem. Otóż bardzo dobrze znam objawy tego uzależnienia. Uzależnienia, z którego nigdy się już człowiek nie wyleczy. Przecież widzę, jak pan się zachowuje. Twarz panu odmłodziła na widok paru porozrzucanych rekwizytów. Pstryknął pan palcem we włącznik tych żarówek od toaletki jak małe dziecko. Nawet peruki pan głaszcze! – Kacper Solis spojrział na swoją rękę, która rzeczywiście znowu leżała na drewnianej głowie z ufryzowanymi włosami. Angelina wstała i podeszła do niego. – A do tego jak pan pisze! Jak pan widzi aktorów! Jak wyraźnie rysuje dla nich role. Tam się aż roi od fantastycznych postaci, a o tym, że to opowieść o prawdziwej, niezwyklej postaci, już nie wspomnę – tłumaczyła z werwą, przysuwając się do niego jeszcze bliżej. – Powie mi pan, z jakiego powodu wrzucił to do ognia? – Wymierzyła w niego palec.

– Z miłości. Ale więcej już nic nie powiem – dodał i zacisnął usta.

Arlekin

ZWIĘZŁA ODPOWIEDŹ, KTÓREJ UDZIELIŁ KACPER SOLIS, niezwykle poruszyła Angelinę. Do tego stopnia, że dała mu spokój. Nie zdziwiło to Tycjana. Zdążyła ją już poznać na tyle, by wiedzieć, że problemy sercowe innych ludzi traktuje śmiertelnie poważnie. Nieraz widziała i słyszała, jak z kimś rozmawia, bez znużenia wysłuchując utyskiwań z powodu nieodwzajemnionych uczuć i snuty podejrzeń, że ktoś czymś do kogoś zapalał albo przestał pałać. Ciekawiło ją to niepomernie, tak samo było i tym razem, ale ponieważ uczucia są tak ważne, potrafiła uszanować milczenie Kacpra, przynajmniej do któregoś momentu. Zmieniła temat, nie wracając ani do książki, ani teatru, ani sztuki. Właściwie mówiła już tylko o pogodzie, ponieważ burza przeszła tak samo gwałtownie, jak się pojawiła. Wyjrzało słońce, a gdy Tycjana podeszła do okna, ponad dachami zobaczyła fragment tęczy. O pięknie przenikających się i wyraźnych kolorach. Po deszczu na niebie nie było śladu. A krople wody kapąły tylko z liści i gałązek.

– Na mnie chyba już czas – stwierdził Kacper Solis.

Angelina kiwnęła głową, pokręciła się po pokoju i dała mu do jednej ręki jego koszulę, do drugiej podłączoną do kontaktu suszarkę. Gdy tylko zaczęła hałasować, Angelina podeszła do siostry i szepnęła jej do ucha:

– Wiesz, o co chodzi z tą miłością?

Tycjana pokręciła głową. Kacper był znacznie starszy od niej. Gdy była dzieckiem, on był już dorosłym mężczyzną.

– To kto może wiedzieć? – zapytała Angelina.

Tycjana pomyślała, że pewnie Tamara, ale nie zamierzała jej teraz o to pytać.

– Józefina...?

Patrzyła, jak powiewają rękawy dosuszanej przez Kacpra koszuli. On sam nawet na nią nie patrzył, tylko rozglądał się dookoła z ciekawością. Mogły sobie szeptać.

– Już ją wcześniej wypytywałam. Niewiele wie. Kto jeszcze? Jakaś tutejsza plotkara albo stary plotkarz? – drażyla Angelina, udając, że poprawia zasłonki w oknie.

– Może Hermes Janicki? Ten antykwariusz. – Wiedziała, że siostra nie da jej teraz spokoju.

– Idealnie! – wyszeptwała. – Dzwon do niego.

– I co mam powiedzieć?

– Powiedz, że Józefina go zaprasza – syknęła Angelina prosto do jej ucha, po czym odwróciła się i uśmiechnęła do gościa.

Kacper Solis właśnie skończył suszyć koszulę. Angelina podała mu spodnie, po czym zostawiły go, by mógł się swobodnie przebrać. Tycjana zadzwoniła do Hermesa. Antykwariusz od razu zgodził się przyjść, myśląc, że chce porozmawiać o płótnie przedstawiającym Boruwlaskiego, które miała w planie konserwować i o którym rozmawiali już wcześniej. Tycjana nie zamierzała wyprowadzać go z błędu, skoro był tak wyjątkowo zainteresowany. Jak każdy fachowiec w swojej branży, szczególnie taki, który zna swoją wartość, nie znoślił się mylić. Zapowiedział, że za pół godziny się pojawi. Gdy wyszła na korytarz przekazać informację siostrze, zobaczyła, że stoi z uchem przylepionym do drzwi. W środku słychać było odgłos suszarki.

– Nie wydaje ci się, że to już za długo? – zapytała Angelina.

Tycjana wzruszyła ramionami.

– Zapukaj.

Zapukała. Słychać było bzyczenie silniczka od wiatraka.

– Wchodzę – syknęła z niecierpliwością.

– Poczekaj. – Tycjana powstrzymała jej rękę, która już naciskała klamkę.

Wkrótce odgłos suszarki ucichł. Odskokczyły od drzwi, które po chwili się otworzyły. Stał w nich Kacper Solis z koszykiem w rękę. Był uśmiechnięty, wyprostowany i przeżył klątę.

– To ja się pożegnam – oświadczył.

– Ale ja chciałam jeszcze porozmawiać o... – zaczęła Angelina.

– Pani Angelino...

– Może pan do mnie mówić Lino – zaproponowała uprzejmie.

Tycjana westchnęła. Jej to nie było dane w tak ekspresywnym tempie.

– Więc, pani Lino, pięknie dziękuję i obiecuję, że jeszcze porozmawiamy. – Uklonił się wyjątkowo kurtuazyjnie. – To trudny czas dla mnie i dla mojej rodziny, proszę wybaczyć. Powiniennem już wracać. A pani, pani Tycjano, dziękuję za troskę i koc nad głową – dodał z uśmiechem. – Będę również zaszczycony, jeśli zajmie się pani renowacją portretu Boruwlaskiego. Jestem pewny, że trafi w dobre ręce. A teraz się pożegnaj – zakończył stanowczo.

Gdy tylko Kacper Solis opuścił mieszkanie na piętrze kamienicy przy placu Spiskim 4, Angelina złośliwie powtórzyła jego słowa.

– Jestem pewny, że trafi w dobre ręce. Zawsze lepiej niż do śmietnika – skwitowała, siadając na parapecie okna wychodzącego na ulicę.

Tycjana też przez nie wyjrzała i odprowadziła wzrokiem niziutkiego mężczyznę. Szedł powoli, trochę sztywno, ale radośnie machał koszykiem.

– Patrz. Uratowałam jego, jego obraz, na koniec jego sztukę i czy mi podziękował? – zauważyła Angelina.

– Chce rozmawiać, a to chyba dużo więcej, niż do tej pory proponował – podsumowała Tycjana, odchodząc od okna. Kacper Solis znikł za zakrętem. – Powinnaś się cieszyć. Mówi do ciebie Lino...

– I co z tego? Bądź pewna, że tak do końca mu nie ufam. – Angelina zmrzyła oczy, zeskokczyła z parapetu i poprawiła zasłonkę. – Ale dobrze, dowiedzmy się, co z tą miłością. Bo akurat ten wątek najbardziej mnie interesuje. Nie masz pojęcia, jakie piękne i dramatyczne są listy tego zakochanego Boruwlaskiego. Te ze sztuki – dodała.

– Domyślam się.

– A musiały być przepisane z oryginału. Poczytać ci?

– Chętnie, ale najpierw zjeżdżmy uprzedzić Józefinę, że będzie miała gościa. Coś mi mówi, że się nie ucieszy. W ogrodzie jest mokro, trzeba się jakoś przygotować.

– Dobra, ale słuchaj – mówiła siostra, idąc za nią po schodach. – Jestem pewna, że ta jego miłość ma coś wspólnego z teatrem, i wcale bym się nie dziwiła, gdyby to coś było bardzo podobne do tego, co się przydarzyło temu Boruwlaskiemu. To bardzo ciekawy fragment – przekonywała niezwykle żarliwie. – On tak prosto i szczerze opisuje, jak dojrzał do uczuć, że tak powiem. A zdarzyło się to dosyć późno, bo miał ze dwadzieścia parę lat, gdy poczuł się mężczyzną. Pomyśl, jakie to musiało być dramatyczne. Ciągle był malutki z postury...

– Wiem, niecały metr, ale w czym problem? – Tycjana patrzyła na siostrę, która zatarasowała wejście do Józefiny, chcąc skończyć opowieść. Pomyślała, że Jarota ma stuprocentową rację. Angelina nie smuciła się długo i wystarczyło przypomnieć jej coś, co ją rozemocjonowało wcześniej. Pozazdrościła jej; ona sama może rzadko wpadała w głębokie przygnębienie, ale również rzadko w euforię.

– Właśnie – skwitowała, trzymając rękę na klanecie. – Kobiety sadzały go sobie na kolanach jak dziecko, głaskały, szczypały w policzki, a on czuł już znacznie więcej, jeśli rozumiesz, o czym myślę. – Popatrzyła wymownie w dół, a Tycjana szybko przytaknęła. – Zaczął więc wymykać się od tej damy, u której miał domek dla lalek, i uciekać do warszawskiego teatru, a tam kolejną zabawkę zrobiła sobie z niego jakaś francuska aktoreczka komediowa. Oczarowała go, upoiła, jak to powiedział... – przywoływała z pamięci. – „Była pełna wdzięku i bardzo figlarna”. A potem naśmiewała się z niego. Z jego namietności i „gwałtownych wzruszeń” – wyjaśniła, robiąc cudzysłów rękami. – Jakie w nim wzbudzała, chyba rozumiesz. – Znowu spojrzała w dół. Tycjana rozumiała. – Ach – westchnęła głośno. – Musiało boleć. I ja myślę, że tu jest coś na rzeczy...

– Ale miał chyba żonę...

– Tak, tylko znacznie później – wyjaśniła Angelina, ale właśnie drzwi otworzyły się od wewnątrz i o mały włos nie wpadła do środka.

– Dlaczego rozmawiacie tutaj beze mnie? – zapytała Józefina, stając przed nimi w kwiciestej poddomce i przedziwnie zawiązanej chustce na głowie.

– Lepiej się przebierz. Będziesz miała gościa – oświadczyła Angelina, wchodząc do mieszkania.

– Jarota przyjdzie? – zainteresowała się ciotka.

– Nie, ten jeszcze się dąsa, ale gwarantuję ci, że za chwilę przyjdzie. Bo on jeszcze nie wie, że ja za nim tęsknię. I bardzo mi na nim zależy, a jak na kimś mi zależy, to potrafię się bardzo postarać. Jeśli

wiesz, o czym mówię – oznajmiła, wydymając usta.

Tycjana wlepiła wzrok w podłogę.

Józefina słuchała, patrząc to na nią, to na Angelinę. W końcu się otrząsnęła.

– To jaki gość? Nie, nieważne. Nie jestem ubrana... – Groźnie zmarszczyła brwi. – Mowy nie ma.

– Dzwonisz, stukasz, a gdy przychodzimy, to chcesz nas wyprosić. – Angelina machnęła ręką. – Włóż lepiej tę bluzkę w grochy. Twój absztyfikant zaraz przyjdzie.

Józefina złapała się za głowę, pytająco patrząc na Tycjanę.

– Zadzwońmyśmy po Hermesa, twoja Lina ma parę pytań do niego – wyjaśniła Tycjana.

– Jak chcesz, pójdziemy na górę, do siebie...

Józefina nie miała ochoty na gościa, ale jeszcze bardziej nie chciała, żeby coś ją ominęło.

– To popraw mi jakoś włosy, a ty, Titi, przygotuj wszystko – zarządziła, już drepzcząc w kierunku szafy w sypialni. – Przecież tam wszędzie jest mokro, a tu nie ma gdzie usiąść. Kanapa folią przykryta... Firanki z folii... Dobrze, że chociaż okna umyte.

Tycjana ledwo skończyła wycierać wszystkie krzesła i stół do sucha, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Nie musiała iść otworzyć, bo zrobiła to ciotka, a ona zachodziła w głowę, jak w ciągu kwadransa mogła wyskoczyć z podomki i być taka wyszykowana. Gdy zobaczyła Angelinę, pokiwała głową z uznaniem.

– Antrakty w teatrze też są krótkie. Mogę postarzyć cię w piętnaście minut o dwadzieścia lat.

– Nie, dziękuję. Ale będę pamiętać.

– Odmłodź ci też. Chociaż to trudniejsze. Jesteś wewnętrznie poważna. Ale w każdej chwili mogę spróbować... Zaczęłabym od ufarbowania tego siwiejącego puchu na twojej głowie... Od razu wyglądałabyś młodziej.

– A czy ty przyjmujesz do wiadomości, że nie chcę się postarzać ani odmładzać? Chcę żyć w teraźniejszości. I tak wyglądając, jak właśnie wyglądam...

– Temat na dłuższą dyskusję. Titi, ale czy ty sobie kogoś znajdziesz z takim nastawieniem? Dobrze życzę, źle wróżę.

– A czy ja szukam? – burknęła Tycjana.

Przywitała się z Hermesem Janickim, który kurtuazyjnie ujął jej dłoń i ledwo połaskotał jej wierzch srebrzystymi wąsami, które zlewały się z nienagannie przyciętą brodą. Wyglądał jak zwykle nadzwyczaj elegancko. Przyszedł w letnim jasnym garniturze, wymachując złożonym parasolem z drewnianą rączką ozdobioną złotymi okuciami. Przyglądał wilgotne srebrzystobiałe włosy, wszedł do środka i skomplementował Józefinę, która udawała pełne zaskoczenie niespodziewaną wizytą. Zaprosiła wszystkich do ogrodu i zarządziła podanie herbaty i ciastek, które to zadanie spadło na Tycjanę. Nie ociągała się z pójściem do kuchni, bo Hermes patrzył na nią pytająco i na pewno zaczęłby rozmowę od obrazu, którego aktualnie u niej nie było. Może też dojrzał przypudrowane oko, ale tego nie była pewna. Gdy przyszła z tacą, dyskusja już się toczyła wokół Niny Solis i jej niespodziewanej śmierci.

– Nieprawdopodobne. – Antykwariusz kręcił głową. – Trudno w to uwierzyć. Co prawda nie widywalimy się ostatnio, właściwie od czasu, kiedy ponownie wyszła za mąż...

– A kto się z nią widywał? – przerwała mu Józefina. – Mnie też nie zapraszała, choć jak przyszedłam, była wyjątkowo zadowolona. Ale wcześniej się nie kwapiła z zaproszeniem. Czekałam miesiącami, a jak wpadłam bez zapowiedzi, to jak gdyby nigdy nic – zaliła się bez pretensji w głosie. – Teraz już tego straconego czasu nie nadrobimy... – szybko dodała, reflektując się, że nie wypada źle mówić o zmarłych.

– Może była zazdrosna o ciebie. W sensie o swojego męża – podpuszczała ją Angelina.

Józefina niezwykle ucieszyła się z takiej hipotezy, chwyciła się za serce i wachlowała ręką, śląc uśmiechy we wszystkich kierunkach.

– Tak myślisz? – dopytywała się.

– A ja myślę, że ten jej mąż chciał ją odciąć od wszystkich! – podsumował zdęgotowanym tonem Hermes Janicki. – Dzieci, starych przyjaciół i pięknych wiekowych mebli... Nie macie pojęcia, jakie tam były perełki. Wielki żal. To wszystko do jakichś magazynów trafiło, Bóg wie jak przechowywane... Jakie tam były szafy gdańskie. Jakie biurko chippendale...

– Kacper Solis mówił to samo – wtrąciła się Tycjana, próbując nakierować rozmowę na właściwe tory. – Powiedział mi, że doktor Gopło zarządził remont. Pozbył się antyków i zappełnił dom nowoczesnymi meblami. Kacper...

– Wyobrażasz to sobie?! – przerwał antykwariusz, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Sama to widziałam! – potwierdziła Józefina.

– Józefino, jak ty wychodziłaś za mąż, to za każdym razem dokupowałaś coś nowego. Raz porcelanową miśnięską zastawę, raz przepiękną toaletkę art déco, o ile pamiętam...

– Jeszcze srebrne sztucce, plater i taką przepiękną cukiernicę... – Józefina włączyła się do wyliczanki.

– O tak – zachwycał się antykwariusz. – Sam wybierałem... A za trzecim razem...

– Mnie się tam głowa czarnego konia z abażurem podobała – skwitowała Angelina, przerywając wymianę zdań, która mogła trwać jeszcze bardzo długo.

– A ten Gopło skąd właściwie się wziął? – zapytała Tycjana, wykorzystując chwilę konsternacji niezrozumiałym gustem Angeliny.

– Titi, czasy się zmieniają, ale znowu nie tak bardzo. Uzdrowiska, czy je zwać sanatoriami czy spa, zawsze są pełne łowców posagów lub poszukiwaczy majątnych wdów. W tej kwestii nie za wiele się zmienia. Tam doktor Gopło miał jakiś wykład o duchowości i mistyce i... – Machnęła ręką. – Jedna z najbardziej charyzmatycznych kobiet, jakie znałem, straciła głowę.

– A teraz i życie – dodała tajemniczym tonem Józefina.

– Masz coś na myśli? – zapytał antykwariusz wyraźnie zaciekawiony.

– Mam! – Józefina zmrużyła oczy i wydeła usta. – Ale śledztwo się toczy i nie mam jeszcze szczegółów do przekazania – oświadczyła poważnym tonem. – Wyobrażasz sobie, że ona temu Kacprowi nic nie zostawiła? Może i sama pomnożyła ten majątek, ale jak by nie było, zaczęło się od Solisów. A jemu jakąś książkę tylko dała, tak mówią – dorzuciła, widząc zaskoczenie na twarzy Hermesa Janickiego. – Myślisz, że coś przeskrobał? Pamiętasz, za młodu to trochę wywijał.

– Doskonale pamiętam. – Pokiwał głową. – Solis szalał. Że go nie zabił po tym, jak go w końcu dorwał, to cud. A właściwie zasługa Niny, która go wtedy wybroniła. Ojciec to by go chyba do więzienia posłał. Bardzo był surowy. I zasadniczy, ciężko się robiło z nim interesy.

– A co zrobił? – Angelina przysunęła krzesło w kierunku Hermesa Janickiego.

– Miał taką domową mieszalnię kremów, w czasach, gdy się na wszystkim zarabiała, ale to Nina później zrobiła z tej firmy...

– Nie... – Angelina machnęła ręką. – To już wiem. Pytam o Kacpra. Co tam nabroił?

– A on? Zakochał się na zabój. – Antykwariusz pokiwał głową, uśmiechając się szerze. – Szczypior taki młody był. Pamiętam. Zakochał się w najpiękniejszej dziewczynie z Teatru Polskiego. Najładniejszej, jaka wtedy tam była. Oszalał na jej punkcie.

– Jak się nazywała? – Angelina położyła już łokieć na stół, podparła ręką brodę i cała zamieniła się w słuch.

– Nie pamiętam w tej chwili... – antykwariusz wysiłł pamięć – była aktorką, ale krótko w Poznaniu. Wyjechała... I chyba już nie wróciła. Nazwisko wyleciało mi z głowy – powiedział, drapiąc się w czoło – ale zaraz może sobie przypomnę.

– Wiedziałam! – Angelina triumfalnie popatrzyła na siostrę, która pokiwała głową z uznaniem. – Wiedziałam – powtórzyła. – Ale niech pan opowiada dalej. Bardzo ładnie proszę – wdzięczyła się do wyraźnie zadowolonego Hermesa.

– Cóż mogło być dalej. – Zazdrosna o uwagę Józefina wzruszyła ramionami. – Na pewno zabawiła się nim i zostawiła.

– Nie do końca – zaskoczył ją Hermes. – Powiedzmy, oboje byli młodzi i z fantazją. Lata dziewięćdziesiąte, Europa się otwierała. Wszystko wydawało się całkiem możliwe. Takie realne. Świat na wyciągnięcie ręki. Ona porzuciła teatr, on dom i ruszyli do mekki artystów.

– Do Paryża? – zapytała rozmarzona Angelina, która podpierała już brodę obiema rękami.

– Tak, z tego, co wiem, tak.

– On też jako artysta? – zapytała Tycjana.

– Pisał wiersze, malował. Znak graficzny firmy Solisów, Słońce w trakcie zaćmienia, to on naszkicował, to jego dzieło. Nie zmieniło się i nie zestarzało od lat.

– To rzeczywiście jest w każdym sklepie. – Józefina pokiwała głową.

Tycjanę bardzo to zdziwiło. Ale też wiele się wyjaśniło. Przede wszystkim przepięknie kaligrafony rękopis. W sumie litery tworzące nazwę firmy, które znalazły się pod logo ze Słońcem, były bardzo podobnie zakręcone do tych w tytule spalonego rękopisu. Jak mogła wcześniej tego nie zauważyć?

– I co robili w tym Paryżu? Wie pan? – dopytywała się Angelina.

– A to wiem doskonale. Byli atrakcyjną parą mimów i występowali na słynnych bulwarach. Zbierając pieniądze do kapelusza – dodał. – Wcale nie takie małe jak na tamte czasy. Powiedziałbym nawet, że bardzo duże.

– On był mimem? – zdziwiła się Angelina.

– Może źle się wyraziłem. Powiedziałbym, że żywym pomnikiem. Takim, jakie teraz też stoją u nas na placach – wyjaśniał. – Na przykład mnich kiwający się jak maszyna po wrzuceniu do skrzynki zło-tówki.

– Wiem. Widziałam. Takiego ufoludka, na srebrno całego, przewracał oczami – ożywiła się Józefina.

– Trzy razy mu monetę rzucałam, bo robił tak śmiesznie głową.

Próbowała naśladować jego ruch. Rozśmieszyło to wszystkich.

– Coś takiego – przytaknął antykwariusz – tylko oni musieli być wyjątkowo oryginalną parą. Na przykład pazim i damą, krasnoludkiem i Śnieżką, Kajem i Królową Lodu. I jakieś zapewne jeszcze inne słynne pary.

– Widzisz, jak trafiłam z tym hobbitem – szepnęła Angelina, odwracając się do Tycjana.

– Znudziło im się? To chyba trudne tak stać bez ruchu? – dopytywała się Józefina.

– Podobno, jak się człowiek przyzwyczai, to wcale nie – wyjaśniła Angelina.

– Nie znudziło się – odrzekł Hermes. – Ojciec go odnalazł.

– Szczęściarz – prychnęła Angelina.

Tycjana westchnęła bez komentarza.

– A nie mógł go zostawić w spokoju? – Józefina wzruszyła ramionami.

– Nie. – Antykwariusz tajemniczo pogładził brodę, robiąc dłuższą pauzę. – Bo Kacper przed roman-tycznym wyjazdem zabrał całą gotówkę, jaka była w domu. A czasy były takie, że w banku wszystkiego się nie trzymało. Właściwie nic się nie trzymało w banku, a już na pewno nie pieniądze z prywatnego interesu, jaki miał jego ojciec. Przeszukał szafy i odkrył, gdzie je chował.

– I zabrał wszystko? – zdziwiła się Angelina.

– A, to dlatego chciał go odnaleźć – skwitowała Tycjana, nie patrząc na zdziwioną siostrę. – Znalazł ich tam? – zwróciła się do Hermesa Janickiego.

– Tak. Na jakimś placu. Kacpra w stroju Pierrotta czy Arlekina. Zapamiętałem, bo taki obraz wisiał u mnie wtedy w antykwariacie. Wariacje na temat Picassa – dodał. – Ale wracając do tematu, nie wiem, co Solisa poruszyło bardziej, czy te ukradzione pieniądze, czy ten błazeński strój i wymalowana twarz. Jak go zmusił do powrotu, tego dokładnie nie wiem. Wiem tylko, że do jego śmierci pozostali w niedo-brych stosunkach. Zdaje się, ojciec nigdy mu tego nie wybaczył. A on ojcu. Pamiętam też, że Nina go wtedy bardzo broniła. A miała własne dzieci. Mogła się pozbyć pasierba, ale to ona przekonała go, żeby został i zamieszkał w ogrodzie. Nie tułał się po świecie. Chyba się lubili...

– Nie tak do końca. – Józefina pokiwała głową. – Jak się okazuje...

– To wszystko doskonale brzmi! – Angelina kręciła głową. – Co za fantazja! Nie spodziewałam się... Potrafi zaskoczyć... Ciekawe, czy ma jakieś zdjęcia. Ale dlaczego nie został z nią? Tylko wrócił z ojcem?

– Podobno Solis umiał grozić i miał argumenty, ale nie znam szczegółów.

– Musiała go ta kradzież wyprowadzić z równowagi. – Tycjana próbowała postawić się w roli adwo-kata diabła i tak łatwo nie oceniać. – Pewnie się nie spodziewał, że Kacper będzie przeszukiwał własny dom i ukradnie...

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale pierwsza dostrzegła, że Angelina powoli wstaje i twarz zaczyna jej się zmieniać. Najpierw z radosnej w zamyśloną, potem w coraz bardziej wściekłą. Aż trudno było uwierzyć, że tak mogły się zmarszczyć i zbliżyć do siebie brwi, które jeszcze przed chwilą były wysoko uniesione w zachwycie.

– A dlaczego akurat teraz Kacper was tak interesuje? – zapytał Hermes Janicki. – Chodzi o ten obraz? Tycjano?

Tycjana nie patrzyła na niego i nie była w stanie odpowiedzieć. Widziała, jak siostra zaciska pięści, Józefina i Hermes również na nią spojrzeli.

– Co za szuja! – wrzasnęła w końcu Angelina. – Niech to szlag! Rozerwę go na strzępy! Na drobne kawałki! – krzyczała, idąc w kierunku korytarza.

Po chwili cała trójka słyszała, jak krzyczy, wbiegając po schodach. Potem nastąpiła cisza, znów wrzask i jakaś wiązanka słów, z której trudno było wyluskać pojedyncze przekleństwa.

Tycjana zostawiła Józefinę i Hermesa, którzy i tak nic nie mówili, tylko wsłuchiwali się w odgłosy dochodzące z góry. Poszła do pokoju siostry i stanęła w progu. Angelina miała potargane włosy i furię w oczach. Pozrzuciła poduszki z łóżka, porozrzuciła ciuchy wiszące do tej pory na krzesłach, przewróciła manekina i strąciła peruki z drewnianych głów.

– Nie wierzę! To złodziej jeden! Wcisnę go w ziemię – zadeklarowała, widząc stojącą przed nią Tycjanę. – O tak! – zademonstrowała, pchając ręką pustą przestrzeń do samej podłogi, a potem zaczęła deptać to miejsce. – Ja myślałam, że on tak się pręży przed wyjściem, żeby mieć parę centymetrów więcej, a on po prostu zgiąć się nie mógł. Nie wierzę! Jak mogłam tak dać się wyrolować!

– Ale co ci ukradł? – Tycjana nie była do końca pewna.

– Jak to co?! Ksero! Moje kartki ze skierowaną sztuką! Przeszukał pokój, jak go zostawiłyśmy, żeby się przebrał. Jeszcze nie było go słyhać, bo ta suszarka hałasowała. Mówiłam, że za długo tam siedzi! Mówiłam!

– Ale to chyba była jego sztuka? – przypomniała Tycjana dosyć nieśmiało, bo teraz furia mogła się obrócić przeciwko niej.

– Może i sztuka jego! Ale moje kartki! Ja mam rachunek z ksero i te kartki są moje! – powtarzała. – A co jest na nich, nikogo nie powinno obchodzić... Tak, utopię go. Z powrotem go do tej wody wrzucę. Raz mu już groziłam, a teraz to się spełni. Dlaczego ja je schowałam pod poduszką? O, ja głupia! Dlaczego nie zrobiłam dwóch kopii? Nie daruję sobie tego! Przecież wiedziałam, że autor to taki wariat, przed którym trzeba chronić jego własne dzieło!

– I tak nie mogłabyś z niej skorzystać bez jego wiedzy. – Tycjana próbowała ją pocieszyć.

Angelina spojrzała na nią. Zamilkła, zmrużyła oczy i ruszyła w jej kierunku.

– Ty go przyprowadziłaś... – stwierdziła, wbijając jej palec w dekolt. – Ty go tu zaprosiłaś! Wiedziałaś?! Przyznaj się! – Patrzyła jej prosto w oczy.

Tycjana ani drgnęła, choć czuła, jak zaczyna się trząść.

– Nie żartuj – wycedziła, czując, jak skronie zaczynają jej pulsować, dłonie się pocą. – Zrobiłam to dla ciebie...

– Nie żartuj?! Czy ja wyglądam, jak bym żartowała?! – wrzasnęła Angelina, odwracając się. Zakreśliła się w kółko, po czym kopnęła leżącą na ziemi koszulę z żabotem. Potem zielone spodnie.

– To nic nie da. Uspokój się i posłuchaj. – Tycjana próbowała opanować emocje. – Chciałam go przyprowadzić, żebyście o tej sztuce porozmawiali! Żeby cię trochę rozweselić...

– I patrz, jaka jestem wesoła! – Angelina podeszła do niej i syknęła jej prosto w twarz. – I tak od razu się zgodziła?! – Znowu dźgnęła ją wycelowanym w dekolt palcem wskazującym.

– Zaczęło padać! – warknęła coraz bardziej wściekła Tycjana.

– Jasne!

Kolombina

ANGELINA ZAPARKOWAŁA POD TEATREM. Nerwowo i krzywo. Próbując się lepiej ustawić, o mało nie uderzyła w inny samochód, a zamykając drzwi, przytrzasnęła pasek od wielkiej torby. Szarpnięta z wściekłością i cała zawartość poturlała się po ziemi. Była zła. Na Kacpra Solisa, że tak ją podszedł, gdy już myślała, że wszystko idzie po jej myśli, na Jarotę, który odsunął się od niej, choć teraz chciała, by był blisko, na Tycjanę, że się z nią znowu pokłóciła, choć już myślała, że układa się między nimi coraz lepiej, a tak najbardziej to na policję, że ją przepytывała z przeszłości, choć myślała, że ta sprawa sprzed lat już do niej nie wróci. Zbierając z ziemi szczotki, pędzle, kosmetyki, przypomniała sobie przyszczonego opasłego gnojka, który posunął się za daleko i dostał żelaznym czajnikiem w głowę. Nie tak mocno. Niestety okazało się, że wyszczerbiony dzióbek uszkodził mu oko, a on sam nie jest zwykłym uczestnikiem obozu dla trudnej młodzieży, tylko synem kogoś, kto zatrzał jej życie na następne parę lat. Nie myślała o tym od bardzo dawna, a teraz jej wszystko przypomniano. Co do Jaroty, to obiecała sobie, że zrobi wiele, żeby znowu wrócił, a to akurat potrafi, tego była raczej pewna. I jeszcze ta Tycjana. Nie miała wątpliwości, że odreagowała na siostrze skumulowaną frustrację, ale mogła się tak nie mądrzyć i nie patrzeć z wyższością, jak ktoś, kto nigdy nie popadł w tarapaty. Może i Tycjana miała rację, że skserowana sztuka nie jest jej, ale nie miała za grosz zrozumienia dla tego, jak jest to dla niej ważne.

– Mnie tatuś nie opłacał studiów. Musiałam się sama wszystkiego nauczyć! – warknęła sama do siebie, schylając się po lakier do włosów, który poleciał głęboko pod podwozie samochodu i utknął gdzieś pośrodku. – I nie ma to nic wspólnego z tym, że nie chciałam go widzieć – mamrotała dalej, próbując dotknąć koniuszkami palców pojemnika z aerozolem. Musiała klęknąć i jak najdalej wyciągnąć rękę. W końcu udało się przeturlać go na drugą stronę. – Mogła się zgodzić, jak prosiłam, żeby poszła do tego Solisa i odebrała moje kartki. A ona, że nie! – syknęła, przechodząc na drugą stronę samochodu i klękając przy kole. – Niech się tylko znajdzie ta miniatura albo niech się nie znajduje! I tak sprzedam to piętro i wszystko, co jest w środku. Nieważne, co tam sobie Józefina gada. Zrobię to i już! Bo te obrazki, co ona pacykuje, są ważne! A to, co ja robię, to już nie! – wycedziła przez prawie zaciśnięte zęby, chwytając lakier w rękę. Nie zdążyła się podnieść z kolan, gdy zobaczyła, że za innym autem młody małżonek Francuzik całuje się z małoletnią uczennicą garderobianej. Robili to tak zapamiętale, że nie zwrócili na nią uwagi, gdy wstawała, podnosząc dużą torbę, chociaż narobiła tym trochę rumoru. Pokręciła tylko głową i przewróciła oczami. Jedna z kosmetyczek nie chciała się ponownie zmieścić do torby, wcisnęła ją więc pod ramię. Skulona przemknęła za samochodem, nie chcąc im przeszkadzać, wołała też nie patrzeć na cudzego małżonka, którego już wcześniej musiała wyprosić z charakteryzatorni, bo zbyt dwuznacznie się zachowywał, a żal jej było jego żony. Uznała, że nikt jej nie zauważył, a całującej się parze nikt już nie przeszkodzi, gdy za murkiem osłaniającym schody zobaczyła palącą papierosa starszą Irenę Moloch, świeżo poślubioną małżonkę, na której powitanie jeszcze niedawno robili w teatrze imprezę. Przez parę sekund zastanawiała się, czy kobieta wie, co się dzieje za rogiem, i czy za chwilę nie rozpęta się między małżonkami kolejna awantura, podczas której, jeśli nie polecą wióry, to na pewno buty na szpilce celowane w głowę. Po paru krokach w jej stronę Angelina wiedziała, że tym razem raczej do tego nie dojdzie. Nie miała pojęcia, skąd ta pewność – czy wskazywał na to papieros bezwładnie zwisający w opuszczonych palcach czy obojętnie opuszczone ramiona, czy wydłużona mina. Opuściły się kąciki ust, broda lekko zwisała, ciężkie powieki opadały na oczy. Krótkie włosy, zawsze gładko przyczesane, teraz sterczały we wszystkich kierunkach. Aktorka patrzyła na nią, musiała też widzieć ją wcześniej, gdy kulila się, przemykając obok samochodu. Tylko westchnęła, zaciągając się znowu papierosem.

– Nie powinnam go tu przywozić – powiedziała przybitym głosem, gdy Angelina zbliżyła się do niej.

– Czy gdzie indziej byłoby lepiej? – odpowiedziała, wiedząc, że nie ma już co udawać, że nie wie, o co chodzi.

– Może masz rację – odparła aktorka, wypuszczając dym z ust.

– Pomoże mi pani? – zapytała, wskazując ścisną pod pachą kosmetyczkę. – A jak już dojdziemy do mnie na górę, to ułożę pani włosy. Poprawię makijaż, bo się już rozmasał. To zawsze trochę pomaga – zaproponowała Angelina, bo nic innego nie przychodziło jej do głowy.

Nie chciała jej zostawiać, a czekać, gdy tamtym znudzi się całowanie i wyjadą z samochodu, też nie było sensu. Irena Moloch chwilę na nią patrzyła, po czym bez słowa zgasiła papierosa, wyciągnęła kosmetyczkę spod ramienia Angeliny i ruszyła przodem. Znała drogę do charakteryzatorni na drugim piętrze, do której prowadziły wąskie stare kręte schody. Szła powoli, pokonując jeden stopień po drugim, jakby nie zależało jej na tym, żeby gdziekolwiek dojść.

– Tak. Może lepiej, żebym była ładna – powiedziała, siadając na krześle przed lustrem.

Angelina szybko się rozpakowała. Do spektaklu było jeszcze dobre parę godzin. Przyszła wcześniej, bo musiała wyjść z domu. Nikogo jeszcze nie było, miała więc wystarczająco czasu, by lekko nastroszyć, a potem wygładzić cieniutkie włosy aktorki. Były krótkie, z grzywką nad czołem, trochę na francuską modłę. Układając je, przypomniała sobie, jak wyglądał powrót Ireny Moloch na deski poznańskiego teatru po wieloletnim pobycie we Francji. Wszystkie aktorki zbliżone do niej wiekiem zazdrościły jej nowego i do tego młodego małżonka, który przyjechał razem z nią. Zazdrościły jej również te będące w jego wieku, bo przystojny i do tego tak zabawnie kaleczy polskie słowa. Gdzie się ruszył, otaczał go jakiś chichot, a później z reguły pretensje coraz bardziej odsuwanej na bok żony. Aktorka nigdy wyjątkowo piękna i dalej jak na swój wiek urodziwa, brzydła i gorzkniała z dnia na dzień. A kto mógł, schodził jej z drogi, szczególnie gdy szukała kryjącego się po kątach Francuzika.

Ale za to teraz, ku zaskoczeniu Angeliny, gdy siedziała przed lustrem z zapalonymi żarówkami, jej twarz w jakiś dziwny sposób łagodniała. Rozchmurzyło się czoło. Uniosły powieki, nawet się lekko uśmiechała, gdy Angelina nakładała jej puder na twarz i róz na policzki. Aktorka milczała, ale była nad wyraz spokojna, cierpliwie patrzyła w sufit, gdy malowała jej dolną powiekę, albo na swoje ręce, gdy szczotkowała jej rzęsy i nakładała tusz. Wyglądała coraz lepiej i dobrze jej to służyło, choć cisza stała się coraz bardziej niezręczna. Angelina przeważnie nie miała problemu z zagajaniem rozmowy, ale teraz nie wiedziała, o czym zagadać do kobiety w jej sytuacji. Pomyślała, żeby porozmawiać o następnym spektaklu, gdy nagle przypomniało się jej coś zupełnie innego. Mimo że uparcie odganiała od siebie myśli kręcące się wokół Kacpra Solisa, aż zadrżała z emocji. Jak mogła nie pomyśleć o tym wcześniej!

– Mam takie pytanie – zaczęła, malując jej pędzelkiem usta. – W Paryżu na placach stoi dużo takich żywych pomników. Mimów, tylko najczęściej bez ruchu – zagała. Irena Moloch spojrzała na nią ze zdziwieniem. – Takich mimów w przebraniu, co stoją...?

– Staczy? O to ci chodzi? – zapytała Irena, odchylając głowę. – Praca mimów polega na grze ruchem ciała, a bezruch jest jedynie chwilową wymuszoną pauzą. A nie odwrotnie – wyjaśniła.

– Ach tak. Właśnie. Staczy – potwierdziła Angelina.

– Jest ich wielu. Czasami bardzo kreatywnych. Znam kilku.

Angelina ledwo mogła ukryć podniecenie. Aktorka była w wieku Kacpra Solisa, mogła znać dziewczynę, która uciekła z chłopakiem na Zachód. A może nawet to ona? – przemknęło jej przez myśl. Ona, zanim stała się znaną „Iren Molok” z akcentem na „ok”. Może występowała na ulicy w towarzystwie obdarzonego niezwykle niskim wzrostem partnera. Którego rozkochała w sobie tak, że ukraść ojcu wszystkie pieniądze. Bez wątplenia potrafiła to robić. Nawet jeśli ostatni mąż był krótkotrwałą zdobyczą, to i tak wcześniej był zakochany, skoro się oświadczył i pognął za nią do Poznania. Tak, to dobry trop, pomyślała, patrząc na aktorkę.

– Oni się ruszają, ale tylko co jakiś czas – wyjaśniła Irena, zaciskając usta, by rozprowdzić pomadkę na wargach. – W podzięce – dodała. – Dobrze, jeśli się robi wrażenie i ludzie rzucają pieniądze, wtedy można zmienić pozycję. Ale niektórzy nawet tego nie robią. Kłaniają się i tyle. Kwestia treningu i dyscypliny ciała.

– Poznałam ostatnio takiego bardzo niewysokiego pana. – Angelina pokazała ręką, jak niewysokiego, żeby nie było wątpliwości, i mówiła dalej, grzebiąc w kosmetyczce: – I okazało się, że on w młodości uciekł do Paryża i tak stał na placach. Bardzo mnie to zaskoczyło i zainteresowało, bo nie spodziewałam się po nim tego. Znała go pani może? – zapytała, nakładając jej błyszczkę na usta.

– Nie – odpowiedziała aktorka, a gdy tylko Angelina skończyła, wstała. – Paryż jest wielki. Dziękuję ci, Lino – rzekła, przeglądając się w lustrze. – Teraz jest znacznie lepiej. Pójdę już.

– Chciałam jeszcze spytać... – Angelina zatrzymywała ją, ale właściwie nie wiedziała już, po co. Skoro nie znała, to nie znała. Wątek się urwał.

– A możesz mi powiedzieć, jak się idzie do sznurowni nad sceną? – zapytała, zatrzymując się w drzwiach. – Reżyser zamierza mnie spuścić na linach jako tę zjawę, którą mam się stać w ostatnim akcie. Chcę to obejrzyć, zanim przyjdzie. Powinnam wiedzieć, jak bardzo to niebezpieczne – wyjaśniła. – Zanim będzie próbował wmówić mi coś zupełnie przeciwnego.

– Tak, to prawda. Potrafi naciskać – potwierdziła Angelina. Ją próbował przekonać, że przemaluje pięć osób w trakcie piętnastominutowej przerwy. Jak się na coś uparł, ciężko mu było to wyperswadować.

Teatr Polski jest bardzo stary, zbudowany prawie sto pięćdziesiąt lat temu. Ma wiele zakamarków, schowków i krętych, wąskich schodów. Jeszcze sama się we wszystkich nie połapała i w niektórych przejściach się gubiła. Nie zajmowała się też scenografią, niezbyt ją to interesowało, ale była tam raz, na początku, gdy oprowadzał ją bardzo chętny, do tego przemylił strażak. Trochę kojarzyła, którymi drzwiczkami przejść, aby dostać się nad scenę. Wyłumaczyła Irenie, ale zaproponowała jeszcze, żeby zeszła do portierni, a portier na pewno ją tam zaprowadzi.

Aktorka jednak wzruszyła ramionami i powiedziała, że nie będzie schodzić na dół, bo „szkoda, żeby tak dobry makijaż się rozmazał”. Angelina rozumiała, przytaknęła, nie zdradziła, że użyła mocnego, wodoodpornego tuszu, tak na wypadek gdyby jej nastrój z łagodnego przeszedł w bardziej dramatyczny, uznała jednak, że nie ma co do tego wracać. Irena podziękowała i wyszła.

Przez chwilę myślała, kogo by tu jeszcze spytać o aktorkę, która występowała tu trzydzieści lat temu. Miała kilka pomysłów i zadowolona zajęła się układaniem pozostałych akcesoriów potrzebnych do przygotowania spektaklu. Gdy z grubsza uporządkowała przyniesione rzeczy i te, które były w charakterystyce, zaczęła myśleć. Najpierw o mimach, potem o lekkim uśmiechu na ciągle ładnie wykrojonych ustach, a potem o sznurowni. Coś ją zaniepokoiło. Nawet nie trochę zwiariowany reżyser nie spuszczałby na linach mającej już swoje lata aktorki. Od tego są kaskaderzy. Nie słyszałam też o takim pomysle, rozmyślała, siadając na krześle przed lustrem. Chwilę w nie patrzyła, po czym zerwała się na równe nogi.

Zbiegała po krętych schodach, trzymając się ściany, żeby nie polecieć na głowę w dół. Potem przebiegła przez wąski korytarz i odnalazła za wieszakiem małe drzwiczki. Znowu kręte schody, tym razem po trzy stopnie naraz, do góry. I drzwi, po których otwarciu stanęła na drewnianym pomoście ciągnącym się przy bocznej ścianie. I znowu schody, strome drewniane, szerokości drabiny. Miała wrażenie, że znalazła się pod dachem teatru. Przy ścianie były rzędy grubych, wielokrotnie poskręcanych metalowych lin przytrzymujących wiszące pod sufitem nad sceną dekoracje. Wielkie ciężkie płachty, niedostrzegalne z widowni, mogły się opuszczać i stanowić tło całej sceny. Z tej wysokości scena wydawała się malutka. I tylko ją właściwie widziała, bo jedynie na dole paliło się światło. Górne reflektory nie świeciły jeszcze. Przygłębła do ściany i czekała, aż oczy przyzwyczają się do nikłego światła.

– Pani Ireno! – krzyknęła, rozglądając się. Nigdzie jej nie widziała. Ruszyła ostrożnie po starych deskach, wyętzając wzrok. Zobaczyła ją na samym końcu pomostu, tuż za kurtyną.

– Nie podchodź – usłyszała.

– Czy już pani wszystko sprawdziła? Nie ma co stąd się spuszczać. To cholernie wysoko... – mówiła, powoli przesuwając się w jej kierunku.

– Mówiłam ci, nie podchodź! – krzyknęła Irena Moloch, którą zobaczyła już bardzo wyraźnie.

– Dobrze! Stoję – powiedziała Angelina, przesuwając się po centymetry. Aktorka przeszła pod barierkami i trzymała się drewnianej poręczy, kiwając się w kierunku sceny. Bariereka zatrzeszczała, nie była stworzona do przechylania się. – Ale niech mi pani powie, co pani robi?

– A jak myślisz? – prychnęła. – Zostaw mnie, chcę być sama! Trudno ci to zrozumieć?! – krzyknęła.

– I nie przesuwasz się w moim kierunku.

– Dobrze, nie ruszam się. – Angelina uniosła ręce w geście poddania się. – Mam lęk wysokości.

– To po co tu weszłaś?!

– Być może po to, żeby panią powstrzymać! I powiedzieć, że nie warto.

– Skąd ty możesz wiedzieć, co jest dla mnie coś warte, a co nie?!

– Na pewno nie warto spadać twarzą w dół! Zrobiłam pani ładny makijaż i jak chce pani wyglądać?!

Chce pani mieć czerwoną miazgę z twarzy? I co pani po sobie zostawi? Brudną plamę na scenie? Zdążą ją posprzątać jeszcze przed spektaklem i może dać za panią zastępstwo.

– Przesadziłaś – warknęła aktorka, a barierka niebezpiecznie zadrżała. – Nie znajdą tak szybko zastępstwa.

– Może to i prawda, a może nie – nie ustępowała Angelina, znowu przesuając się nieznacznie. – Ale przed jutrzejszym przedstawieniem to nie będzie po pani śladu. I tylko marna wzmianka w „Głosie Wielkopolskim”.

– Może nie taka marna – fuknęła aktorka.

– Na pani miejscu, jeśli już, to zrobiłabym to w trakcie przedstawienia i przy pełnej widowni. Przy najmniej byłaby pani we wszystkich wiadomościach.

Angelina zobaczyła, że Irena zaczęła słuchać. Przyciągnęła się do barierki i już nie przechylała do przodu. Irena Moloch słuchała, patrzyła na nią.

– Potrafisz być przekonująca – odezwała się po chwili.

– Bo już mam wprawę – stwierdziła i zrobiła krok do przodu.

Irena Moloch zaczęła przechodzić pod poręczą, która zaskrzypiała, zatrzeszczała, a potem strzeliła z hukiem. Angelina rzuciła się w kierunku przerażonej aktorki, która traciła równowagę, nie mogąc się już trzymać złamanej poręczy. Odchyliła się do tyłu pod własnym ciężarem. Krzyknęła. Angelina dopadła ją, chwyciła za ręce, sama się zachwiała, bo szamocząca się Irena Moloch zaczęła się jej łapać w niekontrolowany sposób. Obie traciły równowagę, w końcu Angelinie udało się uwolnić jedną rękę, złapać linę znajdującą się pod ścianą. Na szczęście była na sztywno przytwierdzona do mechanizmu, który ją przeciągał. Przewróciła się na deski pomostu, ciągnąc Irenę za sobą. Po chwili obie leżały, ciężko oddychając.

– Rzeczywiście masz wprawę – wysapała Irena.

– Bo jest pani moim drugim niedoszłym samobójcą w tym tygodniu... – dyszała zziębnięta Angelina.

– To masz szczęście... – skwitowała po chwili aktorka, ciągle patrząc w sufit.

– Tak, pierwszy był ten... ten niski, o którym mówiłam. Próbował postać w wodzie, nie mając gruntu... – wyjaśniła, ciągle leżąc na deskach.

– Naprawdę? Próbował się utopić? Teraz?

– Tak, wyciągnęłam go ze stawu sołeckiego... Byłam już mokra, teraz będę zakurzona...

Angelina zaczęła się podnosić, usiadła, ale nie wstała. Patrzyła wielkimi oczami na Irenę Moloch, która podniosła się pierwsza. Odeszła na bezpieczną odległość od złamanej barierki. Ustawiła nogi w literę w, wyciągnęła ręce przed siebie, jedną wyżej, drugą niżej, niczym baletnica na pozytywce, przechyliła głowę.

– Byłam kiedyś jego Kolombiną – powiedziała, okręciła się wokół siebie i ukloniła, zginając się wpół. Po czym zastygła w bezruchu.

Spadek

TYCJANA JESZCZE NIE MOGŁA DOJŚĆ DO SIEBIE. Na domiar złego dowiedziała się, że kłótnie, która rozpełtała się na górze, słychać było nie tylko na parterze, ale i w ogrodzie. Ciotka przysłuchiwała się jej z przejęciem, Hermes z ciekawością, a Jarota, który w tym czasie zapukał do Józefiny, z wyraźnym rozbawieniem. Tego była pewna, bo trudno było mu ukryć błędzący po twarzy uśmiešek, gdy zjawił się w mieszkaniu Tycjany. Zaraz po tym, gdy Angelina trzasnęła drzwiami wyjściowymi. Przyszedł z paczką paluszków w rękę i wyciągał jednego za drugim, głośno chrupiąc.

Nie udało się go wyprosić i przekonać, że to nie najlepsza pora na odwiedzinę, więc pokrótce streściła mu, o co chodziło. Dzwoniącej ciotce przedstawiła jeszcze krótszą wersję.

– Lina ma problem z Kacprem Solisem, ale pretensje do mnie! – powtórzyła to samo zdanie trzy razy na różne sposoby i w końcu Józefina dała jej spokój, odgrając się, że jeszcze będzie dzwonić, jak ochłonie...

Rzeczywiście miała ochotę zostać sama i ochłonąć, ale Jarota rozsiadł się w fotelu z paczką paluszków w rękę. W końcu spojrzął na zegarek i stwierdził.

– Za dziesięć minut powinniśmy wyjść.

– Słucham...

– Już za dziewięć.

– Niby gdzie mam iść, skoro się nigdzie nie wybieram – oświadczyła i położyła się na łóżku, przykrywając głowę poduszką.

– Tak szybko? – zapytała, zerkając jednym okiem.

– Zgodnie z wolą zmarłej Niny Solis.

– Za dziewięć minut notariusz zadzwoni kolejno do wszystkich Solisów i jednego Gopło. Zapowie swoją wizytę u nich w domu i odczytanie testamentu.

Tycjana usiadła.

– Jeszcze nawet nie było pogrzebu, dlaczego?

– Tego nie wiem, ale wcześniej czy później się dowiemy – oświadczył, pogryzając paluszki.

– Niczego nie będę się dowiadywać. To nie moje pieniądze, nie mój problem. Nie moje małpy, nie mój cyrk. Już dość tego mieszania się w nie swoje sprawy.

– Nie chodzi o pieniądze. – Jarota wstał z fotela, strzepując z koszuli kilka okruszków. – Osiem minut – stwierdził, patrząc na zegarek. – Chodzi o to, by dowiedzieć się, kto ją zamordował. Zdaje się, ta śmierć może mieć bezpośredni z nimi związek. A ja ciągle nie wiem, kto to. I nie wiem też jeszcze, kto się na tym wszystkim wzbogaci. – Zamyślił się na chwilę. – A to niezwykle ważne.

– To ty jesteś detektywem, nie ja. Ciebie prosiła moja ciotka o rozwikłanie tej sprawy, nie mnie – oświadczyła i znowu położyła sobie poduszkę na głowę.

– Ty mnie poprosiłaś, żeby zając się twoją siostrą. Wyciągnąć ją z aresztu. Przypomnieć ci? – powiedział, podchodząc do niej i zdejmując jej poduszkę z twarzy.

– Niepotrzebnie, bo mogła trochę posiedzieć – stwierdziła obrażona Tycjana.

– To inna sprawa. – Jarota się zaśmiał. – Ale mnie prosiłaś i byłem. Chodź, może teraz ja będę potrzebować twojej pomocy.

Tycjana odłożyła poduszkę. Podniosła się i usiadła. Zastanawiała się, choć raczej uważała, że z tym zastanawianiem to sama siebie oszukuje.

– Za pięć minut powinniśmy być. Bo zaczną się zjeżdżać, tarasować ulicę, nie zajmiemy żadnego dobrego miejsca... – wymieniał. – A warto posłuchać... może ktoś będzie głośno wypowiadał jakąś refleksję na temat sprawiedliwości bądź niesprawiedliwości tego świata.

– Dobrze. I będziemy kwita, tak? – zapytała.

– Na wieki wieków amen – odrzekł, wydłubując z paczki resztki połamanych paluszków. – Masz jeszcze pięć minut. I jak chcesz przykuwać mniejszą uwagę, to zapudruj jakoś tego siniaka pod okiem.

Chwilę siedziała bez ruchu, ale gdy już wstała, zaczęła się spieszyć.

– A tak właściwie to do czego ci jestem potrzebna? – krzyknęła z łazienki.

– Jeszcze nie wiem. Ale to może długo potrwać, a nie chce mi się siedzieć samemu w samochodzie – usłyszała, pudrując zieleńiące, podbite oko. – Pomyślałem, że lubisz moje towarzystwo.

Tycjana nie skomentowała. Ubrała się i kamie wyszła.

Jarota był wyjątkowo zadowolony, że właśnie rozpoczął się remont domu na posesji naprzeciwko willi Solisów. Parkując po drugiej stronie ulicy, wyglądał jak jeden z budowlańców i nie budził większych podejrzeń. Tym bardziej że samochód miał tak brudny i zakurzony, że gdy zaparkowali przy kontenerze ze śmieciami, wyglądało to, jakby właśnie do niego przyjechali w odwiedziny.

– Idealnie.

– Czy jednak nie za blisko? – zapytała Tycjana i opuściła siedzenie prawie do pozycji leżącej. Wyjątkowo nie chciała, żeby któryś z Solisów ją zauważył.

– Tym razem musimy być najbliżej jak się da. Nie wiem, czy głośnik dobrze zadziała.

– Co to znaczy, że głośnik nie zadziała? – zapytała z przerażeniem.

– Wraz z odległością, szczególnie w zwartej zabudowie, nikt nie sygnal – wyjaśnił, wyciągając z kieszeni w drzwiach samochodu paczkę dropsów. – Chcesz? – zapytał.

Nie chciała.

– Czy ty ich będziesz podsłuchiwał? – Zdecydowanie nie miała ochoty brać udziału w czymś nielegalnym.

– A jak miałbym się dowiedzieć, co mówią? – odparł, wzruszając ramionami. – Mnie nie zaprosili.

– Myślałam... myślałam... – Tycjana o mało nie zakrztusiła się własną śliną, której nie mogła przełknąć – ...że będziemy czekać i może coś usłyszymy?

– Moglibyśmy usłyszeć tylko trzaskanie drzwiami. Liczę też na wyzwiska, ale to niewiele wyjaśni. O, czekaj, ktoś jedzie.

Nim Tycjana się wychyliła, usłyszała pisk opon szybko podjeżdżającego samochodu. Zaparkował przed samą furtką. Za nim gwałtownie zahamowało kolejne auto. Z pierwszego wyskoczyła Izabella Faferek, trzymając za rękę chudego chłopaka, który strasznie się ościagał. Z drugiego samochodu wyskoczył jej mąż Wiktor.

– Po co go zabrałaś? – zapytał, patrząc na chudzielca, który oparł się o wóz z nosem w ekranie telefonu.

– Żebyś sobie przypomniał, że masz małe dziecko!

– Ale on nie jest mały... – odparł bezradnie.

Izabella dopadła furtki i stanęła w niej, chwytając klamkę obiema rękami.

– Tak chcesz ze mną rozmawiać! Tak?!

– Nic nie mówiłem.

– Jeszcze się z tobą policzę, ale będę musiała wiedzieć, do ilu mam liczyć!

– Ale... – próbował zdesperowany mąż. – Miała być rodzina...

– To ja nie jestem już twoją rodziną?! Syn też! – Izabella krzyknęła tak głośno, że Wiktor musiał zrobić krok w tył i schować się za tują. – Powiedz to jeszcze raz! Spróbuj, a nie rękę! Ukatrupię tę Aldonkę, a potem ciebie. Ją z obowiązku, ciebie dla przyjemności! Przepraszam cię, synu, będziesz sierotą! – krzyczała do chłopaka, ale ten ledwo uniósł wzrok znad telefonu.

Wiktor rozglądał się w poszukiwaniu ratunku i na szczęście zobaczył nadjeżdżający samochód inostry.

– Słysząc cię na sąsiedniej ulicy – powiedziała Tamara, wysiadłszy z auta. – Miej trochę godności – prychnęła jeszcze i odwróciła się w stronę brata. – Nie rozumiem, co tu się dzieje. A nie powinnam się denerwować. Możesz mi wyjaśnić? – Wiktor pokręcił głową. – Może Aleks coś wie?

Tycjana odwróciła się i zobaczyła przez tylną szybę podjeżdżającego rowerem Aleksa.

– Co to za cyrk? – zapytał, gdy już podszedł do rodzeństwa, kłapiąc japonkami.

– Wiem tyle co ty – stwierdziła Tamara. – O, chyba idzie ta notariusz.

– Ta? – szepnęła Tycjana do Jaroty, który tylko zmarszczył nos i się uśmiechnął. Wsadziła głowę między siedzenia, próbując dojrzeć, o kogo chodzi. Zobaczyła kobietę, która wyglądała wypis wymaluj jak Angelina udająca prawniczkę. W wąskiej spódnicy, na szpilkach, w okularach i z teczką pod pachą. Nawet była w jej wieku.

– Jest prawdziwa? – zapytała Jarotę, widząc, jak Aleks taksuje notariuszkę spojrzeniem.
– Najprawdziwsza – odpowiedział ze śmiechem w momencie, gdy w willi Solisów otworzyła się furtka i stanął w niej Gopło.

– Ty tu?! – wrzasnął Aleks.

– Opanuj się – skarciła go Tamara i chwyciła pod ramię. – Na wszystko jest czas.

– Mówiłam, że możemy umówić się u mnie w biurze, jeśli coś państwu nie pasuje – zaproponowała notariusz.

– Nie. Wszystko jest w porządku – stwierdził Leszek Gopło z kamiennym wyrazem twarzy. – Zapraszam – dodał, otwierając szerzej furtkę.

Pierwsza weszła notariusz. Tycjana miała wrażenie, że na chwilę obejrzała się za siebie, popatrzyła w kierunku ich samochodu i skinęła lekko głową.

– Nie mów, że ona dla ciebie podsłuchuje – zdziwiła się Tycjana, patrząc, jak przez furtkę przechodzi reszta rodziny. W przypadku Fąferek bardziej fortunnie byłoby powiedzieć: przepycha, bo wcisnęła się przed swojego małżonka. Ten kiwnął na syna i wszedł ostatni. Popatrzył na górne okna willi i chwycił się za głowę.

– Nie podsłuchuje, tylko udostępnia...

– A czy to legalne? – zaniepokoiła się Tycjana.

Jarota nie odpowiedział, tylko przekreślił gałkę w radiu samochodowym. Na razie szumiało.

– Mam nadzieję, że nie zapomni włączyć głośnika.

– Mówisz poważnie? Dlaczego ona to robi?

– Ma u mnie dług wdzięczności.

– I to wystarczy?

– Nie wiem, czy wystarczy. Żeby nakryć jej męża na zdradzie, trzeba było użyć wielu niedozwolonych metod... a był, ryczycywiście, kolega bardzo sprytny. Powiedzmy, że mi się rewanzuje – wyjaśniał dalej, kręcąc pokrętle.

– A nie mogła ci po prostu powiedzieć?

– Zależało mi na dramaturgii. O! I mamy to – stwierdził, gdy w głośniku przestało szumieć.

– Do rzeczy. Przecież nie musi pani odczytywać naszych nazwisk. – Tycjana usłyszała piekłący się głos Aleksa Solisa.

– Muszę odczytać listę obecności, ponieważ zgodnie z wolą testatora miała być cała rodzina. Łącznie z mężem, a widzę, że nie ma wszystkich – wyjaśniła notariusz, którą było słyhać wyjątkowo dobrze.

– Są wszyscy – rozpoznała głos Izabelli.

– Akurat ciebie nie powinno być – sarknęła Tamara.

– Nie, chodzi mi o pana Kacpra Solisa. Nie jest obecny.

– Przekażemy mu – zaproponował Aleks.

– Mam bardzo wyraźne wytyczne. Wszyscy wymienieni w testamencie, chyba że wolą się państwo umówić na inną godzinę.

– Pójdę po niego, mam jeszcze niezrealizowany limit kroków – zadeklarowała się Tamara.

Słyhać już było tylko szelest przekładanych kartek i jakieś niewyraźne szeptu w oddali.

Tycjana podniosła siedzenie, choć nie do końca. Jarota podrzucał dropy i łapał je w powietrzu.

– Pamiętasz? – zapytał po dłuższej chwili. – Już tak kiedyś siedzieliśmy w samochodzie. Pytałaś mnie, czy nie przespalem się z tobą, gdy byłaś kompletnie pijana, a ja odpowiedziałem...

– Nie musisz mi przypominać. Pamiętam bardzo dobrze – burknęła, nie wiedząc, gdzie oczy podziąć.

– Ale jak bardzo dobrze? – zapytał z ciekawością.

Tycjana miała wrażenie, że czerwienieje na twarzy. Nie mogła tego opanować. Miała tyle lat, a przy nim zachowywała się jak dziewczynka. Na szczęście głośnik znowu obwieścił głosem Tamary:

– Usiądź.

– Ale czy ja muszę tu być? – dopytywał się cicho Kacper Solis.

– Musisz – odpowiedziało kilka zniecierpliwionych głosów naraz.

– Skoro jesteśmy w komplecie, to mogę odczytać wolę testatora, pani Niny Solis. Proszę przyjąć moje kondolencje.

– Właśnie, czy to jest odpowiedni moment? – zapytał cicho Leszek Gopło. Jarota przysunął głowę do głośnika. – Czy to nie za wcześnie...

– Takie dyspozycje wydała mi pani Nina Solis. Upewniałam się kilka razy co do treści tego życzenia i sama również podpisałam odpowiednie oświadczenie obligujące mnie do odczytania testamentu, gdy tylko dotrze do mnie informacja o jej śmierci. Informacja ta dotarła do mnie dziś w godzinach południowych. Zakończyłam pracę i od razu poinformowałam wszystkich tu obecnych, przynajmniej większość. Uważam więc, że z mojej strony dopełniłam obowiązków – wyjaśniła notariusz.

– Nie przeciągajmy tego – zarządziła Tamara. – Mamy ostatnią wolę, to ją poznajmy i już.

– Od razu państwa uprzedzam, że testament został spisany w przeddzień jej śmierci, przede mną, czyli w obecności mojej i jednego świadka, mojego asystenta. Testament został zarejestrowany w Notarialnym Rejestrze Testamentów. Nabrał więc mocy prawnej. Fakt ten jest oczywiście do sprawdzenia. Czy chcą państwo znać treść? Czy mają jeszcze jakieś pytania? – Tycjana usłyszała szum, który wskazywał na jakieś szepty, ale nikt się nie odezwał. – Czyli mogę czytać? – upewniła się notariusz, ale dokładnie w tym momencie samochód ciężarowy, którego przyjazdu nie zauważyli, podniósł stojący obok nich kontener ze śmieciami i gruzem. Zrobił przy tym tyle hałasu, że wszystkiego nie usłyszeli. Jarota zaklął pod nosem. Cofnął auto i zaparkował po drugiej stronie, za samochodem Tamary.

– Wstęp mamy za sobą. Odczytałam wszystkie nazwiska i numery dowodów. Teraz część zasadnicza – oświadczyła notariusz, a Jarota odetchnął z ulgą i podrzucił kolejnego trzymanego w ręku dropsa, trafiając nim do ust. – Czyli wszystkie ruchomości, nieruchomości i aktywa firmowe przechodzą na własność pana Kacpra Solisa, syna Edmunda Solisa i...

Wrzawa i głosy, które się podniosły w tym momencie, były nie do zrozumienia i zagłuszały wszystko, co jeszcze miała do przeczytania pani notariusz.

– Spotkamy się w sądzie!

– To niemożliwe!

– To nieprawda!

– Dajcie mi spokój!

– Ty mała, podstępna kreaturo! – wyróżnił się głos Izabelli.

– To jeszcze nie koniec!

– Kto panią wynajął?!

– Wiedziałaś!

– Dajcie mi spokój – powtórzył Kacper Solis.

– Miał przecież nic nie dostać!

– To niedorzeczne!

– Przynajmniej ty nic nie dostałaś. – Aleks się zaśmiał.

– Nigdzie nie idź! Musimy porozmawiać!

– Nie będę z wami rozmawiać. Nie teraz!

– Zobacz, już rządzi! – wrzasnęła Izabella.

– Mama, to znaczy, że my nic?

– Zamknij się, gówniarzu!

– Proszę państwa o spokój... – Głos pani notariusz ledwo się przebił.

– No, to zacznij się piekło. – Jarota pokręcił głową, nie kryjąc zadowolenia.

Tycjana się zdziwiła, i to bardzo, ale była nie mniej zaskoczona od Jaroty, który ciągle kręcił głową z niedowierzaniem, wsłuchując się w dochodzące z głośnika odgłosy. Tycjana zaś spojrzała na furtkę w bramie, która właśnie się otwierała. Po chwili zobaczyła, jak wychodzi z niej Aldona Kuś. Dziewczyna nerwowo przegarniała rude loki i oglądała się za siebie. Pokazała ją Jarocie, który wychylił głowę.

– Ma doskonały instynkt samozachowawczy. – Jarota się uśmiechnął. – Jak szczone uciekające z tonącego okrętu.

– Naprawdę ucieka? Pewnie boi się Izabelli.

– To też, ale przede wszystkim Wiktor nic nie dostanie, a i Gopło też nie.

– A była z nim w znowie?

– Sama mówiłaś, że go wpuściła – skwitował Jarota.

– Rzeczywiście.

Z głośnika dochodził szum nakładających się krzyków i przebijający się stanowczy i spokojny głos pani notariusz.

– To ja się z państwem pożegnám. Zostawiam kopie testamentu wraz z moimi wizytówkami. Oryginał, jak mówiłam, znajduje się w Notarialnym Rejestrze Testamentów. Pozostaje do państwa dyspozycji. Z mojej strony to już wszystko...

– Zrób tak, jak mówiłem, proszę – powiedział Jarota.

Tycjana usłyszała najpierw chrzęszczący szelest rzuconych kartek.

– Za dużo – dodał.

Teraz odgłosy były przytłumione i zduszone, trudno było rozpoznać, kto mówi. Można się było tylko domyślać.

– Spotkamy się w sądzie!

– Zostawcie mnie w spokoju!

– Wiedziałaś!

– Wychodzę.

– Jeszcze z tobą nie skończyłem.

– Mamo, on sobie idzie.

– Daleko nie zajdzie.

– Ucieka!

– Wychodzę! – rozległ się krzyk, a za nim trzask zamykanych drzwi.

– Idź za nim, na co czekasz!

Podniósł się rumor i dźwięk kroków. Po chwili zapanowała cisza, a po niej chrzęst i szelest kartek.

– Spójrz na to.

– Nie wierzę.

– Trzeba się go pozbyć!

– To oczywiście. – Głosy należały do kobiety i mężczyzny, ale były tak zniekształcone, w dodatku zagłuszone przez trzaski, że trudno było rozpoznać, kto mówi.

– Cicho.

Znowu szelest, a po chwili trzaski i czysty głos pani notariusz.

– Przepraszam, zostawiłam telefon.

– Za wcześnie – jęknął Jarota i odpałił silnik samochodu, ruszając spod posesji Solisów. Wycofywał w szybkim tempie, prowadząc samochód na wstecznym prawie sto metrów, nim dojechał do skrzyżowania z małą uliczką i tam zakręcił. Po chwili zadzwonił jego telefon. Odebrał. Przez moment słuchał, a potem kiwnął głową.

– Tak. Jesteśmy kwita. Świetnie się spisałaś – powiedział i się rozłączył.

– Ale to była prawdziwa pani notariusz? – zapytała Tycjana, ciągle nie wierząc w to wszystko, co przed chwilą się rozegrało.

– Najprawdziwsza – potwierdził Jarota, wrzucając sobie dropa do ust.

– Ale dlaczego tak niespodziewanie spisała testament? Nikomu o tym nie mówiąc?

– Czas ją naglił.

– Czyli zdążyła... – skwitowała Tycjana, próbując poukładać sobie fakty.

– Nie wiem, czy zdążyła, czy za bardzo wyprzedziła. – Jarota przejechał kolejne skrzyżowanie wąskich uliczek, spojrział w lewo, gwałtownie zahamował i skręcił.

– Ale jeśli on wszystko dziedzyczy, a mówiłeś, że najbardziej podejrzany jest ten, kto ma największą korzyść z tego...

– Patrz – przerwał jej Jarota.

Tycjana nie wierzyła własnym oczom. Z bramy, sprzed najbardziej zapuszczonego domu, na ulicy równoległej do tej, na której znajdowała się willa Solisów, wychodził Kacper Solis. Rozejrzał się wokół i zaczął biec przed siebie, widząc nadjeżdżający samochód.

– Jak on się tu znalazł?! – krzyknęła Tycjana oszołomiona.

– Musi być jakieś małe tajne przejście w ogrodzie prosto do sąsiadów.

Jarota się zaśmiał, doganiając biegnącego Kacpra Solisa. Ten nie miał szans uciec i słysząc za plecami nadjeżdżający samochód, przystanął. Jarota opuścił szybę.

– Zostawcie mnie w spokoju! – wrzasnął Kacper, odwracając się. – A, to wy... – wydusił mocno zziąjany.

– Podwieźć pana? – zapytał Jarota.

Kacper Solis kiwnął głową, rozglądając się podejrzliwie. Tycjana wychyliła się i nacisnęła klamkę tylnych drzwi, wgramolił się więc, a gdy usiadł, zaczął otrząpywać ręce i odgarniać z siedzenia papierki po różnych przekąskach, jak najdalej od siebie.

– Dokąd? – zapytał kierowca.

– Nie wiem – odpowiedział, bezradnie wzruszając ramionami.

– A co się stało?

Ton Jaroty był tak obojętny, że Tycjana sama by się nabrała na jego niewiedzę.

– Okazało się, że macocha przepisała na mnie cały swój majątek – jęknął.

– To chyba trzeba się cieszyć – stwierdził Jarota, wyjeżdżając na główną ulicę.

Z naprzeciwnika jechał samochód Tamary Solis, zamierzała skręcić w tym samym kierunku.

– Może i trzeba. – Kacper Solis położył się na siedzeniu. Tycjana też odwróciła głowę. – Ale prędzej oni mnie rozszarpia, nim zdążę się nacieszyć.

– Niewykluczone – skwitował Jarota.

Tycjana zobaczyła przerażenie w oczach leżącego na tylnym siedzeniu Kacpra Solisa. I, co jeszcze bardziej niepokojące, brak uśmiechu na twarzy Jaroty. Powiedział to zupełnie poważnie.

– To gdzie pana podwieźć?

Jarota zwolnił, by dać się wyprzedzić Tamarze, która prowadziła z taką wściekłością, że nie tylko z impetem ich wyprzedziła, nie rozglądając się w ogóle, ale też przejechała skrzyżowanie, choć już zapaliło się czerwone.

– Gdzieś, gdzie przeczekam, aż się ściemni, i wrócę do siebie – oświadczył Kacper, wciąż nie podnosząc głowy.

– Może do mnie – zaproponowała Tycjana. – Co prawda Angelina też chce pana rozszarpać, ale ma spektakl do późna, więc pewnie się nie spotkacie.

– Zabrałem, co moje – zachnął się Kacper, siadając na środku tylnej kanapy.

– Mnie pan nie musi tego tłumaczyć. – Tycjana westchnęła. – Ale czy będzie pan miał spokój, jak wróci...

– W domu zostanie tylko Gopło. Jakoś przeżyję.

– Aleks go chyba wyrzucił. Tak przynajmniej mi się wydawało.

– Aleks jest mocny tylko w gębie – prychnął Kacper. – Nie raz tego doświadczyłem na własnej skórze. Kłapie tylko dziobem. Gopło zdążył się tam zameldować i wystarczyło, że wszedł do środka, a potem pogroził mu policją, jeśli jeszcze raz zmieni kod do furtki. Wystarczyło. Poodgrzązał się i tyle. Nina zawsze mówiła, żeby więcej robił, a mniej mówił. Zresztą ich nie będzie. Przypuszczam, że spotkają się u któregoś z nich i zaczną obmyślać plan, co robić dalej. Co ze mną zrobić – dodał i odwrócił głowę, patrząc w okno.

Tycjana zerknęła na Jarotę. Nie odezwał się ani słowem, tylko ruszył w kierunku placu Spiskiego.

Adieu

ANGELINA PRZEMIĘŁO SPĘDZAŁA CZAS W KNAJPCIE niedaleko teatru, przy stoliku wciśniętym w najdalszy kąt sali. Naprzeciwko niej siedziała Irena Moloch, a pomiędzy nimi stała butelka białego wina, i to nie pierwsza. Ulotniły się razem po spektaklu. Najszybciej jak się dało, choć paru aktorów grających tego wieczoru razem z Ireną nie chciało jej wypuścić, prawiąc kwieciste komplementy. Zagrała tak, że kilka osób dopiero teraz zrozumiało, skąd jej sława. Wcześniej była tylko nafochaną przybłąką gwiazdą. Do tego pełną pretensji, które powinny być kierowane pod adresem jej męża, a dostawało się innym, od garderobianych po dyrektę. Małżonka Francuzika nie spotkały, ale ku zaskoczeniu portiera i kilku osób z obsługi tym razem Irena wcale go nie szukała. Przy pierwszej butelce snuła wspomnienia z Paryża, kiedy to występowała, stojąc na placach razem z Kacprem Solisem. Uwielbiała go za kreatywność i optymizm. W to Angelinie trudno było uwierzyć. Ale podobno to on wymyślał scenki i stroje, w dodatku tworzone z niczego: farby, papier i to, co mogli kupić za grosze w supermarkecie. Przelicznik był taki, że pieniądze, które przywieźli z sobą, starczyły na miesiąc, może dwa. Zaczęli zarabiać sami. I to niemało, bo tworzyli niezwykłą parę. Podobno potrafili też prowokować. Angelina nie chciała wnikać, na czym niby te prowokacje miały polegać. Nie przerywała Irenie, która się zaśmiewała, przypominając sobie przeróżne historie. Nie odważyła się też spytać o ukradzione ojcu przez Kacpra pieniądze, bo Irena w ogóle o tym nie mówiła, nie zamierzała więc psuć nastroju. Rozlewając resztki pierwszej butelki, zakończyła opowieść tym, że Kacper z dnia na dzień bez słowa wyjechał. Napisał jakąś kartkę, ale od razu ją wyrzuciła, traktując to jako jałowe przeprosiny. Nie mogła sobie przypomnieć, co tam było napisane, ogólnie podobno słabe wymówki. O ile pierwsza butelka upłynęła w radosnym nastroju, o tyle druga od samego początku zapowiadała się bardziej refleksyjnie. Irena była ciekawa, dlaczego Kacper wszedł do stawu, ale tego Angelina nie wiedziała. Zrobiło się trochę smutno, bo aktorka zaczęła chyba sobie przypominać, że sama przed chwilą miała poważne załamanie nerwowe. By zmienić temat, Angelina postanowiła opowiedzieć jej o sztuce. Wątek ten pominęła we wcześniejszych opowieściach, teraz jednak uważała, że może zaciekawić aktorkę. Owszem, zaintrygował, i to bardzo. Musiała wyłowić wszystkie szczegóły z pamięci. Irena Moloch słuchała prawie bez słowa, raz po raz tylko dopytując o coś lakonicznie.

– I uważasz, że tam by była rola dla mnie? – zapytała, rozlewając drugą butelkę tak, jakby chciała, żeby jak najszybciej się skończyła. Dwa kieliszki prawie po same brzegi. Trochę się wylało.

– Moim zdaniem dwie – odpowiedziała z animuszem Angelina, nachylając się do kieliszka i upijając z niego trochę, bo nie odważyła się go podnieść. – Pierwsza to dostojnej damy, która obwozi Karla po dworach Europy. Ma takie swoje bawidelko salonowe. Żyją zabaweczkę – opisywała. – I nadęta baba dostaje to, czego chce. Zapraszali ją wszędzie, ale z nim! – dodała, podnosząc palec.

– Co za afront – prychnęła Irena z zadowoleniem.

– Tak. Chcieli widzieć to cudeniko, a nie ją. Wyobrażasz to sobie?

– Szlag ją musiał trafiać. – Irena się zaśmiała. – To tak, jakby rekwizyt miał być ważniejszy ode mnie. Aaaa... – machnęła ręką – należało się jej.

– Coś w tym stylu – potwierdziła Angelina, znowu upijając łyk. – I druga rola... – Zrobiła wymowną pauzę. – To młodej dwórki, w której on się zakochuje. Pięknej, uroczej...

– Młodej? – skrzywiła się Irena.

– A co, nie umiesz zagrać młodej? – zapytała Angelina i parsknęła śmiechem, widząc, jak Irena zaczyna mrugać zalotnie i robić buzię w ciup. – No właśnie, a resztę to ja już domaluję. – Obie się rozśmiały. – Wyobrażasz sobie? Tu kapelusze, suknie na kole, a tu czepek...

– Dopijaj! – zakomenderowała aktorka. – Idziemy do niego – oświadczyła.

Angelina patrzyła to na nią, to na prawie pełny jeszcze kieliszek.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł... – Poczula, że ma czkawkę.

– Jak zniszczył to ksero, a nie pisał gdzieś na brudno, to mu każę wszystko odtworzyć – oznajmiła Irena z teatralną powagą. – Przrzekam ci. Choćbym mu miała siedzieć na głowie. Jest mi to winien –

dołała już całkiem zwyczajnym, choć trochę bełkotliwym głosem.

– Ale zmarła jego macocha, niedawno – broniła się Angelina i czknęła, nie zdążywszy zakryć ust.

– Macocha, mówisz... To zobaczymy, czy mu gratulować, czy złożyć kondolencje... Dopijaj!

Angelina długo namawiała Irenę, żeby poczekały do następnego dnia. Czowała, że nie powinna kręcić się koło posesji Solisów, ale w końcu dała się przekonać. Wieczór był wyjątkowo przyjemny i ciepły. Irena postanowiła kupić kolejną butelkę wina. W końcu idą w odwiedzinę. Angelina stała pod sklepem. W środku była kolejka, z nudów więc obserwowała knajpiane stoliki po przeciwnej stronie ulicy. Po chwili zaczęła mrużyć oczy i wyciągać szyję. Była pewna, że widzi burzę rudych loków, i doskonale wiedziała, do kogo należą. Co ciekawe, ruda rozmawiała z inną znaną jej osobą. Rozpoznała ją po dużych splecionych złotych literach na torebce i sportowych butach, które do sportu nie służyły.

Jakoś się nie pozabijały, pomyślała, patrząc, jak rozmawiają. Może nerwowo, ale bez rękoczynów. Chętnie by podsłuchiwała, o czym mówią, ale Irena wyszła ze sklepu, a taksówka przyjechała wyjątkowo szybko. Wysiadły pod willą. Angelina, mimo że zawsze odważna, teraz nerwowo się rozglądała, co chwilę czkając.

– Ktoś o tobie myśli – skwitowała Irena.

– Chyba wiem kto.

Wyobraziła sobie Tycjanę, której nie da się wytłumaczyć tej ułańskiej fantazji, Irena Moloch bowiem, znana z Paryża „Iren Molok” z akcentem na „ok”, włożyła palce do ust i zagwizdała. Na szczęście niezbyt głośno. Za to bez zastanowienia nacisnęła guzik wideofonu. Angelina ledwo zdążyła odkroczyć.

– To nie jest dzwonek do domku w ogrodzie – wyjaśniła Irenie, przytrzymując się rosnącej przy ogrodzeniu tui. – Tylko do tego dużego, a tam nie są mili – dołała, czkając wyjątkowo głośno.

– Słucham – z głośnika odezwał się poważny męski głos.

– Ja do Kacpra Ssssolisa ssssss wizytą – oświadczyła Irena Moloch, chwając się pod furtkę.

Angelina machała ręką, dając jej znaki, żeby już się nie odzywała.

– A kim pani jest? – zapytał mężczyzna podejrzliwym tonem.

– Jego najpiękniejszszszszszszym wspomnieniem – wypowiedziała Irena. Wysoko unosząc podbródek.

– Nie ma go u siebie! Ale proszę poczekać... Zejdę do pani...

Angelina bardzo nie chciała się spotkać z kimkolwiek, kto był po drugiej stronie. Pociągnęła aktorkę za rękę.

– Uciekajmy – poprosiła prawie błagalnym tonem. Wesołkowatość zaczęła jej przechodzić.

– Dlaczego?

– U tych mam przechłapanie – jęknęła Angelina i znowu czknęła.

– Dobrze, żeby ktoś cię przestraszył. Dobrze na czkawkę – poradziła rzeczowo Irena.

– Proszę.

Angelina szarpnęła ją jeszcze mocniej. Irena poddała się i zaczęły biec, płacząc nogi po drodze. O mało się nie wywróciły.

– W domku w ogrodzie mieszka, mówisz... Bez dzwonka?

Angelina tylko przytakiwała. Uspokoiła się, dopiero gdy schowały się za rogiem.

– Tak – powiedziała, oddychając z ulgą.

– Widzisz. I już nie masz czkawki – stwierdziła Irena po chwili. – Chodź, zobaczymy, czy rzeczywiście go nie ma. Chodź kawałeczek i nie pytaj o nissss – rozkazała kategorycznym tonem.

Szły, od czasu do czasu robiąc zygzak w tę albo we w tę.

– Niektóre rzeczy się zmieniają, a niektóre nie – rzekła aktorka, gdy przeszły kolejne skrzyżowanie, skręciły w lewo i stanęły przed starym zapuszczonym domem z obwieszoną zardzewiałą furtką. – Mieszkała tu samotna stara kobieta. Znaczy stara, jak ja byłem młoda, i chyba w tej kwestii nic się nie zmieniło – powiedziała, naciskając na żelazną klamkę. – Jestem ciągle od niej dużo młodsza.

– Nie wiem, czy powinnyśmy... – bąknęła Angelina i sama zaczęła się zastanawiać, czy kogoś jej ten tekst nie przypomina.

Irena tylko prychnęła i pokazała torebkę z winem.

– Powiemy, że my na imprezę, tylko pomyliłyśmy chaty. Nie panikuj. Po prostu do ogrodu, za budkę z narzędziami i przez dziurę w siatce. Wiele razy tamtędy przechodziłam – oświadczyła.

– Ale w tym tysiącleciu? – burknęła Angelina, podążając za Ireną, która dosyć pewnym krokiem szła po rozszypujących się płytkach chodnikowych. Przy pełni księżyca, choć nie docierało tu światło lamp ulicznych, było stosunkowo jasno.

Na Sołaczu rzadko już widywało się takie wille – nieodnawiane przez jedno lub dwa pokolenia. W oknach było ciemno, a idąc pod niskim balkonem, Angelina miała wrażenie, że jest pochyły i zaraz na nią spadnie. Może też sama się lekko chwieję, pocieszyła się w duchu. I choć to było karkołomne przedsięwzięcie, znalazła się za rozwalającą się budką na narzędzia i czuła, jak pokrzywy parzą jej gołe nogi. Irena widocznie tego nie poczuła, bo pewnie posuwała się naprzód, aż w końcu kucnęła, odgięła siatkę i zniknęła w krzakach. Angelina ruszyła za nią, znowu czując pokrzywy, w dodatku drut przejechał jej po ramieniu, rozrywając dekolt jedwabnej sukienki.

– Nie wierzę – jęknęła, przytrzymując poszarpany kawałek materiału i przechodząc przez dziurę w siatce. Miała ochotę to powtórzyć, gdy wychylną z krzaków i stanęła na tyłach domku Kacpra Solisa.

– Tadam! *Voilà!* – zawołała Irena Moloch wyjątkowo z siebie zadowolona i zapukała w okno. Raz, drugi, ale nikt się nie odzywał. – To poczekamy na niego. Poszukamy klucza, powinien gdzieś być.

Angelina westchnęła z zachwytem na samą myśl o znalezieniu klucza do tego domku. Weszłaby tam, przeskakała go i znalazła swoje ksero! Wtedy odbiłaby je w stu egzemplarzach i rozrzuciła po całym parku Sołackim! Wrócił jej dobry humor.

– Pamiętajsz, gdzie jest? – Teraz by się już nie zdziwiła, gdyby Irena wiedziała to doskonale.

– Niedokładnie. Gdzieś przy domu. Pod jakimś zwierzęciem. Ale ten domek trochę zarósł i się zmienił... – mówiła, idąc i trzymając się ściany.

Wino coraz bardziej spowalniało ich ruchy, ale w końcu dotarły pod drzwi. Nie było ich widać z willi, Angelina więc swobodnie wspięła się na palce i obmacywała futrynę w nadziei znalezienia klucza.

– Ty chyba wypijaś więcej ode mnie. – Irena się zaśmiała, zaglądając pod doniczki przy ścianie. – Przecież on by tu nie sięgnął.

Angelina pacnęła się w głowę. Przestała tam szukać, ale wyteżyła słuch, bo zdawało się jej, że z głębi słyszy jakiś hałas.

– Ciii. – Przyłożyła palec do ust. – Pójdę sprawdzić – szepnęła.

Irena, podniósłszy kolejną doniczkę, znów bez efektu, kiwnęła głową, usiadła lekko rozczarowana na ziemi, wyjęła z torebki wino i zapaliła papierosa.

Angelina podeszła do szpalery słoneczników i ku swemu zaskoczeniu odkryła, że pierwszy, najwyższy rząd wysokich kwiatów rośnie w niewielkiej odległości od tui przy płocie. Mogła się tam wcisnąć i podejść bliżej. Szła po miękkiej, wypielonej ziemi, przystając co chwile, by je odgarnąć; była coraz bliżej źródła dźwięku. Trochę szeleściła łodygami, ale wiał też wiatr. Gorzej, że wróciła czkawka, musiała mocno zaciskać usta. W końcu przystanąła i zrobiwszy sobie wizjer wśród kilku gałęzi, zobaczyła siwiejącego starszego mężczyznę rozmawiającego z Kacprem Solisem, który właśnie zamknął za sobą furtkę.

– Szukają pana – usłyszała głos Leszka Gopło.

– Niech szukają – odparł Kacper Solis, mijając go i idąc w kierunku swojego domku.

– To poważne... – Gopło chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył, gdyż z głębi ogrodu rozległ się radośny krzyk.

– Mam! Lina, chodź tu! Znalazłam!

Angelina, która z wrażenia otworzyła usta, właśnie czknęła, i to wyjątkowo głośno. Sama się tego przestraszyła i efekt był taki, że zachwiała się i wywróciła, łamiąc łodygi dookoła.

Leszek Gopło wraz z Kacprem Solisem rzucili się w jej stronę i bez słów patrzyli, jak niezdarnie próbuje się wygramolić z dwóch rzędów przygniecionych słoneczników.

– Lina, to ty? Chodź – dobiegło spod domku coś na kształt szeptu, tylko takiego, który w teatrze słychać w ostatnim rzędzie. A zaraz po nim dźwięk otwieranych drzwi.

Angelina wstała, otrzepując się z połamanych gałązek i strąconych złotych płatków.

– Przepraszam panów. – Czknęła. – Koleżanka woła – powiedziała i rzuciła się pędem w kierunku domku. Była świącie przekonana, że jeszcze uda się jej chwycić Irenę za rękę i szybko uciec przez dziurę w siatce.

Ale Irena Moloch już była w środku i nawet sobie zapaliła światło.

– Ale tu ładnie. Przepięknie! – usłyszała Angelina, stając w progu i opierając się o futrynę.
Zaraz za nią przybiegł Gopło, a za nim Kacper, który przecisnął się pod ramieniem Angeliny.
– *Bonsoir, mon petit nain* – przywitała się Irena Moloch, rozkładając ręce. W jednej trzymała papierosa, w drugiej otwartą butelkę wina.
– *Bonsoir, Iren* – wydukał oszołomiony Kacper Solis.
– Dzwonię na policję – oświadczył przyglądający się im Leszek Gopło.
– Nie trzeba. My się dobrze znamy. – Kacper Solis mówił jakby w zwolnionym tempie.
Przynajmniej tak się Angelinie wydawało.
– I tak idę – oświadczył Gopło i ruszył w kierunku willi, oglądając się za siebie.
– Przecież powiedział, że się znamy – rzuciła w jego stronę Angelina i zatrzasnęła drzwi od wewnątrz.
– Dalej trzymasz klucz pod żabką – powiedziała Irena Moloch, uśmiechając się i mrużąc oczy.
– To na wypadek, gdybyś przyszła – powiedział Kacper Solis głosem, którego Angelina nie rozpoznawała. Miała wrażenie, że zaraz się rozplacze. Patrzył jak zaczarowany.
– Mamy jakieś kieliszki? Nie lubię pić z butelki – stwierdziła aktorka.
– Nigdy nie lubiłaś. – Głos wiązał mu w gardle.
– Ja też poproszę. – Angelina czknęła, wyciągając z rozerwanego dekoltu łydę z liściem.
Kacper Solis wrócił w mgnieniu oka, niosąc trzy kryształowe kieliszki. Irena podała mu butelkę, a on ją rozlał, ciągle na nią patrząc.
– Czekalem na ciebie – powiedział, podając jej kieliszek.
– Gdybyś mnie nie zostawiał, nie musiałbyś czekać – prychnęła Irena.
Angelina popatrzyła z uznaniem. Nie ma jak zacząć miłosne spotkanie po latach od nagany.
– Nic nie rozumiesz. Ja musiałem – jęknął Kacper. – Wszystko bym ci wyjaśnił, wtedy nie mogłem, a teraz ty przyjechałaś z tym mężem... i myślałem, że znowu wszystko stracone.
– Wkrótce byłym mężem – oświadczyła poważnym tonem Irena Moloch, wypijając duży łyk wina.
Angelina, która stała obok, bezwiednie kiwała się na boki. Wyostrzała wzrok, bo czuła, że świat zaczyna jej falować przed oczami, ale dałaby sobie rękę uciąć, że na dźwięk tych słów Kacper Solis też się zachwiał i musiał ręką poszukać oparcia fotela, żeby się nie przewrócić.
– Wybacz mi – powiedział prawie płaczącym głosem.
– A masz tę sztukę dla mnie? – zapytała Irena, rozsiadając się w fotelu.
Kacper rzucił się na podłogę i ukląkł u jej nóg.
– Wybacz mi. Spaliłem twój egzemplarz. A był taki piękny. Specjalnie dla ciebie... jak ja mogłem...
– bełkotał.
– A ksero? – zapytała rzeczowo Angelina.
– Ksero mam, ale...
– Przynieś – zażądała Irena.
– Dzięki Bogu. – Angelina westchnęła i dopiero teraz spokojnie podeszła, wzięła nalany jej kieliszek wina i usiadła przy stoliku obok, odkładając torebkę. Podparła się łokciem, ale osunął się jej z leżącego na stoliku czerwonego woreczka. Rozpoznała go i z powrotem wygodnie oparła łokieć na schowanej w nim książce.
Kacper Solis wyjął z pufa plik kartek i podał Irenie. Wielkodusznie odłożyła je na bok. Ależ ja dobrze zrobiłam ten makijaż! – Angelina pogratulowała sobie w myślach, spoglądając na Kacpra Solisa wpatzonego w Irenę Moloch. Aktorka też była wyraźnie rozanielona jego atencją, jak i tym, że znowu klęknał u jej stóp. Głaskała go po głowie, a on opowiadał. Z tego, co Angelina zrozumiała, chodziło o te pieniądze, które ukradł ojcu, żeby z nią pojechać. I groźby ojca, że go oskarży o tę kradzież, a jak nie wróci z nim, to jeszcze i ją. Irena Moloch słuchała tego ze zdumieniem i wyrozumiałością.
– Przecież zarobiliśmy wtedy majątek.
– Oddałem mu wszystko, tylko że jego to nie obchodziło. Ale teraz chyba będę miał pieniądze i robimy najpiękniejszy spektakl na świecie z tobą w roli głównej.
– Chyba dwóch rolach – poprawiła go Irena, popijając z kieliszka.
– Ilu zechcesz – zdążył zadeklarować natchnionym głosem, gdy rozległo się głośne pukanie do drzwi.
– Proszę otworzyć. Policja!

– Czego oni chcą? – krzyknęła Irena wyraźnie zdegustowana tym, że ktoś przerywa taką piękną scenę.

Angelina natomiast zmartwiała i miała wrażenie, że momentalnie trzeźwieje.

– Przrzekam, że teraz zdemoluję im ten komisariat. Przysięgam. Nie dam się zamknąć. Zagadaj ich, a ja może ucieknę – wyszeptła w stronę Ireny, która patrzyła na nią lekko nieprzytomnym wzrokiem.

Kacper poszedł otworzyć. W progu stało dwóch policjantów, a zza ich pleców wychylała się głowa Leszka Gopło.

– Pan Kacper Solis? – zapytał jeden z funkcjonariuszy.

Kacper przytaknął.

– Pojedzie pan z nami.

– Teraz? – jęknął, odwracając się w kierunku Ireny Moloch.

– Teraz. Ciężą na panu poważne zarzuty i podejrzenie, że może pan zacierać ślady.

– Chyba ślady z przeszłości – oburzyła się aktorka, podchodząc do policjantów i stając za plecami Kacpra.

– Je też proszę stąd wyprowadzić – zasugerował Leszek Gopło.

– Niech pan nas nie poucza – zganił go policjant. – Czy panie tu mieszkają? – zapytał. Obie pokręciły głowami. – To proszę opuścić to lokum. A pana zapraszamy do samochodu.

Angelina popatrzyła na kartki leżące obok fotela. Chciało jej się płakać. Przepadnie taka dobra sztuka.

– Iren – jęknął Kacper Solis, patrząc błagalnym wzrokiem na aktorkę.

– Nie opuszczaj mnie. – Irena westchnęła. – *Ne me quitte pas* – dodała dramatycznym głosem, przytulając jego głowę.

– Nie opuszczaj mnie, moja wytęskniona. – Kacper Solis zapłakał, obejmując ją wpół i mrugając mokrymi od łez oczami. – Masz klucze. Czekaj na mnie.

– Będę czekać – odparła, głaszcząc go po włosach.

Angelina miała wrażenie, że rozgrywa się przed jej oczami najbardziej teatralna scena, jaką w życiu widziała. Czowała, że zaraz sama się rozplacze, choć rzadko się rozklejała.

– Proszę z nami – niecierpliwiał się zakłopotany policjant.

Gopło się irytował. Policjanci nie wiedzieli, co zrobić.

– *Au revoir, ma Colombine* – wzdychał Kacper pociągnięty w końcu za rękaw przez policjanta.

– *Au revoir, mon Arlequin*. – Irena wyciągnęła przed siebie puste ręce, ale musiała przytrzymać się futryny. – Adieu. – Westchnęła.

– *Adieu!* – krzyknął oddalający się Kacper Solis.

Angelina zamknęła drzwi i przekręciła tkwiący w zamku klucz.

– Proszę je oddać – zażądał Leszek Gopło.

– Ani mi się śni. Dał je jej. – Pokazała na Irenę i czknęła.

Po chwili obie patrzyły na odjeżdżający radiowóz i głowę Kacpra Solisa przyklejoną do szyby. Gopło obrzucony przez Irenę wyzwiskami, których większość oscylowała wokół kapusiów i denuncjatorów, zatrzasnął za nimi furtkę, nie czekając, aż się sama zamknie.

Angelina chwiała się i co chwilę sprawdzała, czy ma na ramieniu torbę, a Irena musiała trzymać się tui, żeby stać prosto.

– W tym kraju nie szanuje się prawdziwej miłości – powiedziała, gdy policyjny radiowóz zniknął za rogiem.

Golem

TYCJANA PUKAŁA BEZ REZULTATU. Weszła więc bez zaproszenia do pokoju Angeliny. Ominęła rzuconą na środku pokoju sukienkę, potem biustonosz i majtki zaplątane w sandały. Podeszła do łóżka.

– Obudź się – poprosiła siostrę, lekko szturchając jej ramię. – Już południe.

– I co z tego – burknęła Angelina, odwracając głowę. – Zasuń zasłonki – jęknęła, mrużąc oczy. – I nie krzycz tak – dodała, dotykając ręką czoła.

– Wiesz, co się stało? – spytała Tycjana.

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Daj mi spokój.

Czarne kółka wokół oczu tworzył rozmazany makijaż. Opuchnięta twarz i przekrwiona skóra nie pozostawiały wątpliwości co do przebiegu wieczoru. Tycjana nie miała też złudzeń co do tego, w jakim siostra jest stanie. Wystarczyłby hałas, jakiego narobiła w nocy, gramoląc się na piętro. Na dokładkę pomyliła pokoje i padła na jej łóżko. Nim wybudzona zdążyła zareagować i się wściec, Angelina wybełkotała: „Sorry, fajnie, że jesteś. Nie, że w łóżku, bo to lepiej, jakby było puste, ale że tak w ogóle”, i czknęła na pożegnanie. Rozczuliło ją to. Poszła jeszcze do pokoju siostry i przykryła ją kocem. O tym, że w nocy aresztowano Kacpra Solisa i Lina najprawdopodobniej była tego świadkiem, dowiedziała się pół godziny temu od Jaroty.

– Dam ci spokój, jak chwilę porozmawiamy. Na dole czekają Jarota i Józefina. Opowiedz tylko, co się stało, i dalej śpij. Albo ich tu do ciebie przyślę.

– Woda. Gdzie jest woda? – pytała Angelina, obejmując rękami głowę.

– Na dole czeka na ciebie pełna szklanka z lodem i miętą. Taka zimna, pyszna, przejrzysta i wodnista – podpuszczka ją, widząc, jak mlaszcze i wodzi językiem po suchym podniebieniu.

– To niech ta szklanka przyjdzie do mnie na górę – zaczęła sobie Angelina i zakryła głowę poduszką.

– Jak nie zejdiesz, to wtarabani się do ciebie Józefina i...

– Klucz. Muszę... klucz. Po co mnie męczysz? Daj mi wody, tej wodnistej...

– Żeby dowiedzieć się dokładnie, co się wczoraj stało.

– Torba, gdzie jest moja torba? – zapytała nagle Angelina, siadając na łóżku i wodząc błędnym wzrokiem po pokoju. Tycjana obejrzała się za siebie i podała jej leżący obok majtek i sandałów wielki szmaciany worek. Angelina zajrzała do środka, uśmiechnęła się krzywo i z zadowoleniem odłożyła go na ziemię. – Czyli nie było tak źle... Nie pogubiłam się – dodała, kładąc się z powrotem na łóżku.

– Ja może dam ci spokój, ale reszta nie, przyjdą tu na górę. Byłaś tam wczoraj, gdy aresztowali Kacpra Solisa, jakiś policjant cię opisywał, i to dosyć dokładnie. Jarota mówił...

– Dobra, zejść. Obiecałam Irenie...

– Komu? – zapytała Tycjana.

– Nie krzycz tak. Ciszej. Zaraz zejść...

Po piętnastu minutach Angelina w kimonie i z kociem byle jak zaplątanym na czubku głowy popijała łapczywie wodę. Wpatrywała się w nią cała trójka. Józefina z troską przyniosła jej tabletki na ból głowy, Tycjana wodę i owoce, a Jarota patrzył bez słowa, obracając w ustach długie źdźbło trawy. Angelina wypila chyba z pół litra, nim zaczęła mówić.

– Byłam przy aresztowaniu Kacpra Solisa – potwierdziła, wylewając resztki wody na rękę i przemijając sobie nią twarz. – To już wiecie, tak?

– Ale co tam robiłaś? O tak późnej porze – spytała Józefina.

– Przeprowadziłam mu miłość sprzed lat – wyjaśniła Angelina i zrobiła długą pauzę, napawając się widokiem trzech par wytrzeszczonych oczu. – Tak się szczęśliwie złożyło, że ta aktorka, z którą on uciekł do Francji, znalazła się teraz w naszym teatrze. Przeprowadziłam mu ją i przeżywali niezwykle uniesienia, które niestety brutalnie przerwała policja. I to cała historia. Mogę już iść? – zapytała. – Nie

mogę wytrzymać na tym słońcu – jęknęła, choć siedziała w największym cieniu na wiklinowym bujanym fotelu, który podparła kamieniem, by nie odważył się bujać.

– To by się zgadzało – potwierdził Jarota, który dalej bawił się żdźbłem trawy.

– Czyli to wszystko? – zapytała Angelina, ziewając.

– Nie. Powiedz o szczegółach... – prosiła Józefina niezwykle podniecona zasłyszaną wieścią.

Angelina westchnęła.

– Ona mówiła: *Ne me quitte pas*, a on: *Au revoir, ma Colombine*. Potem chyba: *Adieu, adieu*. I pomachałi sobie. Coś jeszcze? – Wsparała ręce na oparciach fotela, by wstać, ale nie miała siły się podnieść.

– A czy nic cię nie zdziwiło? – nie odpuszczał Jarota.

– Nie. Oni się chyba zdziwili, jak się przewróciłam w te słoneczniki. – Zaśmiała się na to wspomnienie. – Chyba trzy rządkę pogniotłam. Zniszczenie totalne.

– Jezui! – krzyknęła Józefina. – Nina, jakby żyła, toby cię zabiła.

– Mam się cieszyć, że nie żyje? – zapytała Angelina, pokazując na pustą szklanke. – Kto mnie uratuje?

Tycjana wzięła dzbanek i dołała jej wody.

– A co robiłaś w tych słonecznikach? One chyba rosną daleko od ścieżki. Aż tak bujało? – Jarota się zaśmiał.

– Ukrywałam się – wyjaśniła z miną obrażonego dziecka. – Ale wcześniej widziałam coś ciekawego. W jednej z ostatnich otwartych w nocnej porze knajp zobaczyłam tę rudą, jak rozmawia z żoną swojego kochanka. Czyli że zawsze można się jakoś dogadać – skwitowała.

Jarota podniósł brew i zmarszczył nos.

– Spokojnie rozmawiały?

– Nie wiem, czy spokojnie, ale się nie pozabijały.

– Kobiety zawsze potrafią się porozumieć – zauważyła Józefina z miną mędrca.

– To wszystko? – zapytała Angelina. – Auć, jeszcze mnie głowa boli – dodała, chwytając się za skroń.

– Na pewno nic więcej? – zapytał Jarota.

– Nic. Poza tym, że obiecałam Irenie, że wyciągnę Solisa z tego aresztu. Zdaje się, że chciałam jej przyrzekać krwią, a może to ona się skaleczyła – zastanawiała się Angelina. – Ale za co go właściwie aresztowali? – zapytała.

– To jemu Solisowa przepisała cały majątek – wyjaśniła Tycjana. Chciała mówić dalej, ale nie zdążyła.

– Doskonale. – Angelina klasnęła w dłonie i sama się skrzywiła na ten głośny dźwięk. – To świetna wiadomość – dodała już bardzo cicho.

– Nie dla Niny, którą być może zamordował – zaprotestowała Józefina. – Przynajmniej tak uważa policja. Ja chyba też. Skoro Nina powiedziała, że traktuje go jak własne dziecko, czyli też swego potencjalnego zabójcę. To mądra kobieta była. I jaka...

– Ja w to nie wierzę – przerwała jej Angelina. – Taki romantyk?

– Ja chyba też nie – dodała Tycjana, przypominając sobie, jaki był zaskoczony po odsłuchaniu testamentu i jak długo nie mógł dojść do siebie, próbując przeczekać u nich złość rodziny. – Ale ty mówiłaś, że winny jest ten, kto najczęściej zyskuje.

– Dlatego ja jeszcze nie wiem – oświadczył Jarota. – Wiem natomiast, że najprawdopodobniej cała czwórka zwróciła się teraz przeciwko niemu. Jeśli zostanie skazany za jej zabójstwo, automatycznie przestaje dziedziczyć. Bo to, zdaje się, podpada pod rażącą niewdzięczność.

– To chyba oczywiste, że rażącą. Jeśli rozwalił jej głowę i... – Józefina znowu próbowała przekazać swoją opinię, ale przerwała jej Angelina z grymasem bólu na twarzy:

– Zaraz, zaraz. Ale czy tak można było sobie zaarrestować Kacpra?

– Jeśli kilka osób jednocześnie zeznało, że był u Niny w nocy, bo się im zwierzył... – zaczął wyjaśniać Jarota. – A miał interes w tym, by ją wyeliminować. Wiadomo już, że jakimś sposobem sprawił, iż przed śmiercią macocha przepisała mu cały majątek, pomijając męża i dzieci. To się robi podejrzane. A jeśli jeszcze zachodzi obawa, że zacznie zacierać ślady, to są podstawy, by go zatrzymać.

– I słusznie – orzekła Józefina. – Od początku miał coś na sumieniu. Chciał się utopić, bo miał wyrzuty. Ale mu przeszkodzono...

– Jasne – prychnęła Angelina. – Sam się chciał wyeliminować. Z miłości to zrobił – wyjaśniła. – Czekał na Irenę, a ona przyjechała ze świeżo upieczonym mężem. Wkrótce świeżo rozwiedzionym, więc może się mu jeszcze poukłada. Irena naprawdę go lubi, a może i więcej... Kto wie. Przepraszam was, muszę się jeszcze przespać – oznajmiła, ignorując Józefinę, która chciała mówić dalej. Próbowała wstać, ale tak się odchyliła na fotelu, że się przesunął, ześliznął z hamującego go kamienia i natychmiast przechylił do tyłu. – Niech to się nie buja – jęknęła, zakrywając dłonią usta.

– A ty, Titi, masz za dwie godziny spotkanie z doktorem Leszkiem Gopło – oświadczył Jarota. Tycjana zrobiła oczy w słup. Pierwszy raz o tym słyszała, tak samo jak zdobnienie swego imienia w jego ustach. Angelina zastępyła i zaczęła im się przyglądać z zaciekawieniem. – Będziesz udawać panią dziennikarkę z portalu „Kultura u podstaw” – wyjaśnił Jarota. – To taki portal Urzędu Marszałkowskiego.

– A, to nie muszę cię przebieierać – skwitowała Angelina, podnosząc się z fotela. Reszta też wstała. – Pasujesz.

– Po co mam się z nim spotykać?

– Zaraz ci wytłumaczę.

– A ja co mam zrobić? – dopraszała się zawiedziona Józefina, widząc, że wszyscy wychodzą.

– Przepraszam cię – zreflektował się Jarota, patrząc na pominiętą ciotkę. – Myślałem, że ten cyklicznik dziś przyjdzie i będziesz zajęta.

– Nie przyszedł – żachnęła się Józefina. – A myślałam, że nim trochę potrząśniesz.

– Powiedział, że dziecko ma chore i żona coś tam.

– Serio? I ty mu uwierzyłeś? Przecież jak nie dziecko, to żona, jak nie żona, to matka, a jak nie matka, to inne nieszczęście... Ech. – Machnęła ręką.

– Nie wiedziałem – odpowiedział Jarota zupełnie poważnym tonem. – Skoro jesteś wolna... Mam też zadanie dla ciebie...

– Jakież? – zapytała uradowana ciotka.

Tycjana czekała na Alejach Marcinkowskiego. Z teczką pod pachą i profesjonalnie przypudrowaną przez Angelinę powieką, która wcześniej prezentowała kilka kolorów żółcieni naraz. Tyle dała radę zrobić, i to idealnie. I niemal z zamkniętymi oczami. Tycjana nie mogła się sobie nadziwić. Kiedyś po takiej kłótni między nimi nie rozmawiałyby miesiącami, a teraz wszystko jej przechodziło, jak gdyby nigdy nic. Nie miała jednak czasu, by się nad tym zastanowić.

Przedmiot rozmowy wybrał Jarota, miejsce – Gopło. Ona miała tylko zadawać pytania, przygotowując się do felietonu o kabalistach pisanego niby dla portalu „Kultura u podstaw”. Zdziwiła się, że Gopło w swojej sytuacji życiowej ma czas na takie spotkania. Ale Jarota zapewniał ją, że ma, przede wszystkim dlatego, że jest próżny. Poinstruował ją jeszcze, jak ma prowadzić rozmowę, i zostawił przed Muzeum Narodowym. Pod pomnik Golema miała kilka kroków. Nie do końca wiedziała, czemu to spotkanie ma służyć. Jarota wyjaśnił tylko tyle, że ma być w tym czasie zajęty, cierpliwie czekała więc, oglądając rzeźbę.

Golem składał się z czterech postaci utworzonych tylko z przenikających się metalowych wstęg. Rzeźba wyglądała, jakby się przesuwiała i była w jakimś sztywnym ruchu. Podobała się jej.

– Nie pamiętam, kto to zrobił – powiedziała sama do siebie, zła, że nie sprawdziła. Ze sztuką nowoczesną na pewno nie była na bieżoku.

– Wykonał ją czeski artysta... – usłyszała za plecami męski głos. Odwróciła się. Leszek Gopło przedstawił się, nisko się kłaniając. Wyciągnęła rękę i podała jakieś zmyślone nazwisko, licząc, że to samo, które wymienił Jarota. – Taki ukłon dla wspólnej historii Pragi i Poznania – dodał, pokazując pomnik. Zdecydowanie nie wyglądał na dopiero co owdowiałego męża. Mimo swojego wieku przykuwał uwagę. Widziała to w oczach kilku mijających ich kobiet. Widział to też Gopło, z nonszalancją trzymając jedną rękę w kieszeni.

– Miły ukłon – wydusiła niezbyt inteligentnie.

– Oczywiście dzieci i niektórzy dorośli woleliby glinianego potwora z czerwonymi oczami, na dodatek buchającego parą, ale ja wolę ten. – Uśmiechnął się.

Też wykrzywiła usta w uśmiechu.

– Właśnie tę wspólną historię chcemy podkreślić – oświadczyła Tycjana, stając bardzo blisko niego, tak jak prosił Jarota. Miała skracać dystans między nimi, jak tylko się da, i tyle, ile będzie w stanie

znieść.

Doktorowi Gopło nie przeszkadzało, że mimo nieograniczonej ilości miejsca na szpalerze dębów na Alejach Marcinkowskiego stoi obok niego łokieć w łokieć.

– To bardzo dobrze, że państwo, pani – poprawił się – o tym pisze. Mało kto wie, że takiej legendarnej sławy mistyk i kabalista urodził się w Poznaniu. Trzeba pisać o Jehudzie Löw ben Becalelu i go przypominać poznaniakom. To bohater znanej na całym świecie legendy, która być może narodziła się właśnie tu – powiedział, patrząc jej głęboko w oczy.

– Właśnie. – Tycjana chrząknęła, uciekając wzrokiem. – Był rabinem Poznania przez wiele lat, nim pojechał do Pragi stworzyć tego potwora. Może pan opowiedzieć o tym, jak to się stało? – Postanowiła, że już nigdy w życiu nie będzie dziennikarką. Zachowywała się jak infantylna idiotka, przynajmniej takie miała wrażenie.

Doktorowi Gopło jednak to nie przeszkadzało.

– Doskonałe pytanie – stwierdził. – Nie dam rady w trakcie jednego spotkania wszystkiego pani opowiedzieć, musielibyśmy się jeszcze spotkać – powiedział i znowu popatrzył Tycjanie w oczy. Przytaknęła. – Ale na przykładzie Golema właśnie, potwora z gliny, najprościej wyjaśnić mistyczną wartość liter i słowa.

– Proszę mi o tym opowiedzieć. – Posłała mu spojrzenie pełne zainteresowania i zdziwiła się, widząc, jak Gopło unosi podbródek i napawa się swą mądrością. Jarota prosił, żeby za wszelką cenę przeciągnęła go jak najdłużej. – Pan ma taką wiedzę – dodała i przeraziła się. Jak może być tak infantylna?

Gopło jednak wyprężył się jeszcze mocniej, choć i tak trzymał się bardzo prosto. Z zadowoleniem uniósł podbródek wyżej. Nie mogła uwierzyć w swą moc.

– Proszę, usiądźmy. – Gopło pokazał ławkę w cieniu drzew. – Człowiek zawsze chciał na podobieństwo Boga dokonać aktu kreacji. Stworzyć coś ożywionego z nieożywionej materii. Tchnąc ducha w glinę. Mistycy żydowscy, zajmujący się kabałą, czyli nurtem mistyki żydowskiej – powtórzył z miną znawcy – uważali, że słowa i alfabet hebrajski posłużyły Bogu do stworzenia świata. Wystarczy tylko poznać znaczenie i moc liter, które tworzą wyrazy, i można dokonywać rzeczy wielkich. Choćby ulepić potwora i sprawić, by ożył.

– To naprawdę fascynujące – wtrąciła Tycjana, a Gopło rozparł się na ławce, tak że prawie dotykał jej ręką.

– Tak. Wie pani, jak Golem został stworzony? – zapytał.

– Nie – powiedziała, mrugając wpatrzonymi oczami.

– Jehuda Löw ben Becalel ulepił go z gliny, a w usta włożył mu pergamin ze słowem *emet*. *Emet* po hebrajsku oznacza „prawda”. I tchnął tym samym w niego życie. Stwór ten nie umiał mówić ani myśleć, bo był dziełem tylko człowieka, który nie ma boskiej mocy – dodał, przysuwając się do niej. – A gdy wpadł w furję i chciał zniszczyć swego twórcę, ten wyjął mu pergamin z ust. I co zrobił? – zapytał, ale nie czekał na odpowiedź. – Skreślił tylko pierwszą literę. – Gopło pokiwał głową i jeszcze bardziej przysuwając się do niej, spojrzał jej w oczy i zrobił poważną minę. Tycjana wstrzymała oddech. – Ze słowa *emet* powstało słowo *met*. A wie pani, co oznacza? – Zrobił dramatyczną pauzę, patrząc jej głęboko w oczy. Pokręciła głową. – *Met* po hebrajsku oznacza „śmierć” – wypowiedział to słowo wolno i takim tonem, że zmartwiła. – I po Golemie – dodał zadowolony, że takie zrobił wrażenie. – Znikła tylko jedna litera – oświadczył, rozkładając ręce. – Proszę mi powtórzyć pani piękne imię. Przeliczymy...

– Tycjana! – usłyszała z daleka rozdzierający krzyk. – Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewała! Nigdy – krzyczała biegnąca w ich kierunku Tamara Solis.

Tycjana zerwała się z ławki. Miała wrażenie, że Tamara biegnie do niej, ale ona rzuciła się na doktora Gopło.

– Jak mogłeś! – krzyczała tak, że obejrzało się kilka osób. – I to teraz, kiedy nie powinnam się denerwować!

– Ale co mogłem? – próbował się bronić Gopło.

– To ja już pójdę.

Tycjana zobaczyła samochód Jaroty, który skręcał przed Bibliotekę Raczyńskich. Rzuciła się w jego kierunku.

– Jeszcze chcesz ją gonić?! – usłyszała za plecami.

Nie obejrzała się, tylko biegła z opuszczoną głową. Ku jej wściekłości Jarota odjechał i dopadła go dopiero przy następnej przecznicy.

– Co to było? – wysapała.

– Powiedziałem jej, że macie romans – oświadczył z rozbrajającą szczerością.

– Po co? – krzyknęła, zapinając pasy i oglądając się za siebie.

– By zamącić w wodzie – wyjaśnił. – Może coś wypłynie – dodał i poczęstował ją nadgryzionym batonem.

Kara

ANGELINA PRZEJRZAŁA SIĘ W LUSTRZE. Głowa już nie bolała, znikła suchość w ustach, ale dalej wyglądała źle. Wyjęła więc z torby kosmetyki i postanowiła temu zaradzić. Trochę więcej fluidu i dobrze rozłożony puder wystarczyły, by zamaskować efekty dnia wczorajszego, ale zapomnieć się nie dało. Malując się, odtwarzała w głowie kolejne wydarzenia, co chwilę spoglądając ku torbie. O ile nie zaprzętała sobie głowy aktualną sytuacją Kacpra Solisa, bo w końcu to wszystko się wyjaśni i go wypuszczą, o tyle darować sobie nie mogła, że zostawiła swoje kartki u niego. Mogłaby już nad nimi pracować, pokazać Irenie i tym samym ukrócić władzę autora nad tekstem. A w torbie miała klucz i – co w tym najlepsze – znała przejście do jego domku w ogrodzie, tak by nikt jej nie zobaczył. Im dłużej myślała, tym bardziej jej się wydawało, że to doskonały, prawie genialny pomysł. Piętnaście minut w jedną stronę, piętnaście w drugą i ze trzy na miejscu. Wystarczy tylko dobrze się ubrać, pomyślała, patrząc na rozerwany dekolt jedwabnej sukienki. Poza tym pokrzywy. I dobrze by było, żeby nikt jej nie rozpoznał. Usiadła przed toaletką i przesunęła drewnianą głowę z peruką, bo jej zawadzała, ale spojrzała na nią jeszcze raz. I tak się musiała umalować... a gdyby tak trochę się przebrać? Tak na wszelki wypadek. Wzięła ją i nałożyła. Srebrzystosiwe włosy, napuszone, z tyłu splecione w cienki warkocz, pasowały doskonale. Moda z końca osiemnastego wieku postarzyła ją o jakieś dwadzieścia lat. Cera po wczorajszym wieczorze i tak miała ziemisty kolor. Należało tylko wzmocnić ten efekt. Z kilku fluidów ukręciła żółto-szary kolor. Rozprowadziła, a potem jak najmocniej zmarszczyła twarz. Każdą zmarszczkę, każdą bruzdę zaznaczyła ciemną kreską. Utworzone linie rozprowadziła pędzelkiem. Przyciemniła powieki, tworząc sińce pod oczami. Poszarzyła kości policzkowe i skronie. Teraz należało zgubić usta. Ścisnęła je w ciup, pomalowała ciemnym pudrem, rozciągnęła i lekko utrwaliła białym. W drobnych bruzdach pokazały się zmarszczki. Przypudrowała jeszcze rzęsy, żeby trochę je zgubić. Skoczyła do łazienki i nasmarowała brwi mydłem, żeby stały się szorstkie i sztywne.

Przypudrowała też perukę, żeby włosy straciły połysk. Przymocowała ją solidnie wsuwkami, jeszcze kilka maźnięć na koniec i prawie sama siebie nie poznawała. Narysowałyby jeszcze plamki wątrobowe, ale nie było już czasu, poza tym plan był taki, by nikt z bliska jej nie oglądał. Z ubraniami było trochę gorzej, ale poradziła sobie, wybierając z szafy Tycjany stary sweter i jakąś spódnice o niesprecyzowanej długości, szyję obwiązała chustką. Z okularów słonecznych w rogowych oprawkach wypchnęła szklą.

Zadowolona z efektu przełożyła przez ramię wielką sznurkową torbę. Nie było nikogo ani na górze, ani na dole. I dobrze, bo nie miała zamiaru nikogo o tym wypadzie informować ani tłumaczyć się ze swojego wyglądu.

Po kwadransie znalazła się pod zapuszczonym domem. Wyróżniał się na tej ulicy. Wysiadła i powolnym krokiem, właściwie niezauważona, weszła na teren zaniedbanej posesji. Pamiętała tylko, że powinna iść pod pochyłym balkonem i dostać się na tyły starej budki, potem prosto w pokrzywy. Zwisająca furtka zaskrzyphiała piskliwie, ale szybko ją domknęła i przyklepiona do ściany znalazła się pod balkonem. W dzień widać było pręty, na których ledwo się trzymał. Odruchowo podparła się ręką i w tym momencie zobaczyła podlewającą kwiatki staruszkę, a kawał tynku wraz ze skruszałą cegłą spadł z hukiem na ziemię, ale babcia ani drgnęła. Musiała być głucha. Przemykając za jej plecami, potrąciła torbę oparte o drzewo grabie.

– Kiedy ta moda na wielkie torebki minie? – syknęła, zła na samą siebie, wspominając małe plecakczki sprzed dwóch sezonów.

Babcia jednak się nie odwróciła i Angelina już bez przeszkód dotarła do dziury w siatce. Pokrzywy były po pas, więc i tak dobrze, że zeszej nocy piekły ją tylko nogi. Błyskawicznie znalazła się przed domkiem w ogrodzie i rzuciła okiem na szpaler słoneczników. Jak mogła myśleć, że można się w nich ukryć?! Nie rozglądała się już, tylko błyskawicznie weszła do środka i zamknęła się na klucz.

Leżały! Miała w planie szybko przejrzeć, czy aby są wszystkie. Trochę jej na tym sprawdzaniu zeszło, ale w końcu przekartkowała plik parę razy i zadowolona włożyła do torby. Już miała wychodzić, gdy zobaczyła na stoliku książkę, na której w nocy nonszalancko opierała łokieć. Gdyby to Tycjana

zobaczyła, pomyślała, odruchowo podeszła do stolika i zmartwiała. Patrzyła na okładkę z otwartymi ustami. Ktoś zmazał pół tytułu! Złoto było zdrapane, w niektórych miejscach brutalnie zdarte. Nie było już słowa PAMIĘTNIK, została po nim rozdlubana prawie do samej tekstury dziura. W kolejnym wyrazie zabrakło jednej litery w środku. Z drugiego członu tytułu znikła jedna litera – Ł. KARŁA zamieniło się w KAR A.

Angelina aż przysiadła z wrażeń. Kto się tak wyżywa na książce i grozi!

Wzięła ją do ręki i obróciła w dłoniach. Tył był nienaruszony. Przekartkowała kilka pierwszych stron. Nie było tam niczego. Znowu obróciła ją grzbietem, ale kiedyś nic nie wypadło i teraz też nie. Gdy tak wytrzymała wywrócony starodruk, usłyszała hałas syreny alarmowej. Policja? Z wrażeń upuściła książkę na ziemię. Hałas dochodził z ulicy, ale samochód pojechał dalej. Podniosła książkę. Przy upadku zagięta się jedna kartka. Zaczęła ją rozprostowywać. I już prawie ją zamknęła, gdy coś przykuło jej uwagę. Tekst był pisany, a nie drukowany, i mignęły jej „ą” i „ć”, i „sień”. A przecież cały pamiętnik był po francusku. Skąd to się wzięło? Litery były zamazyste, ale zapisane tak, że wyrazy prawie idealnie zaczynały i kończyły się w tym samym miejscu. Całość zapisano ołówkiem, przez co efekt był lekko przybłakły. Nie różnił się zbytnio kolorem od druku. Kucnęła, opierając się o ścianę, i zaczęła czytać:

Kacprze. Myślę, że wcześniej czy później to przeczytasz, a najpewniej nikt poza Tobą tego nie znajdzie. – Angelina Raj chrząknęła pod nosem i nie powściągnęła uśmiechu, który pojawił się na jej twarzy. – Miałam zamiar ukryć tu jakiś list, który odkryjesz po latach, ale postanowiłam napisać już teraz, na wypadek gdyby zdarzyło się coś, co będzie wymagało wyjaśnienia. Dziś zmieniłam mój testament. Zostałeś głównym spadkobiercą. Myślę, że moje dzieci rzuciły się teraz na Ciebie... i zapewne nawet mój mąż do nich dołączył. Jeśli bardzo zatruł Ci życie, to wybaczone. Piszę, żebyś zrozumiał powody mojej decyzji, i myślę, że w przeciwieństwie do nich zrozumiesz. Ktoś musi mieć nad nimi pieczę. Szczególnie teraz, gdy dowiedziałam się o wszystkich znacznie więcej, niż chciałabym wiedzieć, a ktoś może być jeszcze większym wrogiem, niż mi się wydaje. Najstarszy Wiktor pojęcia nie ma, że jego żona wynajęła tę Aldonkę, żeby mieć ewidentne dowody zdrady i rozwieść się na swoich warunkach. Aleks, wiesz, jaki jest, wszystko roztrwoni na przedziwne pomysły, które nigdy mu nie wychodzą. I... Tamara. Od dziecka ze mną walczyła, jak córka z matką. – Angelina zmarszczyła czoło, czytając to zdanie, ale otrząsnęła się i kontynuowała z wypiekami na twarzy, których prawie nie było widać, bo nie miały szans przebić się przez grubą warstwę fluidu i pudru. – Tym razem ugodziła mnie w samo serce. Cieszyłam się na wnuczę. Choć Tomasz Kołodziej nie był najlepszym wyborem, nie wiedziałam, że może być jeszcze gorszy. Będę w rysach tego dziecka rozpoznawać twarz mego męża, bo jego już nie chcę widzieć. Mam nadzieję, że ona sobie z tym poradzi. Nie wiem, jak ja to przeżyję, ale jeśli przeżyję, to zetrę za jakiś czas to wszystko, co dziś tu do Ciebie napisałam. Jeśli nie, bo dziwne rzeczy się wokół mnie dzieją, to wiedz, że jestem pewna, że postąpisz słusznie. I z czasem, gdy już Wiktor się rozwiędzie, Aleks może ochłonie, Tamara zostanie sama z potomkiem – Ty rozdzielisz słusznie pozostawiony przeze mnie majątek. Wyklucz kogoś z nich, jeśli przyczynił się do mojej śmierci. Gopło ma nic nie dostać. Sam zrób z pieniędzy użytek, tylko nie rób nic głupiego. Wiem, mówiłeś, że nie miałeś zamiaru się tak naprawdę utopić. Wszedłeś do tej wody, jak zobaczyłeś, że ktoś Cię widzi, ale nie rób tego więcej. – Angelina prychnęła z wściekłością. Jak go dorwę, to go do tego stawu wrzucę! – pomyślała. – Cóż, niepoprawny romantyk z Ciebie. Powodzenia. Dobranoc.

PS U Ciebie zgasło światło, ja też zaraz gaszę.

Pod spodem było dopisane mniejszymi literami:

Zgaszę, jak tylko rozprawię się z kimś, kto wszedł teraz do domu i myśli, że nie rozpoznaje tych kroków... Rozpoznaję, to...

Angelina tak zatrzęsa głową z wrażeń, że poczuła na głowie perukę. Nie mogła się powstrzymać, wyciągnęła z torby telefon. Zrobiła zdjęcie okładki ze zdrapanymi literami, dopisała: Już wiem, kto pomógł Ninie Solis wybrać się na tamten świat – i zadowolona puściła wiadomość Tycjanie. Chwilę potem za domkiem usłyszała kroki. Ktoś szedł, i to z tego samego kierunku, z którego ona przyszła.

Angelina

TYCJANA USŁYSZAŁA SYGNAŁ WIADOMOŚCI W TELEFONIE, ale nie miała teraz czasu sprawdzać, kto esemesuje. Kłóciła się z Jarotą. Uważała, że sprowokowanie spotkania z Gopło i nasłanie na nią Tamary było co najmniej nadużyciem z jego strony. Na nic zdały się jego tłumaczenia, że wprowadzenie zamieszania zawsze przyspiesza rozwój wydarzeń. Poza tym wiedział doskonale, że ojcem dziecka Tamary jest jej ojczym, mimo że próbowała przekonać wszystkich, iż to Tomasz Kołodziej jest sprawcą kolejnej ciąży. Co więcej, Jarota dostarczył tę informację Ninie w przeddzień jej śmierci i jeszcze na życzenie Solisowej dał numer do znajomej notariusz, by jak najszybciej zmienić wcześniejsze zapisy. Nie wiedział, czy Tamara zrobiła to na złość matce, czy to Leszkowi Gopło, notorycznemu podrywaczowi, znudziła się matka i omotał córkę. Szukała kontaktu do Jaroty, bo chciała sprawdzić, co on wie i czy powieździł Ninie, a także zebrać więcej informacji na temat doktora Gopło. Być może zaczęła nabierać jakichś podejrzeń co do jego osoby albo rozważała, czy przyznać się do tego romansu, choć skoro na wizytę u ginekologa udała się z Kołodziejem, widocznie zamierzała jeszcze ukrywać ten fakt.

To wszystko było fascynujące, ale to, że Jarota posłużył się nią bez jej zgody, by wmówić Tamarze, że Gopło ma kolejny romans, było przesadą. Nie wiedziała, jak się teraz z tego wyplącze. Kazała się odwieźć na Spiski cztery i chciała się zaszyć w mieszkaniu i zabarykadować drzwi.

Nie udało się jej niepostrzeżenie wejść, bo ulicą drobnym krokiem, podpierając się różową laseczką, szła Józefina. Na ich widok zatrzymała się pod furtką.

– Zadanie, które mi wyznaczyłeś, chyba mnie przerosło – zwróciła się do Jaroty.

– Ciebie też? – prychnęła Tycjana, wychodząc z auta.

– Próbowalam z Lucyną pogadać. Niby była spokojna, karmiła kaczkę, a ja zaczęłam tak naturalnie, bo patrzę, że nie ma zegareczka, takiego małego na ręce. Więc pytam, czy ją pasek uwierał, bo zawsze wpijał jej się w ciało, a ta... jak wpadła w sza! Zaczęła krzyczeć, że jestem wścibska. Ja? – zapytała Józefina, pokazując na siebie palcem.

Tycjana nie zamierzała ich słuchać. Zajrzała do torby, szukając klucza, i zobaczyła wyświetlacz telefonu z jedną nieodebraną wiadomością. Zamarła, myśląc, że to Tamara zaczyna jej szukać, ale się uspokoiła. To tylko Angelina przesyłała jakieś zdjęcie.

– No powiedz, Titi, to już grzecznie się spytać nie można? Przecież mogła go zgubić i by nawet nie wiedziała... A jak nie zgubiła, to co ją tak wzburzyło?

Tycjana nie odpowiedziała. Patrzyła na zdjęcie w telefonie z otwartymi ustami. Józefina z Jarotą spojrzeli na nią.

– Coś się stało? – zapytał.

– To od Angeliny. – Pokazała mu nadesłane zdjęcie i dopisek.

Józefina też się dopraszała. Nie rozumiała, czemu tak ich dziwi tytuł KARA, ale widząc ich miny, spokojnie czekała na wyjaśnienia. Jarota wziął jeszcze raz telefon do ręki. Powiększył zdjęcie.

– Patrz na nogi tego stolika w tle. To zdjęcie zostało zrobione w domku Kacpra Solisa.

– A co ona u niego robi? – zapytała Józefina.

Wszyscy popatrzyli po sobie.

– Dzwoni do niej – zarządził Jarota.

Tycjana wystukała numer. Siostra nie odbierała.

– Jedziemy – zdecydował.

Tycjana bez słowa wróciła do auta.

– A ja! – krzyknęła Józefina. – Nie dam się wykluczyć.

– Nie powinnaś chyba z nami jechać – uznał. – Nie wiem, o co tam chodzi, ale...

– To dyskryminacja ze względu na niepełnosprawność. – Zamachnęła się laską i uderzyła nią w klamkę samochodu, każąc tym samym otworzyć sobie drzwi. – Wyjaśnicie mi po drodze – dodała, gramoląc się do środka. – Czy ty kiedykolwiek tu sprzątasz? – spytała, zapinając pasy.

Józefina, wysłuchawszy pobieżnych wyjaśnień dotyczących liter, zafiksowała się na kabalistach. I utrzymywała, że od początku wszystkim są winni. Pech chciał, że gdy zajęli pod posesję Solistów, doktor Leszek Gopło właśnie zbliżał się do furtki. Jarota zatrzymał się i rozważał, co zrobić. Tycjana obniżyła się w fotelu tak, żeby nie było jej widać, a Józefina zupełnie bez ostrzeżenia rozpięła pasy, otworzyła drzwi i zadziwiająco szybko wysiadła z samochodu. Nim Jarota zdążył ją powstrzymać, szła już w kierunku męża Niny Solis.

– To ty! – krzyknęła, wyrażając mu laskę.

Angelina Raj była już na piętrze willi i zbliżała się cicho do pokoju, z którego dochodził ledwie słyszalny hałas. Najpierw widziała, jak kobieta puka do drzwi. Gdy nikt jej nie otworzył, wyciągnęła klucz z kieszeni i weszła. Angelinie nie udało się wejść za nią, bo nawet ze znacznej odległości dzielącej krzak, za którym się chowała, od domu słyszała przekręcany od wewnątrz klucz. Myślała, że będzie musiała czekać, aż kobieta wyjdzie, ale ta niespodziewanie otworzyła drzwi tarasowe i tylko je przytknęła, jakby szkowała sobie alternatywne wyjście. Angelina odczekała chwilę i skorzystała. Zdecydowanie nie powinna za nią wchodzić do tego domu, ale wiedziała, że to ona była w nocy w mieszkaniu Niny Solis, która sama o tym napisała. Angelina nie miała pojęcia, na czym może ją tam przyłapać, ale na czymś na pewno, skoro tak ukradkiem wchodzi. Podeszła do drzwi i leciutko je pchnęła. Otworzyły się bezszelestnie.

– Przystępca zawsze wraca na miejsce zbrodni – powiedziała dosyć głośno, sprawiając, że pulchna kobieta podskoczyła, a z ręki wypadł jej mały zegarek na cieniutkim paseczku. – Choć myślałam, że tak jest tylko w kryminalach – dodała.

– Kim pani jest?! – krzyknęła, cofając się w kierunku ściany.

Była przerażona i Angelina domyślała się dlaczego. Widziała się w lustrze za plecami kobiety i wiedziała, że wygląda trochę upiornie – siwe włosy, zmarszczki na twarzy, podkrążone oczy i młodzieńczy głos dla kontrastu.

– Jestem wysłanniczką Niny Solis – odpowiedziała spokojnym głosem. – Przekazuję jej ostatnie słowa. Rozpoznaję kroki kobiety, która idzie do mnie na górę. Czego Lucyna może ode mnie chcieć? Chociaż muszę się poprawić, ostatnie słowa słyszała pani, pani Lucyno Kołodziej, prawda? Była tu pani w nocy. Ona nie spała, więc musiałyście rozmawiać. Była to raczej brzemienne w skutki rozmowa, nieprawdaż? – zapytała, robiąc krok w jej stronę. – W jej trakcie zgubiła pani zegarek, który nosi od lat. Widzę to po wglębieniu na nadgarstku. – Lucyna Kołodziej kręciła z niedowierzaniem głową, robiąc kolejny krok do tyłu. – Proszę nie zaprzeczać.

– Ale ja, ja... – Lucyna zaczęła się jąkać. – Ja nic nie zrobiłam! Ja tylko chciałam wejść. Ona... Ona...

– Zamiast pani aresztowano Kacpra Solisa – ciągnęła Angelina. – Łączą mnie z nim specyficzne stonki. Powiem inaczej: nie chcę, żeby on dłużej w tym areszcie siedział, więc proszę się przyznać!

Ostatnie zdanie wykrzyczała tak głośno i dosadnie, że Lucyna, cofając się, uderzyła w ścianę i prawie się po niej osunęła. Haczyk, na którym było zawieszono lustro, nie wytrzymał ciężaru. Spadło na podłogę, rozbijając się na kilkanaście kawałków.

– Siedem lat nieszczęścia, ciekawe, czy to nie wyrok? Ja myślę, że nawet siedemnaście! – krzyknęła Angelina.

Lucyna Kołodziej zmartwiała, a później schyliła się i wzięła z podłogi kawałek lustra z wyjątkowo ostrym szpicem.

– Nie! – wrzasnęła Angelina.

Ten krzyk sprawił, że agresywna dyskusja tocząca się między wdowcem a Józefiną, Jarotą i chowającą się za jego plecami Tycjaną, do której doktor miał największe pretensje – ucichła. Wszyscy popatrzili na dom i górne okna, z których dobiegł wrzask.

– Lina! – krzyknęła Tycjana. – Niech pan otwiera! Szybko! – Prawie rzuciła się na zdezorientowanego mężczyznę.

Gopło przestał mówić, tylko szybko otworzył furtkę. Zdenerwowany i wystraszony krzykiem nie oponował, gdy Józefina wetknęła szpikulec laski w furtkę, nie pozwalając się jej zamknąć. Wbiegła za nim cała trójka.

– Nie! – znowu krzyknęła Angelina. – Niech pani tego nie robi! – prosiła, widząc Lucynę Kołodziej przystawiającą sobie kawałek lustra do szyi.

– Ja nie chciałam – płakała Lucyna. – Ona wyzywała mojego syna od dzieciorobów – jęknęła. – A to ta jej Tamara go zbałamuciła. Ja nie pójdę do więzienia. Pójdę do piekła! – wrzasnęła, przykładając sobie kawałek szkła do ciała tak mocno, że pojawiła się kropla krwi. – Ja myślałam, że ona już nie żyje. Ona się wyrzuciła... i ten kant. Uderzyła się sama, a potem wyglądała, jakby nie żyła. Ja ucieklam...

– To niech się pani nie martwi – powiedziała Angelina najbardziej spokojnym głosem, na jaki udało się jej zdobyć. Spróbowała zrobić krok w jej stronę. – Może to będzie tylko siedem lat w zawiasach za nieudzielenie pomocy – zaczęła ją przekonywać, robiąc kolejny krok.

– Stój! – wrzasnęła Lucyna.

Angelina usłyszała jakiś hałas za plecami, ale nie zdążyła się odwrócić. Poczła niesamowity ból od uderzenia w kark. Zasyczała, zginając się wóół. Dopiero zgięta z bólu odwróciła głowę i zobaczyła stojącą nad nią Józefinę z laską wymierzoną w jej kierunku.

– Zostaw ją w spokoju, stara babo! – krzyknęła ciotka.

– Co robisz? – jęknęła Angelina, powstrzymując ją przed następnym uderzeniem.

– Kim jesteś? – zapytała spłoszona ciotka.

– Jak to kim? – prychnęła Angelina, prostując się i masując kark.

– Lina? – zdziwiła się też Tycjana, a Jarota z wrażenia uniół brew.

– Wiem, że to ona była w nocy u Niny, mówi, że jakiś wypadek. Przyszła, bo chyba spadł jej zegarek.

– O co w tym wszystkim chodzi? – zapytał Gopło, patrząc oniemiałym wzrokiem na rozgrywającą się przed nim scenę.

– Zostawcie mnie w spokoju! – wrzasnęła Lucyna Kołodziej, ciągle dociskając sobie odłamek lustra do szyi.

– Lucynko, co ty robisz? – zapytała Józefina, która chciała do niej podejść, ale gdy tylko zrobiła krok, Lucyna mocniej przycisnęła szkło i po tafli pociekła struzka krwi.

– Stój! – krzyknęła zrozpaczona kobieta. – Jak ja mam żyć? Jak ja będę patrzeć swojemu wnukowi w twarz? Co ja mu powiem?! Że najpierw wystraszyłam jego babkę, a potem zostawiłam ją na śmierć?

– Za to odpowie pani przed sądem – spokojnym głosem oświadczył Jarota. – A wnukowi nie będzie się pani tłumaczyć, bo to nie pani wnuk. Ojcem dziecka Tamary jest tu obecny pan Gopło.

Lucyna Kołodziej zaczęła się cała trząść.

– Nie! To nieprawda! – mówiła, a coraz bardziej zakrwawione szkło dalej trzymała przy szyi. – Chciecie mnie powstrzymać! Nie!

Tycjana szturchnęła Józefinę i wyjęła jej laskę z ręki. Ciotka nie wiedziała, o co chodzi, ale знаła Tycjanę od lat i rozpoznała poważną i skupioną minę bratanicy. Puściła rączkę.

Tycjana wiedziała, że ma szansę. I musi spróbować. Roztrzęsiona Lucyna nie widziała spływającej po lustrze krwi i w tym stanie nie czuła już bólu. Była tak skołowana, że mogła zrobić wszystko. Tycjana stała z boku w dobrym miejscu. Chwyciła więc laskę, zrobiła wypad, tak jakby miała floret w rękę. Błyskawiczny i precyzyjny ruch. Z takim impetem uderzyła w rękę Lucyny, że ta odruchowo ją cofnęła i wypuściła spiczasty i okrwawiony już kawałek lustra. Roztrzaskała się na wiele okruchów. Nim Lucyna Kołodziej zdążyła schylić się po drugi, dopadł ją Jarota i obezwładnił zamoczącą się kobietę.

– Titi, jestem pod wrażeniem – powiedziała Angelina, ciągle masując obolały kark.

– Linko. Ja nie chciałam – jęknęła ciotka.

– Z tobą porozmawiam później. – Angelina pokręciła głową. – Teraz mam dosyć. To mój trzeci samobójca w tym tygodniu...

EPILOG

– O PANI, A WIĘC TAJEMNICA MEGO SERCA UJAWNIONA. Może pani dopełnić mego szczęścia albo stać się przyczyną i narzędziem mej śmierci – wyszeptał Kacper Solis, kłęcząc u stóp Ireny Moloch. Ta z przerażeniem parła plecami na ukwieconą drewnianą pergolę, aż zatrzęszczała. W oczach miała strach i ręką zakrywała usta.

– Ale cóż ja... – Westchnęła, lekliwie przewracając oczami.

– Zrozum, najdroższa! Czyż natura skazała mnie na mój wzrost, abym nie opuścił ciasnego kregu dzieciństwa? Czemu więc dała mi wrażliwe serce? Czemu zasiała w moim sercu ziarno gwałtownej namiętności! – krzyknął Kacper, podrywając się z kolan. Irena przesunęła się o krok. Solis napierał na nią, mówiąc dalej: – Dlaczegoż natura nie ustanowiła granic dla mych uczuć, tak jak ustanowiła je dla mego wzrostu?

– Twoja namiętna miłość mnie trwoży – wyszeptala drżącym głosem Irena, cofając się jeszcze dalej, na skraj pergoli. – Po cóż te uniesienia – dodała już trochę głośniejszym, mocno mrugając.

– Zabraniasz mi uniesień! – krzyknął Kacper. – Czy sądzisz, że jest w mojej mocy cię posłuchać? Kocham cię bardziej niż inni mężczyźni, bardziej niż ktokolwiek inny! A ty, pani, czegoż się boisz? Śmieszności? – wykrzyknął zrozpaczonym głosem, który wiązał mu w gardle. – Czy nie będziesz szczęśliwsza ze mną niż z jakimś wyniosłym małżonkiem? Który nie zdoła cię docenić, nie wiedząc nawet, co to jest miłość do ciebie!

– Zapomnij o nas. Za jakiś czas poznasz swoje szaleństwo... Zrozumiesz niemożliwość tego związku – broniła się Irena.

– Jednak boisz się śmieszności?! – Kacper Solis znowu padł do jej nóg i głośno zaszlochał. – Wiedzę, że śmieszność ta maleje, gdy przeciwstawić jej prawdziwe uczucie – mówił, już głośno łkając. – Wystarczy tylko, abyśmy się kochali, by ujrzeć, jak ona znika... – Objął rękami jej stopy.

– Powinnam cię znienawidzić po tym wszystkim, co przez ciebie wycierpiałam – przerwała mu Irena, odwracając głowę i próbując uwolnić nogi, lecz nie było to łatwe. Musiałaby kopnąć, by się wyrwać z uścisku Kacpra Solisa, który już czołgał się po trawie, rozpaczliwie chwytając rękami jej łydki. – Całe miasto mówi o nas! – żaliła się cienkim, drżącym głosem. – Gdziekolwiek pójdę, jestem wystawiona na złośliwe kpiny! Co ja ci zrobiłam? – Zapłakała, chowając twarz w dłoniach.

– Ale jeśli będziemy się kochać... Jeśli będziesz miała odwagę połączyć swój los z moim, czyż cały świat nie będzie należał do nas? – przekonywał błagalnym głosem Kacper.

– Twoja egzaltowana wyobraźnia nie pozwala ci widzieć rzeczy takimi, jakie są... Joujou, zaba-weczko, nie chcę ci sprawiać bólu... – powiedziała Irena, strząsając w końcu ręce Kacpra Solisa ze swoich łydek.

Kacper zawył.

– Nie mogę patrzeć, jak on cierpi! – wykrzyknęła Józefina, podrywając się z fotela przystawionego do ściany.

W jej stronę odwróciły się jednocześnie głowy z czterech sąsiednich, ustawionych w rzędzie krzesel. Antykwarium poglądził brodę, po raz kolejny zerkając ukradkiem na odnowiony portret Józefa Boruwłaskiego, który stał honorowo na krześle obok niego. Siedzący dalej Jarota chrząknął, próbując ukryć, że właśnie usiłował ugryźć wafelek, Tycjana zaś syknęła w kierunku ciotki, przystawiając palec do ust. Angelina wzruszyła ramionami i wstała, wzdychając z pobłażaniem.

– Ile razy mam ci mówić, że wszystko dobrze się skończy? – zwróciła się do ciotki. – Będą mieli cztery córki. Wszystkie wysokie. Kiedyś go zostawi, ale minie jeszcze wiele lat...

Józefina ledwo oddychała z przejęcia. Najbardziej przeżywała ten fragment sztuki, w którym Joujou wyznawała miłość młodziutkiej Izalinie, dwórcę swojej potężnej protektorki.

– Wiem, wiem. – Machnęła ręką i zaczęła się wachlować.

– Przeczytajmy jeszcze scenkę z drugiego aktu – zaproponowała Angelina. – Chcę cię jeszcze zobaczyć – dodała, podchodząc do Ireny z kartkami w rękę. – Jesteś idealna jako wdzięczny podlotek, teraz czas na rozwścieconą damę.

– Z przyjemnością. Bardzo bolało? – zapytała Irena Moloch troskliwie i pochyliła się nad podnoszącym się z kolan partnerem. Kacper Solis strzepywał ze spodni żółbłą trawę i zaprzeczwał z rozanielonym wyrazem twarzy. – Chyba niechcący kopnęłam cię obcasem w głowę?

– Nic nie poczułem – stwierdził. – A szkoda, bo to byłby dla mnie zaszczyt – dodał.

Angelina zaśmiała się, patrząc na zadowoloną z wyznania Irenę, i każdemu podała oddzielną kartkę.

– Dobrze asystuję? – zapytał Kacper Solis, spoglądając to na Angelinę, to na Irenę.

– Idealnie – odpowiedziały unisono.

– Niestety karcony Boruwłaski w tej scenie prawie nic nie mówi. Stoi niemal cały czas ze spuszczoną głową – oznajmiła Angelina, czytając didaskalia.

Tycjana z Jarotą cierpliwie czekali na ciąg dalszy. Józefina z przejęciem trzymała rękę na dekolcie. Antykwareusz dotykał palcem ramy obrazu i kręcił głową z niedowierzaniem, ciągle się zastanawiając, jak mógł nie dostrzec niemałej wartości tak wyjątkowego portretu.

Kacper Solis stanął pośrodku trawnika i spuścił głowę, wbijając wzrok w ziemię. Irena Moloch przeczytała tekst zapisany na kartce. Powtórzyła go, bezgłośnie poruszając ustami. Odchyliła głowę, spoglądając w niebo, po czym nagle ją opuściła, popatrzyła na Kacpra Solisa i zaczęła nabierać powietrza do płuc. Zrobiła się większa, jakby urosła i spotęźniała, wyciągnęła przed siebie palec i huknęła tak, że Józefina odruchowo podskoczyła na krześle, Jarota z Tycjaną przyglnęły do ściany, a Hermes Janicki przestał gładzić obraz.

– Ty niewdzięczniku! Jak możesz! Opiekowałam się tobą. Ubierałam! Karmiłam! Poznałam z najmożliwszymi tego świata! A ty jak mi się odwdzięczasz? – krzyczała Irena i w niczym już nie przypominała przewracającej oczami dziewczyny, którą odgrywała przed chwilą. Teraz była potężną, władczą i nieobliczalną kobietą. Kacper natomiast ani drgnął. Stał jak głaz z oczami wbitymi w ziemię i wyglądał jak rzeźba ogrodowa. – Bałamucisz moją dwórkę! Wystawiasz mnie na pośmiewisko tymi niedorzecznymi miłośkami! Dość tych miłości! Ją już wyrzuciłam. Ciebie zostawię, pod warunkiem że zmałdrzejesz! I skończysz z tymi bzdurami.

Kacper Solis powoli uniósł głowę i patrzył oczami pełnymi łez. Józefina przyłożyła rękę do ust, żeby nie krzyknąć.

– Obiecay mi! – zażądała Irena. Odgrywając Annę Humiecką, obniżyła nieco tembr głosu. – Obiecay więcej nie myśleć o tej miłości, a ja przywrócę cię do łask i dalej będziesz opływał w zbytki.

Zapanowała cisza. Po chwili Kacper Solis uniósł podbródek.

– Nic na świecie mnie już z nią nie rozdzieli – oświadczył dumnym głosem.

– W tekście nie ma słowa „już” – szepnęła cicho stojąca pod ścianą Angelina do wpatrzonej widowni.

– A więc wynoś się stąd. I teraz radź sobie sam! – krzyczała dalej Irena. – Skoro uważasz się za mężczyznę, radź sobie sam! Wynocha! Drzwi mojego pałacu są już dla ciebie zamknięte. Na zawsze! Nie wracaj! – krzyczała rozwścieczona do granic. – Chyba że zmałdrzejesz – dodała spokojniej, jakby sama się tymi krzykami zmęczyła.

– Osądź moją miłość po sile mego uporu – odpowiedział stanowczym i pełnym powagi głosem Kacper Solis, po czym odwrócił się i powłócząc nogami, poszedł w ten kąt ogrodu, który wskazywała palcem Irena Moloch.

– Jakaż ona okrutna – jęknęła Józefina. – Jak tak można?! – pytała, wlepiając wzrok najpierw w Irenę, potem w Angelinę.

– Przecież wiesz, że on już sobie poradzi. – Lina westchnęła po raz kolejny. – Wyjedzie z tą swoją Izaliną jako żoną. Sam król Stanisław Poniatowski przydzieli mu małą pensyjkę na początek, a potem nasz Boruwłaski ruszy z rodziną w świat. Będzie dawał koncerty gitarowe, będzie występował publicznie, spotykał się znowu z królami, a na koniec zamieszka w ładnym domku w Durham i dożyje prawie setki jako szacowny autor pamiętników.

– A więc wszystko się dla wszystkich dobrze skończyło – skwitował Jarota, patrząc na Irenę.

Aktorka poszła za Kacprem, który tkwił w kącie ogrodu, i z wielkim uznaniem gratulowała mu odegranej scenki.

– Nie dla wszystkich – podsumowała Tycjana, patrząc na Irenę przekomarżającą się z Kacprem.

Odwróciła głowę i zobaczyła Angelinę, która stanęła tak blisko Jaroty, że prawie opierała mu się na ramieniu. Angelina puściła oko do siostry i uśmiechnęła się za plecami byłego policjanta, jakby na

potwierdzenie wygłoszonej rano deklaracji, że tydzień nie minie, jak Jarota do niej wróci. Tycjana ledwo złapała oddech.

– Dla Niny Solis na pewno nie – stwierdziła głośno Józefina, i to wyjątkowo dramatycznym tonem. – I dla Lucynki też nie... choć czy wypada jej żałować? – zastanawiała się, wyginając usta w podkówkę.

– Jeśli jej zeznania się potwierdzą, dostanie wyrok za nieumyślne spowodowanie śmierci – stwierdził Jarota. – Czas pokaże, jak wysoki... Ale w końcu też wyjdzie – dodał i wstał, odsuwając się od Angeliny o krok.

Nie zraziło jej to i podeszła do niego jeszcze bliżej. Tycjana odwróciła głowę. Nie patrząc już na nich, skupiła się na coraz głośniejszym rozmawiającej parze.

– Powiedzcie mu, że on będzie najlepszy do tej roli... Ja już nie mam siły go przekonywać – burknęła Irena. Udając obrażoną, podeszła do przyglądających się im osób.

Za nią podążał Kacper.

– Ale Iren, ja nie mam takiego talentu jak ty... – bronił się, bezradnie rozkładając ręce.

– I dobrze! Przynajmniej mnie nie przyćmisz! – stwierdziła aktorka, wzruszając ramionami. – Zaufaj mi. Ten, który masz, w zupełności wystarczy. Zgadźcie się ze mną? – zwróciła się do widowni oglądającej próbę tekstu od co najmniej kilku godzin.

Cała piątka kiwnęła głowami z wielkim przekonaniem.

– Widzisz. To się nazywa aplauz. – Aktorka się uśmiechnęła.

– Ale to nasi znajomi...

– I co z tego? – przerwała mu Irena. – Zaprosisz na premierę całą swoją rodzinę, która teraz na wszelkie sposoby stara ci się przypodobać, i mamy cały pierwszy rząd zapewniony. Będą klaskać tak głośno, że scena zadrży. Zobaczysz. Gwarantuję ci to!

Ostatnie stwierdzenie rozbawiło wszystkich. Śmiano by się dłużej, gdyby nie dzwonek do drzwi.

– Cykliniarz! – wykrzyknęła Józefina.

Jarota pokiwał głową, nie wykluczając tej możliwości.

– Rozmawiałem z nim wczoraj. Obiecał, że przyjdzie – oświadczył z niepewnością w głosie, mierzwiąc kudłate włosy.

– Nastraszyłeś go? – zapytała podniecona Józefina.

– Nie. Okazało się, że cykliniarze niczego i nikogo się nie boją.

– Pójdę sprawdzić – zadeklarowała wesoło Angelina. – Zaraz się przekonamy – dodała, wbiegając do korytarza.

– Cykliniarz? – Józefina głośno ponowiła pytanie, gdy bratanica przez dłuższą chwilę nie wracała.

– Nie – usłyszała po chwili.

Ciotka z niechęcią machnęła ręką. Tycjana odwróciła głowę. Chwilę patrzyła w stronę korytarza. Nie była pewna, ale coś nie spodobało jej się w głosie siostry.

– Stało się coś? – krzyknęła w kierunku drzwi.

– Tak – ledwo dosłyszała odpowiedź Angeliny.

Ruszyła biegiem.

Więcej informacji na temat Józefa Boruwłaskiego w świetnej biografii *Zabaweczka* Anny Grześkowiak-Krwawicz.

Spis treści

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Angelina

ROZDZIAŁ DRUGI

Tycjana

ROZDZIAŁ TRZECI

Lucynka

ROZDZIAŁ CZWARTY

Rękopis

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nina

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kacper

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Portret

ROZDZIAŁ ÓSMY

Rama

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Rodzina

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jarota

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kartoteka

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wizyta

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wydało się

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Domek w ogrodzie

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Wyjście

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Tamara

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Tomaszek

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Aldona

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Józef

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Słońce

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Arlekin

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Kolombina

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Spadek

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Adieu

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Golem

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Kara

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Angelina

EPILOG